



**CHIŃSKI ZBIEG
MUSI UMRZEĆ**

GERARD DE VILLIERS

„Czarny Duch” Ming zarzucił mu na głowę plastikową torbę, podobną do tych, jakimi Jesus dusił swe ofiary wiele lat temu w Hondurasie. Jesus zeszytniał i rozpaczliwie próbował wcisnąć palce pomiędzy szyję i stalowe taśmy, byle zyskać kilka sekund. Jego mózg był skupiony na jednej tylko myśli: przeżyć.

I może by mu się to udało, gdyby Li Shatin nie skoczył ze swego fotela. Z niewiarygodną siłą oderwał ręce Jesusa od szyi i przytknął sobie do brzucha. Latynos widział jego napiętą z wysiłku, lecz obojętną twarz kilka centymetrów od swojej. Daremnie próbował go odepchnąć kopniakami. Li Shatin położył się na nim. Czując pękające płuca, walczył do chwili, gdy wszystko zapadło w ciemność.

Fundatorzy nagród w konkursie SAS



Cognac Otard
ulubiony koniak księcia Malko

PHILIPS

Odkryjmy lepszy świat



TravelBank
Bankowa Sieć Partnerów



Udana podróż
– masz to jak w banku!
www.travelbank.com.pl

Kolejny tomik SAS:

AFERA „KARIN A”

ISBN 83-7163-292-4



9 798371 632920 >

cena 11,90 zł

GERARD DE VILLIERS

**CHIŃSKI ZBIEG
MUSI UMRZEĆ**

przełożyła
Janina Aleksandrowicz

Tytuł oryginału francuskiego
Li Sha Tin doit mourir

Projekt graficzny
Beata Kulesza-Damaziak

Zdjęcie na okładce
Thierry Vasseur

Korekta
Barbara Wiśniewska

- © Editions Gerard de Villiers, Paris
- © for the Polish edition by Wydawnictwo Książkowe Twój Styl,
Warszawa 2003
- © for the Polish translation by Janina Aleksandrowicz,
Warszawa 2003

ISBN 83-7163-292-4

Wydawnictwo Książkowe Twój Styl
Warszawa 2003
Wydanie pierwsze
Skład i łamanie: Enterek, Warszawa
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.,
Kraków

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedząc wygodnie w jacuzzi, poddając się przyjemnemu masażowi pleców strumieniami wody o temperaturze 32°C, Li Shatin spoglądał na fale Pacyfiku rozbijające się o skalisty cypel, na którym został zbudowany „Wickaninnish Inn”. Słuchał piekielnego grzmotu fal. Dźwięk ten, pochwycony przez mikrofony zainstalowane na zewnątrz, był retransmitowany do pokoi tego luksusowego hotelu, przy akompaniamencie muzyki klasycznej. Ucywilizowana apokalipsa! Oceaniczne fale, po rozprysnięciu się na skałach, zalewały grube szyby o metr od niego!

Porywające widowisko - czuł się jak na mostku kapitańskim w czasie burzy.

Li Shatin sięgnął po kieliszek szampana, ustawiony zgrabnie na brzegu jacuzzi i upił łyk musującego płynu. Taittingera Comtes de Champagne Blanc de Blancs, rocznik 1995, ofiarowanego wspaniałomyślnie przez dyrekcję. Szampan był niedawnym odkryciem Chińczyka, który szybko w nim zamieszkał w Hongkongu, w apartamencie o powierzchni ośmiuset metrów kwadratowych w Canseway Bay.

Z półprzymkniętymi oczami, głową odrzuconą w tył, Li Shatin obserwował następną, zbliżającą się z pomrukiem, fa-

łę. Czuł się panem świata. Po pierwsze, uszedł z życiem, wymykając się z rąk sprawiedliwości, w osobach agentów Guangbu¹. Po drugie, był bogaty, bardzo bogaty. Poza nieruchomości, które siłą rzeczy pozostały w Chinach, posiadał miliony dolarów umieszczone w różnych bankach, od Singapuru po wyspy Kajmany. No i Kanada, dla luksusowego emigranta, miała swoje uroki.

Kiedy kilka miesięcy temu wylądował w Vancouverze, był nieco zaniepokojony, jako że nigdy przedtem nie opuścił Chin. Lecz dzięki kontaktom z kanadyjskimi triadar mi², szybko się zadomowił, mimo że znał tylko kilka słów po angielsku. Jego rodzimym językiem był dialekt używany w Fujian, rodzinnej prowincji, i na Tajwanie. W Hongkongu był zmuszony nauczyć się kantońskiego. W Vancouverze nie wszystko, rzecz jasna, układało się pomyślnie; musiał strzec się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przed pościgiem zgrai złoczyńców deptających mu po piętach. Niektórzy chcieli go mieć żywego lub martwego, inni po prostu martwego. Nie mówiąc o tych, dla których liczył się tylko jako żywy.

W sumie stanowili liczne grono...

Mimo to Li Shatin mógł być dumny ze swoich dotychczasowych osiągnięć. Urodzony w ubogiej, wieśniaczej rodzinie w Fujian dotarł do stolicy prowincji, Xiamen, położonej dokładnie naprzeciwko wyspy Tajwan. Dzięki decyzji Deng Xiaopinga stanowiła ona „specjalną strefę ekonomiczną”. Ten status, znoszący uciążliwe, biurokratyczne bariery, bardzo ułatwił karierę Li Shatinowi. Przede wszystkim w dziedzinie nieruchomości, lecz także, pozwalając stworzyć pomiędzy Tajwanem a resztą Chin, wspomniała siatkę przemytniczą, przy pomocy której przesznułował towary o wartości ponad

¹ Chińska służba bezpieczeństwa.

² Chińska mafia.

dziesięciu miliardów dolarów. Takie przedsięwzięcie wymagało wysokiego poparcia...

Analfabeta, lecz inteligentny i pracowity krętać, Li Shatin najpierw zaoszczędził parę juanów¹, inwestując w małe interesy: wytwórnię parasolek, handel samochodowymi częściami zamiennymi, pralnie. Przede wszystkim jednak pojął, że w Chinach wszystko było zdominowane przez korupcję. Zaangażował się w przemysł, z początku na małą skalę, później na większą, przekupując celników, wojskowych, miejscowe władze.

To pozwoliło mu wkrótce importować z sąsiedniego Tajwanu samochody, aparaturę elektroniczną, cement. Wszystko, czego w Chinach brakowało.

Pieniądze zaczęły napływać szerokim strumieniem. Stał się najbardziej znaną w Xiamen osobistością. A także najbogatszą. Cywilne i wojskowe władze prowincji jadły mu z ręki. Stopniowo, dzięki stosom juanów oraz przyjęciom organizowanym w dyskretnej willi zwanej czerwonym pawilonem, gdzie wspaniałość zupy z płetwy rekina walczyła o lepsze z urodą kurtyzan, Li Shatin stał się najpotężniejszym człowiekiem w Chinach.

Najbardziej wpływowym jego protektorem był generał Ji Zhengde, od 1992 roku szef służby bezpieczeństwa na całe Chiny. Miał też w ręku Zhuanga Rushuma, adiutanta gubernatora prowincji Fujian, a także admirała Lin Huaąinga, stojącego na czele marynarki chińskiej w Fujian. Nie wspominając o zgrai pomniejszych funkcjonariuszy. Ponadto i przede wszystkim był protegowanym siostrzeńca najważniejszej osoby w państwie, Jiang Zemina.

Dzięki tak silnym powiązaniom, Li Shatin stał się dobroczyńcą miasta Xiamen!

W 1996 roku otrzymał dyplom Honorowego Obywatela miasta, jako rekompensatę za darowizny na budowę szkół,

Chińska moneta (= 100 fenów).

dróg, domów starców. W 1997 okrzyknięto go jednym z dwudziestu najznamienitszych obywateli Hongkongu.

Dla umocnienia pozycji podjął, ciągle w Xiamen, budowę osiemdziesięcioośmiopiętrowego wieżowca, najwyższego w mieście. A także dwóch wież, których okna miały być połączane, tak jak to w dawnych pałacach cesarskich bywało.

Swój prywatny dom urządził w całości meblami wybranymi i sprowadzonymi, także nielegalnie, z magazynu Clada Dalie'a.

Nie było rzeczy zbyt pięknych dla niego.

A potem wszystko się zawaliło z powodu zmian politycznych: Ji Zhengde, minister bezpieczeństwa i protektor Li Shatina został zastąpiony przez „Wielkiego Czyściciela”, Jia Chunwanga. Ten zaś, zbulwersowany odkryciem nielegalnej strefy gospodarczej i mając poparcie Pekinu, zdecydował położyć kres karierze Li Shatina. Ten ostatni walczył zażarcie, proponując nowemu ministrowi nawet miliard juanów za przymknięcie oczu, nie jednak nie wskórał.

Siatka skorumpowanych urzędników rozproszona, wspólnicy zatrzymani, majątek skonfiskowany - Li Shatin, uprzedzony przez przyjaciół, uniknął złego losu. Wsiadając w Hongkongu - ostatnim miejscu pobytu - do pierwszego z brzegu samolotu, lecącego do Vancouveru.

To działo się przed rokiem, i gdyby nie salwował się ucieczką, zostałby z pewnością rozstrzelany, jak jego czternaśtu kamratów, wysokich urzędników i wojskowych. To nie uśmierzyło gniewu Pekinu: człowiekiem, który ciągle stał na „linii strzału” nieprzekupnych, był on. Odkąd komuniści chińscy objęli władzę w 1949 roku, nigdy nie odkryto afery korupcyjnej na tak masową skalę.

Wylądowawszy w Kanadzie jako „turysta”, Li Shatin zaraz po przybyciu poprosił o azyl polityczny, mając nadzieję dobrze się urządzić. Nie rozwiązywało to jednak wszystkich jego problemów. Guangbu nigdy nie rezygnowały ze swej

zdobyczy, a on ciągle znajdował się na czele listy tych, których śmierci pragnął Pekin. Mimo to czuł się w Vancouverze stosunkowo bezpiecznie, dzięki podwójnej ochronie: Kanadyjczyków, którzy bali się stracić go z oczu i kilku triad. Płacił im za to majątek, ale taka inwestycja wydawała mu się najlepszą polisą ubezpieczeniową na życie.

Ponieważ w Vancouverze niewiele miał do roboty, poza telefonowaniem do Chin, żeby poznać los swoich towarzyszy, i grą w różnych kasynach Kolumbii Brytyjskiej, zaakceptował propozycję przyjaciela, żeby spędzić weekend w tym luksusowym hotelu i nie żałował tego. Czuł się jeszcze bezpieczniej, niż w mieście. Tu znajdował się naprawdę na końcu świata.

Wickaninnish Inn, rodzaj olbrzymiego szałasu o skomplikowanej architekturze, znajdował się na Pacific Rim, zachodnim brzegu wyspy Vancouver, usytuowanej dokładnie naprzeciwko miasta o tej samej nazwie. Frontem skierowany do oceanu, stał w otulinie olbrzymich świerków o nazwie „rain forest”, w pobliżu małego miasteczka Tofino. Aby się tam dostać, trzeba było odbyć prawdziwą podróż: albo promem z Vancouveru i potem trzy godziny drogi samochodem poprzez wyspę, albo samolotem do Tofino. Li Shatin wybrał to ostatnie, w towarzystwie swych dwóch ochroniarzy - „Czarnego Ducha” Minga i „Głupiego Ricky’ego” Tai Loo-na, obaj byli członkami triady Dan Huenlaia. Zajmowali dwa pokoje sąsiadujące z jego apartamentem, wyposażonym we wspaniałe jacuzzi, w którym aktualnie się płał. Ten luksusowy hotel miał tylko czterdzieści pokoi, wszystkie z góry zarezerwowane. Mimo to, poza kontemplowaniem wściekłych fali Oceanu Spokojnego, nie było tu co robić: morze było lodowate, a gwałtowny wiatr hulał po plaży i padało bez przerwy!

Tak więc od dwóch dni Li Shatin nie opuszczał hotelu, przechodząc od Taittingera do koniaku Otard, umilających

mu chińskie dania przygotowywane specjalnie dla niego, za ogromną ceną, przez szefa hotelu, nawykłego do kaprysów ekscentrycznych klientów i miliarderów. Nawet po konfiskacie części swych dóbr Li Shatin zaliczał się do tej kategorii.

Chińczyk odwrócił się i pochwycił pałeczkami krewetkę, smażoną w soli i pieprzu, z talerza stojącego na krawędzi jacuzzi. Jak wszyscy jego rodacy, uwielbiał jeść przez całą dzień. W Chinach jedzenie było czymś niezwykle ważnym. Chińska formuła naszego „dzień dobry” brzmi: „Czy już ja-dłeś?” i stanowi pozostałość po straszliwych okresach głodu, pustoszących niegdyś Państwo Środka.

Li Shatin połknął krewetkę i, oguszony łoskotem olbrzymiego bałwana, który rozbryznął się właśnie na szybie, ledwie usłyszał pukanie do drzwi.

- Wejź! - krzyknął.

To mógł być tylko jeden z ochroniarzy. W drzwiach ukazał się młody Chińczyk o krępej atletycznej budowie, króciutkich włosach, w podkoszulku i adidasach. „Głupi Ricky” Tai Loon. Oficjalnie zatrudniony w Yaohan Center, wielkim centrum handlowym w Richmond, chińskiej dzielnicy na południu Vancouveru, był człowiekiem do wszystkiego, specjalizującym się w wymuszeniach. Nie miał sobie równych w zmuszaniu do mówienia najzatwardziały milczków, łamiąc im palec po palcu. Zgięty w pełnym szacunku ukłonie „Głupi Ricky” szepnął kilka słów po kantońsku, nie śmiać zbliżyć się do jacuzzi.

Li Shatin podniósł się tak gwałtownie, że o mało nie strącił talerza stojącego na krawędzi wanny, chwycił ręcznik i owinał go wokół talii.

-- Niech wejdzie! - rozkazał.

„Głupi Ricky” odwrócił się i warknął rozkazująco.

Do pokoju weszła młoda Chinka ze spuszczonej oczami. Miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, włosy upięte w skomplikowany kok, zachwycającą trójkątną twarzyczkę,

mocno umalowaną, z ustami pociągniętymi jaskrawoczerwoną szminką.

Pulower opinał dokładnie imponujące piersi, których z pewnością nie dała jej natura, a czarna mini kończyła się w górnej partii toczonych ud. Na wysokich obcasach osiągała wzrost metr sześćdziesiąt pięć...

Lekko się pochylając postawiła płaską, utrzymaną w prawej ręce, walizeczkę, na cedrowym stoliku i stała nieruchomo, skromnie nie podnosząc powiek. „Głupi Ricky” na dyskretny znak szefa wycofał się, a Li Shatin podszedł do swojego gościa, przyglądając mu się łakomym wzrokiem. Jego współpracownicy z Hongkongu zachowywali się nadal bardzo elegancko. Najpierw zainteresował się jednak walizeczką.

- Jest otwarta? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała jednym tchem Chinka.

Nacisnął oba zamki i otworzył wieko, pod którym znajdował się egzemplarz „South China Morning Post”. Uniósł go i dostrzegł równo ułożone pliki studolarowych banknotów. Poczul, jak krew żywiej krąży mu w żyłach. Wydobycie tych pieniędzy z jednego z zablokowanych kont było prawdziwym wyczynem. Nie będzie musiał naruszać swojego „przemieszczonego” kapitału.

- Ile tu jest? - zapytał.

Znał odpowiedź, lecz był podejrzliwy.

- 400 000 dolarów - oświadczyła Chinka obojętnym tonem.

Zgadzało się. Bank w Hongkongu wypłacił mu z konta pięćset tysięcy dolarów. Różnicę stanowiła gratyfikacja dla wykonawcy tej manipulacji. Nawet będąc zbiegiem, Li Shatin miał jeszcze długie ręce. Zamknął wieko, zadowolony. System „kurierski” był o wiele pewniejszy od przelewów i nie pozostawiał śladów. Był kosztowny, ale coś za coś. Pozostał ostatni sprawdzian.

- Kto przekazał ci pieniądze? - zapytał obojętnie.

- „Nerw Byka”.

Inaczej mówiąc, Lee King Kan, były policjant z Makao, obecnie dyrektor Macao Race Track i ochroniarz Stanleya Ho, miliardera w branży gier hazardowych. Lee King Kan był związany poprzez swoją kochankę z Dan Huenlaiem, czyli triadą, ochraniającą Li Shatina. Wszystko grało.

- Nie wypytywali cię na cle? - zagadnął.

-Nie.

- Jak przyleciałaś?

- Bezpośrednim lotem, linią Cathay Pacific.

Spojrzenie Chińczyka przesunęło się z wydatnych ust na agresywne piersi, potem na uda.

- Jak się nazywasz?

- Cindy Ling.

Mieszkańcy Hongkongu przyjmowali często angielskie imiona.

- Czym się zajmujesz?

- Pracuję w „Peninsula” jako recepcjonistka.

Ponownie otworzył walizeczkę i wyjąwszy kilka banknotów z pliku, podał je Cindy Ling.

- Kup sobie coś przed odlotem.

Młoda Chinka odepchnęła banknoty z teatralnym oburzeniem.

- Nie, dziękuję. To był dla mnie zaszczyt oddać przysługę tak ważnej osobistości.

Położył pieniądze na stoliku. Li Shatin patrzył na nią uporczywie. Postawa młodej kobiety była dwuznaczna. Normalnie powinna się wycofać zaraz po przekazaniu pieniędzy. Nie narzucać się. Ich spojrzenia się spotkały i wydało mu się, że zgaduje powód takiego zachowania. Jego przyjaciel, Lee King Kan, przysłał mu dwa podarunki. W Vancouverze nie prowadził aktywnego życia seksualnego z uwagi na środki ostrożności podjęte dla własnego bezpieczeństwa. Nie ufał nikomu. Ale ciepło jacuzzi pobudziło jego zmysły i nagle poczuł podniecenie.

- Chcesz chwilę ze mną zostać? - zapytał zniecacka.
- Jeśli pan sobie tego życzy.

Posłała mu spod w półprzymkniętych powiek szelmowskie spojrzenie. Spuściła oczy i miał wrażenie, że utkwiała wzrok w ręczniku okrywającym jego brzuch. To go podnieciło w jednej chwili. Zbliżył się do Cindy, objął ją lewą ręką w tali, a prawą zaczął pieścić jej piersi, stwierdzając z zadowoleniem, że nie nosi stanika. Uwielbiał wielkie, jędrne piersi, takie właśnie jakie miała młoda Chinka i zatrzymał rękę na nich dłużej. Cindy Ling pozwoliła mu na to, z szacunkiem spuszczać powieki. Ta powściągliwość wzmogła jeszcze pożądanie Li Shatina. Bez dalszych wstępów wsunął rękę pod krótką spódniczkę i poczuł pod palcami nylonowe majteczki. Zacisnął na nich palce i gwałtownie pociągnął w dół. Cindy Ling z gotowością wykonała ruch biodrami, pomagając im się łatwiej zsunąć. Tak nieoczekiwany obrót sprawy wydawał się stanowić część jej obowiązków. Li Shatin popchnął dziewczynę na krawędź jacuzzi i podjął manewry pod spódniczką, penetrując grubymi paluchami odkryty seks. Kiedy zagłębił w nim duży i wskazujący palec, dziewczyna drgnęła lekko. Pod naciskiem naprężonego członka, ręcznik owinięty wokół talii opadł i odsłonił nagość. Jakby tylko na to czekając, Cindy Ling osunęła się z pełnym pokory wdziękiem na miękkim dywan i z profesjonalnym zapalem wzięła do ust wzniesiony członek. Ścisnąc w dłoni podstawę, zaczęła powoli ssać, zerkając ukradkiem, czy zyskała aprobatę. Li Shatinowi spodobała się ta prostota. Zawsze uwielbiał kurtyzany. Ponieważ filmował zmagania swoich współników z dziewczynami, które im wspaniałomyślnie ofiarowywał, miał w tej mierze ogromne wizualne doświadczenie.

Sprawowanie Cindy Ling ocenił nieco powyżej średniej... zwłaszcza że odbyła męczącą podróż. Kiedy przyśpieszyła rytm, chwycił ją za kark i zmusił, żeby wstała. Jego seks był w najlepszej formie i nie miał zamiaru kończyć w ustach.

- Rozbieraj się! - powiedział.

Cindy Ling ulegle zdjęła sweterek i spódniczkę, odsłaniając ciężkie piersi, które Li Shatin miał okazję już docenić, muskularny brzuch i uda. Wzgórek Wenery był prawie całkowicie wydepilowany i to spowodowało wzrost poziomu adrenaliny w żyłach Chińczyka.

- Chodź do jacuzzi - zaproponował.

To było prawdziwe święto. Czteryście tysięcy dolarów i śliczna, uległa kurewka na deser.

* * *

Wygodnie usadowiony na wewnętrznym stopniu jacuzzi, plecami skierowany na tryskający strumień wody, mając przed sobą Pacyfik, Li Shatin schwycił stojącą przed nim Chinkę w talii, obrócił ją i posadził sobie na kolanach. Ona z własnej inicjatywy wsunęła rękę między ich ciała, aby skierować członek do pochwy. Li Shatin poczekał, aż znajdzie się on w odpowiednim punkcie, wtedy ścisnął biodra młodej Chinki i pociągnął ją w dół. Poczul, jak jego członek forsuje uśpioną jeszcze pochwę i doznał cudownego uczucia, że ją gwałci.

Trzymając grubymi dłońmi Cindy za biodra, zabawił się unosząc ją i opuszczając dokładnie w momencie, w którym już się miała zsunąć z jego brzucha. Stopniowo pochwa rozluźniała się i mógł penetrować ją coraz głębiej. Z szeroko rozsuniętymi udami, przyjmowała go, jęcząc cicho, podczas gdy on maltretował z furją jej piersi. Mając rozwścieczony ocean przed oczami czuł się wyśmienicie i pochrząkiwał jak zadowolony knur. Po krótkim przyspieszeniu wytrysnął nasienie z westchnieniem spełnienia.

Zaraz po tym, jak skończył, młoda kobieta uwolniła się i klęcząc w jacuzzi, ponownie wzięła jeszcze wzniesiony członek do ust, aby powtórzyć rozkosz. Li Shatin poczul, że

jego wigor się odradza. Cindy na nowo usiadła na nim, tym razem zwrócona twarzą. Po kilku sekundach zorientował się, co się dzieje i o mało nie zemdlął ze szczęścia, czując, jak jego seks penetruje odbyt. Oczywiście za pełnym przyzwoleniem Cindy, która posłała mu świński uśmiezek.

- Lubi pan w taki sposób? - Dobrze ściskam?

- Dobrze mi - warknął Chińczyk.

- Jest pan bardzo gruby, ale to dobrze - dodała Cindy, pogłębiając penetrację z grymasem na ustach.

Pochyliła się do przodu obejmując ramionami szyję Chińczyka i ocierając się piersiami o jego tors; Li Shatin był w siódmym niebie. Ta mała dziwka potrafiła rozpalić do białości. Postanowił zatrzymać ją na kilka dni. W pewnym momencie zwieracze rozluźniły się i jego członek poruszał się swobodnie, jak w pochwie. Z dłońmi zaciśniętymi na mięśniach pośladowców, towarzyszył ich ruchom. Ogromna fala odbiła się od szklanej tafli, a on odruchowo się cofnął. W tej samej chwili poczuł koło lewego ucha ukłucie; tak jakby ktoś próbował zagłębić mu gwóźdź w czaszce.

Spostrzegłszy jednocześnie obraz odbity w szkło, poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach. Cindy Ling, ciągle go obłapiając, ścisnęła w prawej ręce coś, co wyglądało na długą szpilę!

Instynktownie odepchnął młodą kobietę, która upadła do tyłu, trzymając w zaciśniętej dłoni szpilkę, wyjętą prawdopodobnie z koka. Li Shatin w ciągu kilku sekund pojął sytuację. Cindy patrzyła na niego z przerażeniem. Podniosła się próbując wyjść z jacuzzi. Li Shatin odzyskał zimną krew, ścisnął jej prawy przegub i silnie wykręcił rękę. Szpilka wypadła i utonęła w wodzie. Miała na jednym końcu czarną kulkę, tak jak te, które przytrzymywały kok.

Kiedy Li Shatin podniósł wzrok, Cindy wyrwała mu się i z zaskakującą siłą uderzyła go kantem dłoni w kark. Zamroczony Chińczyk pośliznął się w tył i upadł na ściankę jacuzzi.

Cindy błyskawicznie zanurzyła rękę w wodzie i, chwytając zatopioną szpilkę do włosów, rzuciła się na niego. Lewą ręką unieruchomiła mu głowę na krawędzi jacuzzi, a prawą próbowała mu wbić ostrze w ucho! Li Shatin pojął w ułamku sekundy, że jeśli jej się uda, to ostrze przeszyje mu mózg.

Z obolałym gardłem podjął rozpaczliwy wysiłek i odepchnął ją, tak że wpadła do wody, żeby z niej natychmiast wyskoczyć ze sprężystością delfina.

- Ricky!

Cindy udało się już wyskoczyć z jacuzzi. Kompletnie naga, uciekała w głąb pokoju. I wtedy, dosłownie wpadła w ramiona „Głupiego Ricky'ego"! Zwarli się w dzikim uścisku, używając pięści i kopniaków; mało brakowało, a udałoby jej się uciec. Dzięki bogu, Ricky, chociaż głupi, był bardzo wytrzymały. Zdołał złapać ją za kark i tłukł jej głową o ścianę tak długo, aż upadła.

Li Shatin również wyszedł z jacuzzi i zbliżył się, pozostając ciągle pod wpływem szoku. Leżąc płasko na brzuchu, Cindy Ling, nieprzytomna lub udająca omdlenie, nie ruszała się. Li Shatin zdał sobie nagle sprawę ze swej nagości i ponownie owinął się ręcznikiem. W czasie, gdy „Głupi Ricky” krępował ręce Chinki sznurem od zasłon, podniósł szpilkę i dokładnie ją obejrzał. Była podobna do tych, które podtrzymywały kok młodej kobiety, stalowa z zaostrzonym końcem. Gdyby nie olbrzymia fala, która wywołała u niego odruch cofnięcia, Cindy Ling zakłulałaby go w jacuzzi. Mieć dziesięć centymetrów stali w mózgu, to bardzo niezdrowo.

Podniósł się, żeby wziąć butelkę koniaku Otard XO stojącą na półce i pociągnął długi łyk. Gorzka lekcja. Przez kilka minut wydawało mu się, że jest w raj. Trzeba będzie zejść na ziemię. Ta próba morderstwa prowadziła do bardzo przykrych wniosków. Zdecydowanie nikomu nie może ufać. Ricky skończył krępowanie młodej kobiety, ręce miała związane na plecach, kostki nóg ciasno skrępowane.

Li Shatin odwrócił ją na plecy. Patrzyła na niego tępo, prawie obojętnie, bez złudzeń.

- Kto kazał ci mnie zabić? - zapytał spokojnym głosem. Nagość młodej Chinki nie robiła już na nim żadnego wrażenia. Nawet nie mrugnęła okiem. Milczała.

„Głupi Ricky” przerwał ciszę:

- Ja się tym zajmę, szefie.

* * *

Cindy Ling leżała na dywanie, ponownie odwrócona na brzuch, „Głupi Ricky” klęczał na jej plecach.. Twarz Chinki była purpurowa, oddychała ciężko. W każdej chwili mogła stracić przytomność. Z ust ciekła jej ślina, wsiąkając w dywan. Wywichnięte ze stawu prawe ramię leżało nieruchomo wzdłuż ciała, wszystkie palce były połamane, napuchnięte i fioletowe.

„Głupi Ricky” chwycił lewą rękę Cindy, a ona jęknęła:

-Nie! Nie!

Chińczyk złapał za palec wskazujący i zaczął go odginać do tyłu. Li Shatin poczuł mdłości. Palec był wygięty do tyłu pod nienaturalnym kątem. Trzask łamanej kości słychać było na ułamek sekundy przed tym jak rozległ się okrzyk bólu dziewczyny. Podniosła głowę, która po chwili opadła, twarz była pokryta potem. „Głupi Ricky” wziął się już do dużego palca. Li Shatin powstrzymał go gestem i pochylił się nad Chinką.

- Kto zlecił ci zabicie mnie? - powtórzył po raz siódmy.

Sądził, że Cindy Ling zachowa nadal milczenie, ale ból był zbyt silny. Wyjąkała kilka słów i poznał prawdę.

- Lee King Kan.

Jeden z jego najlepszych przyjaciół. Kucnął obok niej, ciągnąc dalej:

- Dlaczego?

Cindy obróciła się z trudem na bok i zaczęła opowiadać urywanym głosem. Oprócz zajęcia recepcjonistki, pracowała jeszcze jako call-girl dla triady Dan Huenlaia. Lee King Kan zapytał, czy jest gotowa oddać organizacji wielką przysługę: zabić Li Shatina. Ponieważ się wahała, wytłumaczył jej, że Guangbu chciały ubić z nim interes: albo będzie współpracował, albo zostanie zatrzymany i oskarżony o współudział w rozlicznych przestępstwach Li Shatina. Osądzą go, bez wątpienia skazą i rozstrzelają.

Li Shatin zrozumiał. Guangbu „przeniknęły” do jego systemu transferu pieniędzy z teoretycznie zablokowanych kont bankowych. Jeszcze jedna furtka została zatrzaskana.

- To wszystko? - zapytał.

Cindy Ling pragnęła żyć. Zaczęła bezładnie opowiadać, jak to dwóch agentów Guangbu eskortowało ją do Vancouveru. Jeden z nich miał paszport dyplomatyczny, i to on przewoził pieniądze, żeby nie ryzykować kontroli na ciele. Czekali teraz na nią w Vancouverze.

- Gdzie?

- W Vancouver Hotel. Mam się tam z nimi spotkać.

- Znasz ich nazwiska?

-Tak.

Nie nalegał. To na nic. Byli tylko wykonawcami. Od czasu przybycia do Kanady, po raz pierwszy zdarzyła się próba zgładzenia go. Do tej pory Chińczycy zadawali się wywieraniem nacisku na kanadyjski rząd, aby uzyskać jego ekstradycję do Chin, jako pospolitego przestępcy. Między dwoma krajami nie zawarto jednak umowy o ekstradycji... Pekin poszedł jeszcze dalej i zaofiarował Kanadyjczykom przyjęcie kilku tysięcy nielegalnych emigrantów zatrzymanych w Kanadzie, których do tej pory Chiny nie chciały uznać za swoich obywateli, pod warunkiem, że wydadzą Li Shatina. Victor Chang, jego adwokat, śledził pilnie manewry chińskich władz, próbując pomóc rządowi kanadyjskiemu ubić dwa pta-

ki jednym strzałem: zadowolić Pekin, z którym utrzymywał ściśle stosunki i pozbyć się niewygodnego emigranta. Victor Chang był gotów podburzyć organizacje obrony praw człowieka, nie spodziewając się jednak po tym wiele. Nie walczył się słowami z racją stanu.

Wycieńczona cierpieniem Cindy milczała. „Głupi Ricky” puścił jej lewe ramię, które opadło bezwładnie, jak prawe. Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Nie można puścić płazem próby morderstwa. Nawet jeśli to niczego nie zmieni, bo przyjdą następni. Li Shatin nie mógł przebaczyć zdrady, w przeciwnym razie straciłby twarz.

- Pójdę po „Czarnego Ducha” Minga - powiedział cicho „Głupi Ricky”.

Pozostawszy sam na sam z Cindy, Li Shatin włożył spodnie i podkoszulkę. Fale nadal rozpryskiwały się na szklanej tafli, lecz przestał na to zwracać uwagę. To usiłowanie zabójstwa oznaczało początek wrogich ataków. Będzie musiał zmienić taktykę. A przecież postanowił urządzić się tutaj i stąd prowadzić swoje chińskie interesy, aż wszystko się ułoży. Nie był człowiekiem skomplikowanym: lubił zarabiać pieniądze, być sławny i grać hazardowo. Kobiety były na dalszym planie. Zamyślony, bawił się szpilką do włosów, która miała go zabić. Jego cicha i szybka śmierć pozwoliłaby wymknąć się Cindy Ling. Może nawet agenci Guangbu czekali gdzieś na nią w pobliżu.

Drzwi otworzyły się i wszedł „Głupi Ricky”, a za nim „Czarny Duch” Ming. Twarz okrągła i bez wyrazu, oczy wąskie jak po cięciu brzytwą, krótkie włosy, nosił na szyi gruby złoty łańcuch, a na ręku olbrzymiego bretlinga, zawierającego z kilogram złota, i imponujący sygnet. Plecy, tors i ramiona pokrywały szczelnie różnokolorowe tatuaże, z których każdy coś oznaczał. Pochodzili z tego samego regionu położonego w południowych Chinach i mówili tym samym dialektem.

„Głupi Ricky” pochylił się nad Cindy Ling, uniósł ją, zawlókł na krzesło i przytrzymał, żeby nie spadła. Li Shatin zastanawiał się, jak sobie poradzą. W tak luksusowym hotelu nie było mowy o pozostawieniu śladów krwi czy robieniu hałasu. Użycie broni palnej odpadało. Poza tym RCMP¹ z pewnością ich śledziła. Sprawę należało załatwić po cichu. Cindy musiała jednak zapłacić.

Dwaj mężczyźni zamienili kilka słów w dialekcie. „Głupi Ricky” przywiązał Chinkę do krzesła na wysokości klatki piersiowej, całkowicie ją unieruchamiając. „Czarny Duch” Ming wyciągnął rękę i wziął z talerza z krewetkami dwie leżące w poprzek pałeczki. Trzymając je za jeden koniec, zbliżył się do Cindy. Jej głowa spoczywała na piersi, wyglądała na nieprzytomną.

Chińczyk chwycił ją lewą ręką za włosy i brutalnie szarpnął do tyłu, ściskając nozdrza prawą. Instynktownie otworzyła usta. Wtedy „Czarny Duch” Ming wbił jej pałeczki w gardło. Kiedy ostrza przebiły tchawicę, wstrząsnął nią gwałtowny spazm i dostała czkawki. Chińczyk naciskał ze wszystkich sił, wpychając je możliwie jak najgłębiej. Cindy dostała drgawek, czkając i jęcząc, oczy wyszły jej z orbit, nie mogła złapać powietrza. Opór trwał niecałe trzy minuty. W końcu, po potężnym czknięciu, które wstrząsnęło nią całą, znieruchomiała. Była martwa. Jak ktoś, kto udławił się kością z kurczaka.

„Czarny Duch” Ming delikatnie wyciągnął pałeczki z gardła swej ofiary i ułożył je ponownie na talerzu. W razie komplikacji, trudno będzie ustalić przyczynę śmierci...

Ciało Cindy ześliznęło się z krzesła na podłogę. Od jej przybycia upłynęła zaledwie godzina. Li Shatina opanowała jedna myśl: wrócić do Vancouveru

- Co zrobicie z ciałem? - zaniepokoił się.

Kanadyjska Królewska Policja Konna.

- Trzeba poczekać do wieczora - powiedział „Czarny Duch” Ming. Tutaj ludzie wcześniej chodzą spać. Pochowamy ją w lesie.

- Macie narzędzia?

Nie mieli ich.

- Wrzućcie ją lepiej do morza - podpowiedział.

Nastąpiła krótka dyskusja o technicznych szczegółach. „Czarny Duch” Ming był innego zdania: nie będzie miała wody w płucach i w razie autopsji policja dowie się, że to morderstwo. To nie jest moment, żeby zadzierać z policją.

- OK - zawyrokował Li Shatin. - Jedźcie do Tofino kupić coś do wykopania dołu.

Bez słowa obaj Chińczycy wzięli ciało i wynieśli je z apartamentu. Li Shatin zaczął krążyć po pokoju, obmyślając zemstę. Miał przeciw sobie jedno z najpotężniejszych państw świata i kilku innych przeciwników, których nie należało lekceważyć. Nie wspominając o Kanadyjczykach, którzy chętnie spadną mu na kark, kiedy przestanie im się podobać. Przyszłość rysowała się w ponurych barwach.

* * *

Na plaży Chesterman Beach jak zwykle siał deszcz. Była druga nad ranem, a światła w Wickaninnish Inn od dawna były pogaszone. Panowało przeraźliwe zimno, choć był początek czerwca. Nikt nie zauważył dwóch cieni, które opuściły jeden z bocznych pokoi i posuwały się po zewnętrznej galerii w stronę położonego poniżej parkingu. Jeden z nich niósł na ramieniu coś przypominającego zwinięty dywan, a drugi - torbę do golfu. Nie była to wprawdzie pora na grę w golfu, a i brakło pola golfowego w pobliżu. Doszli do parkingu, otworzyli klapę wynajętej terenówki, załadowali swoje pakunki, po czym wsiedli i z wygaszonymi światłami odjechali ścieżką prowadzącą do Pacific Rin Highway.

Po kilku minutach stali się niewidoczni z okien hotelu.

Z autostrady zjechali w prawo, jakby zmierzając do Port Alberni. Na drodze nie było nikogo. Kilometr dalej - skręcili raz j eszcze na prawo, w j edną z licznych drózek łączących się z drogą do Chesterman Beach. Lampy oświetlały olbrzymie pnie świerków w jednym z ostatnich „rain forest” na świecie. „Czarny Duch” Ming, prowadzący samochód, włączył napęd na cztery koła i zboczył w las. Nie odjechali daleko: ziemia była tak nasiąknięta wodą, że bał się ugrzęznąć!

Ujechał jeszcze z trzydzieści metrów, zatrzymał się w środku lasu i wysiadł z samochodu. Miejsce było ponure. Olbrzymie fale, rozbijające się na pobliskiej plaży, huczały bezustannie. Wyjęli łopatę i motykę, i odeszli kawałek dalej.

Teraz pozostało już tylko kopać... Wzięli się za to bez słowa, pracując w świetle samochodowych reflektorów. Obaj byli spoceni. Panowała ciemność tak absolutna, że nie widzieli własnych dłoni... W końcu „Czarny Duch” Ming wyprostował się z grymasem na twarzy.

- Wystarczy! - mruknął.

Poszli po ciało zawinięte w kołdrę. Rozwinęli ją i trup Cindy Ling stoczył się do grobu. Pozostało im tylko zasypać dół i wyrównać ziemię. Przy pewnej dozie szczęścia, to nagie ciało nie zostanie szybko odkryte, było zaś pochowane wystarczająco głęboko, aby zwierzęta go nie odkopały. W tym naturalnym rezerwacie nie wolno było biwakować, więc czuli się dosyć pewnie. „Głupi Ricky” starannie złożył kołdrę i umieścił na tylnym siedzeniu, po czym wyruszyli w drogę powrotną do hotelu.

Cindy Ling przybyła do Kanady z wizą turystyczną, i jak większość nielegalnych emigrantów, zostanie najprawdopodobniej ujęta w statystyce jako jedna z nich, poszukiwana przez kanadyjską policję. Ryzyko, że ją znajdą, było niewielkie.

Dwadzieścia minut później - obaj mężczyźni znaleźli się ponownie na hotelowym parkingu.

* * *

Nieruchomy w ciemnym pokoju, przy otwartym oknie, John Mancham obserwował przez lornetkę z noktowizorem dwóch mężczyzn wysiadających z potężnego, terenowego auta. Widział, jak wyjeżdżali. Zanotował, że byli już bez pakunków. To rzuciło światło na złowrogą prawdę o ich nocnej wyprawie.

Ponieważ w ciągu dnia zauważył przybycie młodej Chin-ki, wniosek nasuwał się sam...

Mężczyźni weszli do hotelu i John Mancham zamknął okno. Był zadowolony; coś zaczęło się dziać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Malko postanowił przejść pieszo trzy przecznice, oddzielające hotel Hyatt, w którym się zatrzymał, od Sutton Place Hotel, gdzie miał wyznaczone spotkanie. Jak zwykle, dzielnica Downtown Vancouver była całkowicie zakorkowana, a Burard Street nie stanowiła wyjątku. Padało i pojazdy posuwały się w ślimaczym tempie. Foldery turystyczne, reklamujące Kolumbię Brytyjską podkreślały, że Vancouver jest jedynym miastem w Kanadzie, w którym nie ma opadów śniegu, przemilczając starannie fakt, że jest tu dwieście dni deszczowych w roku... Nie odstraszało to i tak amatorów ruchu na świeżym powietrzu. Samochody, unieruchomione w korkach, często wyprzedzali rowerzyści o nieprawdopodobnie umięśnionych łydkach, w kaskach upodabniających ich do przybyszy z kosmosu., pedałujący zawzięcie w deszczu. Mieszkańcy Kolumbii Brytyjskiej lubili sport. W każdy weekend przybywali na rowerach, motorach lub piechotą na brzeg oceanu, aby uprawiać jogging lub pływać się w lodowatej wodzie. Lecz o dziewiątej wieczór Vancouver pustoszał, jakby obowiązywała wirtualna godzina policyjna. Przybywszy poprzedniego dnia wieczorem, Malko jadąc z lotniska miał wrażenie, że przemierza miasto duchów. Vancouver rozciągał się na połaci wielu kilometrów, slumsy przemieszane były z eleganckimi dzielnicami - bezładny, bezduszny i pozbawiony wdzięku.

Hotel Hyatt, w którym CIA zarezerwowała mu pokój, był czysty, smutny i banalny, zatopiony w otaczającym go oceanie wież ze szkła i stali, przypominających Wall Street lub Szanghaj. Azjatów spotykało się wszędzie: 30 procent populacji Vancouveru pochodziło z Chin. Podczas gdy stare Chinatown, położone w śródmieściu, zajmowało tylko kilka ulic obrzeżonych zakurzonymi sklepikami, usytuowana na południu dzielnica Richmond, stanowiła wycinek Chin. W większości sklepów mówiono tylko po kantońsku...

Przyspieszył kroku, chłostany porywami lodowatego wiatru. Był czerwiec, a miało się wrażenie, że to listopad. Komunikaty meteorologiczne w Vancouverze nie informowały, czy pogoda będzie ładna czy deszczowa, lecz jakie będzie nasilenie opadów. Przezorni obywatele tego miasta nie rozstawiali się z parasolami. Malko poczuł przypływ nostalgii. Gdyby nie musiał zdobywać środków na utrzymanie swego zamku, byłby teraz w Liezen z Aleksandrą i napawałby się początkiem lata w Austrii. W bibliotece piętrzyły się już z pewnością kartoniki zaproszeń skierowanych do jaśnie oświeconego księcia Malko Linę. Niestety, Liezen było prawdziwą studnią bez dna i potrzebowało coraz to nowych nakładów. Nie wspominając o majątku ruchomym: podczas jednej z jego nieobecności, hrabianka Aleksandra kazała sobie dostarczyć wspaniałe łoże z baldachimem w stylu Ludwika XVI, na które natknęła się w magazynie Claude'a Dalle'a w Cannes.

Pokonał ostatnie metry, które dzieliły go od siedemnastopiętrowego Sutton Place Hotel. Przed wejściem parkowało wspaniałe czerwone ferrari. Podeszedł prosto do windy i nacisnął guzik czternastego piętra. Na drzwiach pokoju 1406-08 przypięto pineskami kartkę z następującym tekstem: *Adventure Productions. Ring The beli and proceed*

Adventure Productions. Proszę dzwonić i wejść.

Co też uczynił. Blondynka o kanciastej twarzy i wydatnym biuście czytała „Variety”, siedząc za biurkiem ustawionym w niewielkim przedpokoju. Uśmiechnęła się profesjonalnie i zapytała z ostrym amerykańskim akcentem:

- *May I help you?*¹

- Mam spotkanie z panem Simonem Levine - oświadczył Malko.

- Jak pana godność?

- Malko Lingę.

- Proszę usiąść, sprawdzę, czy może pana przyjąć.

Wstała i zniknęła w małym korytarzyku, kołysząc biodrami podkreślonymi bardzo obcisłą spódniczką. Kiedy pojawiła się ponownie, ociekała wprost gorliwością.

- Pan Levine przyjmie pana niezwłocznie - powiedziała zdecydowanie cieplejszym tonem. - Zechce pan pójść za mną.

Odniosł wrażenie, że kołysanie biodrami wzmogło się. Przed wejściem do gabinetu odwróciła się i posłała mu uśmiech, który roztopiłby lodowiec.

- Mam na imię Sandra. Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem do dyspozycji.

Osoba znajdująca się w pomieszczeniu podniosła się i wyciągnęła rękę na powitanie. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, szczupły, siwowłosy, właściciel zadziwiającego nosa: ogromnego, grubo ciosanego, zakończonego jak u foki. Energicznie uściśnął dłoń Malko.

- Simon Levine - przedstawił się. - Czy miał pan dobrą podróż? Proszę usiąść.

Zajęli miejsca po obu stronach niskiego stolika. Malko zerknął na pokryte fotosami, planami kręcenia filmów i zdjęć próbnych ściany. Odniosł wrażenie, że znajduje się u prawdziwego producenta filmowego, a nie w tajnym biurze infrastruktury Centralnej Agencji Wywiadowczej. Jakby

W czym mogę panu pomóc?

zgadując jego myśli, Simon Levine uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Taką prowadzimy grę. Chociaż nasi kanadyjscy koledzy po fachu nie dają się nabrać. Moja firma wypożycza techników, sprzęt, statystów producentom, którzy kręcą tutaj, bo jest taniej niż w Hollywood. Prawie dwieście filmów rocznie, począwszy od „Archiwum X”, na „Nieśmiertelnym” skończywszy. Nie dalej jak dwa tygodnie temu był tu Richard Gere. Ja sam przyjeżdżam do Vancouveru kilka razy do roku - w sprawach nie mających nic wspólnego z Agencją.

- Jak udaje się panu pogodzić te dwa zajęcia? - zaniepokoił się Malko, zdziwiony takim zestawieniem. Bardzo dobrze wiedział, że amerykańska agencja wywiadu kontroluje dziesiątki firm, o różnorodnych profilach działalności, służących za przykrywkę. Nigdy nie pomyślałby jednak o kinematografii.

Simon Levine uśmiechnął się rozbijająco. Niezależnie od potężnego organu powonienia, miał dużo wdzięku.

- Zanim zacząłem pracować dla wywiadu, byłem prawdziwym producentem. Brat, który jest analitykiem w Langley, poprosił mnie pewnego razu o jednorazową przysługę. To było dziesięć lat temu. Od tej pory moja firma okazała się bardzo przydatna w wielu przypadkach.

- Dlatego nigdy o panu nie słyszałem - skonstatował Malko mimo że był pan związany z Działem Operacyjnym.

- Ja natomiast wiele słyszałem o panu! - powiedział Simon Levine z ciepłym uśmiechem. - W Langley jest pan miłą postacią: sprawy, z którymi ja mam do czynienia w Adventure Pictures, są o wiele mniej niebezpieczne od tych, w które pan jest zamieszany. Może woli pan rozmawiać po niemiecku? Wiem, że jest pan Austriakiem.

- A nie sprawi to panu kłopotu?

-Mówię po niemiecku, hebrajsku, arabsku, hiszpańsku, portugalsku, trochę po chińsku - wymieniał Simon Levine. - Jestem Amerykaninem, ale urodziłem się w Brazylii, mie-

szkałem w Izraelu i Argentynie. Powiedzmy, że jestem wielokulturowy.

Bardzo różnił się od większości agentów CIA. Czuł się swobodnie także w „cywilnym” świecie.

- W tej operacji pełni pan rolę szefa misji? - zapytał Malko.

- Pełniłem. Teraz jestem do pana dyspozycji, zgodnie z rozkazem Krongarda. To on, po przeprowadzeniu dyskusji z panem Frankiem Capistrano, zażądał, aby wziął pan udział w tej sprawie.

„Buzzy” Krongard został dopiero co mianowany Executive Director CIA, co czyniło go numerem trzecim w Agencji. Reprezentował nową, „twardą” szkołę postępowania, lansowaną po wybraniu na prezydenta George'a W. Busha. Miał osobowość podobną do ludzi z OSS¹, poprzednika dzisiejszej CIA, nazywane też „Oh So Social” z powodu uniwersyteckich korzeni jego członków. Chłopcy z dobrych domów, zaciekli patrioci, skupieni bardziej na działaniu niż pracy analitycznej. „Buzzy” Krongard na pewno świetnie się dogadywał ze starym znajomym Malko, niezatapialnym doradcą do spraw bezpieczeństwa Białego Domu za kadencji kolejnych prezydentów - Frankiem Capistrano. Ten ostatni wysłał go już na niej edną „śliską” akcję.

Zapukano do drzwi i Simon Levine krzyknął, żeby wejść. W pokoju pojawił się mocno zbudowany mężczyzna o typowo latynoskiej urodzie i podkreślonych wąsach. Simon Levine poprosił go żeby usiadł, i dokonał prezentacji.

- Malko, przedstawiam panu Jesusa Domingo, asa atutowego Kompanii. Świetnie pracował w Hondurasie, w latach 1980-1984, czyli w okresie, gdy mieliśmy tam poważne kłopoty. Od tego czasu mieszka w Kanadzie i pan Krongard zdecydował, żeby go wezwać. O co chodzi, Jesus?

- Jadę do Burnaby, oświadczył Jesus Domingo. - John pojedzie ze mną. Jak coś się będzie działo, zawiadomimy pana.

Office of Special Services.

- Doskonale - odrzekł Simon Levine. - Bądźcie ostrożni. Wprowadzę pana Lingę w sprawę. Od tej chwili to on będzie wam wydawał instrukcje.

-*No problem* - stwierdził Jesus z nieco skrępowanym uśmiechem, potem podniósł się i opuścił biuro.

Zaraz po jego wyjściu Malko zapytał:

- Ilu was jest w ekipie?

-Dwudziestudo „przygotowaniaprodukcji”, czyli obsługa części „oficjalnej” naszej działalności. Dysponujemy kilkoma samochodami i helikopterem. Operacją „Sunset” - tą, która pana interesuje, zajmuję sieja, *case-officer*, zatrudniony przez konsulat John Mancham, Jesus i dwóch jego ludzi, którzy emigrowali do Kanady wraz z nim: Manuel Garcia i Juan Olvido. Konsulat zabezpiecza nam łączność. Ponadto jest Isis Scott, która znajduje się pomiędzy tymi dwiema strukturami.

- To znaczy? - zagadnął Malko.

Wyraźnie skrępowany, Simon Levine przypalił sobie papierosa zapalniczką Zippo, ozdobioną głową lwa.

- Isis Scott była miejscową modelką. Postanowiła zrobić karierę w filmie i w ten sposób ją poznałem. Załatwiałem jej małe rólki tutaj albo w Hollywood. Muszę przyznać, że przywiązałem się do niej.

Inaczej mówiąc, była jego kochanką.

- Rozumiem - skomentował Malko obojętnym głosem. - A jaką rolę odgrywa w operacji „Sunset”?

- Zaraz to panu wytłumaczę - wymijająco odparł Simon Levine. - Trzeba zacząć od wyjaśnienia, na czym polega sama operacja...

- Przydałoby się - odrzekł taktownie Malko.

Tak jak zwykle, nie miał pojęcia, jaki był powód jego przybycia do Vancouverze, zaraz po powrocie ze Środkowego Wschodu, gdzie po raz kolejny o mało nie postradał życia.

W ciągu ostatnich dwóch lat, znalazł się w Kanadzie po raz drugi, a Vancouver nie wydał mu się atrakcyjniejszy od Mont-

realu. Simon Levine wziął ze swego biurka fotografię i podał mu ją.

- Zna pan tego człowieka?

Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętego, krótko ostrzyżonego Chińczyka, twarz okrągła o sprytnym spojrzeniu, mały wąsik, muskularne ramiona opięte koszulką polo. Wyglądał na czterdziestkę.

Malko oddał zdjęcie.

- Nie - odparł. - Kto to jest?

- Interesująca postać - zaczął tłumaczyć Simon Levine. - Li Shatin. Urodzony w Xiamen, w prowincji Fujian, dokładnie naprzeciwko wyspy Tajwan. Syn biednych wieśniaków, analfabeta, nie mówiący nawet po angielsku. W ciągu dwudziestu lat zdobył kolosalną fortunę dzięki przemytowi na wielką skalę, opłacając chmarę oficjeli z chińskiej partii komunistycznej i armii ludowej. Mówi się, że wprowadził nielegalnie do Chin towary o wartości dziesięciu miliardów dolarów. Sprowadzał z Tajwanu mercedesy całymi statkami. Skorumpowany urzędnik dostarczał mu tablice rejestracyjne, inny - dokumenty, i tym sposobem zaoszczędził 350 procent na opłatach celnych. Nieszczęściem dla niego, w 1999, w Pekinie zmienił się premier, i to pociągnęło za sobą upadek jego systemu. Kilku z jego bardzo wysoko postawionych współpracowników zostało aresztowanych. Czternastu z nich już rozstrzelano. Jemu udało się uciec.

- Gdzie aktualnie przebywa?

- Tutaj, w Vancouver.

Malko zmarszczył brwi.

- Czemu Agencja się nim interesuje?

Oczy Simona Levine'a rozblęły.

- Pan Li Shatin skompromitował nieprzeliczone rzesze wysokich urzędników partyjnych i wojskowych. Jego współpracownicy rekrutowali się z najbliższego otoczenia prezydenta Chin Jiang Zemina, Przewodniczącego Narodu. Jednym z najaktywniejszych był szef strefy przybrzeżnej, znajdującej się naprze-

ciwko Tajwanu, bazy wypadowej dla ewentualnych operacji wojskowych, skierowanych przeciwko tej wyspie. Czy muszę panu tłumaczyć, jakim „informatorem” byłby dla Agencji?

- Sam to widzę - odparł Malko.

- Tak więc „Buzzy” Krongard wysłał mnie tutaj, abym za wszelką cenę dostarczył Li Shatina na terytorium amerykańskie. Z początku wydało mi się to dziecinnie łatwym zadaniem. Potem...

- Potem co? - zapytał zaintrygowany Malko.

Vancouver był oddalony od granicy amerykańskiej o godzinę jazdy samochodem lub o kilka minut lotu. Ponadto Kanada była krajem sprzymierzonym...

Simon Levine rozprostował wysoką sylwetkę.

- Wytłumczę to panu w barze, na dole. Jednym z nielicznych sympatycznych miejsc w tym mieście.

* * *

Siedząca w barze Gerard piersiasta Kanadyjka wepchnęła grubym kciukiem ćwiartkę cytryny do butelki piwa Corona

i wypila ją duszkiem pod zblazowanym okiem barmana.

W barze Sutton Place można było zobaczyć wszystko, choć był bardzo elegancki, wyłożony boazerią, z przyćmionymi światłami i dyskretnymi łóżami, zajętymi przez plotkujące ładne kobiety i biznesmenów. Zupełnie jak w Nowym Jorku. Wszystkie miejsca przy barze były zajęte. Simon Levine wsisnął się do jedynej wolnej łoży i zamówił u kelnera podwójnego, pięcioletniego Defendera z lodem. Malko zamówił wódkę. Panujący gwar zagłuszał ich rozmowę.

Malko pozwolił Amerykaninowi posmakować szkockiej whisky, zanim zadał pierwsze pytanie.

- Taki człowiek, jak ten Li Shatin powinien aż palić się do schronienia w Stanach - zauważył. - Czemu go tam jeszcze nie ma?

- Dobrze pytanie - odparł Simon Levine, lustrując wysoką blondynkę o krzykliwym głosie, przyśrubowaną do barowego stołka, która właśnie się odkręciła, pokazując dużą partię ud.

- Odpowiem panu, ale nie wyczerpująco. Po pierwsze, Li Shatin, uprzedzony o tym, że ma być aresztowany, wskoczył do pierwszego samolotu do Kanady, kraju, w którym wystarczała wiza turystyczna. Po drugie, zażądał azylu politycznego. Ma tu wielu przyjaciół, myślał więc, że pobyt nie potrwa długo. Sprawy przybrały jednak niepomysłny obrót i nie wydaje się, żeby mógł wrócić kiedykolwiek do Chin. Chyba żeby dać się rozstrzelać.

- Dotąd nie zaproponował mu pan azylu politycznego? zdziwił się Malko.

Simon Levine westchnął.

- Jesteśmy gotowi zaofiarować mu azyl polityczny w złotej klatce, ale jest pewien szkopał. Poważny szkopał. Odkąd Pekin dowiedział się, że Li Shatin przebywa w Kanadzie, dyplomacja chińska rozpętała burzę. Chiński ambasador w Ottawie, pan Mei Ping, oficjalnie zażądał wydania go Chińczykom jako pospolitego przestępcę. W imię doskonałych stosunków łączących oba kraje... O mało do tego nie doszło. Szczęśliwie się złożyło, że między Kanadą i Chinami nie ma umowy o ekstradycji. Trzeba by nagiąć kilka ustaw, a to już nie było takie oczywiste. Tym bardziej że interweniował z kolei nasz Departament Stanu, precyzując, iż odesłanie Li Shatina do Chin na pewną egzekucję zostałyby poczytane za gest wysoce nieprzyjazny. Ponadto zaalarmowaliśmy organizacje obrony praw człowieka w rodzaju Amnesty International, które podniosły alarm i robią to po dziś dzień. Nie należy zapominać, że Chiny pobiły rekord w ilości dokonanych egzekucji.

Malko umoczył usta w wódce, w sam raz zamrożonej. Przy barze Kanadyjka o wydatnym biuście atakowała trzecią butelkę piwa. Między kolanami mogłaby zmiażdżyć niedźwiedzia grizli...

- Czemu Kanada miałaby wchodzić w grę z Pekinem? - zdziwił się.

-Znowu dobre pytanie - odrzekł Simon Levine, uśmiechając się kątem ust. - Spośród wszystkich krajów uprzemysłowionych, Kanada jest najbliżej Pekinu. Z dwóch oczywistych powodów i trzeciego, mniej oczywistego. Dwa pierwsze, to liczebność społeczności chińskiej i wartość wymiany handlowej. Trzecia przyczyna jest bardziej kontrowersyjna. Z licznych źródeł informacji w środowiskach wywiadowczych, łącznie z FBI, wynika, że Guangbu, przy pomocy niektórych triad, przeniknęło do kanadyjskich kół przemysłowych i wojskowych. Dzięki wyrafinowanemu systemowi korpucji i infiltracji FBI odkryło, że dwie wielkie partie kanadyjskie - partia liberalna i partia konserwatywna - otrzymały tajne zasilenie kont pochodzące z Chin. Byli wyżsi oficerowie policji kanadyjskiej stają na czele wielkich spółek, należących do Chińczyków. W Ontario istnieje studio filmowe, którego szefem jest wprawdzie Kanadyjczyk, lecz które ma powiązania zjedną z triad, a ta z kolei z chińskimi służbami bezpieczeństwa. Rząd w Pekinie, dyskretnie lecz systematycznie, infiltruje wielkie spółki stosujące w produkcji wysokie technologie, nie wyłączając nuklearnej. Pozyskuje znaczne wpływy w kanadyjskich środowiskach politycznych. Premier, Jean Chretien, nie ukrywa swych powiązań z komunistycznymi Chinami.

- I wszyscy o tym wiedzą? - zdumiał się Malko.

- Niezupełnie - uśmiechnął się Simon Levine. - W 1996 roku dwie wielkie kanadyjskie agencje wywiadowcze, RCMP i CSIS¹ opracowały raport na temat penetracji Kanady przez Chińczyków. Raport nosił nazwę „Sidewinder”. Dwadzieścia trzy strony mieszanki wybuchowej. Pozostał nieznan szerzej publiczności. Zaledwie dotarł do rąk rządu, a ten już

Kanadyjska służba bezpieczeństwa.

ogłosił, że to stek kłamstw. Mimo to został utajniony i wszystkim, którzy mieli z nim do czynienia, nakazano milczenie. Jednego z głównych autorów raportu, oficera RCMP, odesłano na emeryturę, ponieważ sprzeniewierzył się tej zмовie milczenia. I nikt już więcej nie słyszał o „Sidewinder”.

-Jest pan świetnie poinformowany - pogratulował mu Malko.

Simon Levine upił łyk Defendera i rzekł:

- Ten oficer, Brian Murray, jest jednym z moich najdawniejszych informatorów. Dzięki niemu mogliśmy w grudniu 1996 udaremnić pewną operację chińskich służb. Za pośrednictwem jednej z kanadyjskich spółek dostarczyli dwa tysiące AK.-47 indiańskim aktywistom z rezerwatu Mohawk, *Amerindian Warriors*. Ci ostatni zamierzali wznieść powstanie przeciwko władzom federalnym. A więc zaraz po tym, jak powierzono mi operację „Sunset”, skontaktowałem się z Briannem Murrayem. Dzięki przyjaciółom, których ma prawie wszędzie, mogliśmy uprzedzić na czas manipulacje rządu kanadyjskiego i zapobiec im. Nadal nas informuje. I tu wkracza na scenę Isis Scott. Brian ma bzika na jej punkcie. Zgodził się nam pomagać, ryzykując utratę wolności, a może nawet coś więcej, żeby nie tracić z nią kontaktu. Ona oczywiście go zwodzi, bo mimo wszystko jest trochę naiwny.

Jego rozmówca tak się napuszył, że Malko zapragnął poznać jak najprędzej tę kanadyjską Matę Hari.

- Skoro jesteście tak świetnie poinformowani, czemu nie udało się wam pozyskać Li Shatina?

- Ponieważ Kanadyjczycy sprzeciwiają się temu. Uprzedzono go, że jeśli będzie próbował schronić się u nas, natychmiast odesłają go do Chin. A kanadyjski rząd wystawił oficjalną notę Waszyngtonowi, żądając, by nie mieszał się do sprawy Li Shatina. Oczywiście, te dyplomatyczne pedały z Departamentu Stanu natychmiast stchórzyły i podrzuciły ją do Langley.

W barze było coraz głośniejsze i Malko musiał niemal krzy-
czeć, zadając następne pytanie.

- A panu osobiście też się nie udało?

- Nie - przyznał głucho Amerykanin. - Li Shatin jest pil-
nowany dzień i noc przez agentów RCMP. Nie można się do
niego zbliżyć, ani nawet zatelefonować. Linie telefoniczne
ma na podsłuchu. Możemy go śledzić tylko wtedy, gdy się
przemieszcza. To trwa już dwa miesiące. Na początku trafiła
się nam obiecująca okazja: pojechał grać do kasyna Niagara
Falls. Dosłownie kilka metrów od granicy! Pojechaliśmy za
nim. Kanadyjczycy zorientowali się jednak, zatrzymali go
pod błahym pretekstem i odstawili tutaj...

- Rozmawiał pan z nim?

- Bezpośrednio nie. Z pomocą pewnego adwokata - Chiń-
czyka, Victora Changa, który pragnąłby również, żeby Li
Shatin znalazł się u nas. Przekazał mu naszą ofertę, ale odpo-
wiedź była wymijająca.

- To dziwne...

- Tak i nie. Mamy wrażenie, że Li Shatin aż do tej pory
miał nadzieję zawrzeć ugodę z Chińczykami. Myślę, że jest
jeszcze inny powód, który tłumaczy rezerwę Li Shatina w tej
kwestii. To bliskość, w jakiej Stany Zjednoczone pozostają
z Tajwanem...

- To nie powinno mu przeszkadzać - zaproponował Malko.

Simon Levine wypił łyk Defendera i znowu się uśmiechnął.

- A jednak tak. Ma pewną rzecz na sumieniu. Po tym, jak
zrobił fortunę w swojej prowincji, wyemigrował do Hong-
kongu. Kupując wszystkie przemywane towary na wyspie,
był w doskonałych stosunkach z Tajwańczykami z Hongkon-
gu. Aż do 1997 roku, kiedy komunistyczni przyjaciele Li
Shatina zażądali, by użył swych wpływów i pomógł im
w rozbiciu tajwańskiej siatki wywiadowczej w Hongkongu.
Nie będąc dzikusiem, zgodził się i został tajnym agentem Gu-
angbu! Nie z powodu przekonań politycznych, rzecz jasna,

lecz aby mieć przyzwolenie na przestępczą działalność... Tak dobrze się sprawił, że udało mu się „wystawić” szefa tajwańskiego wywiadu wojskowego w Hongkongu, Yue Bingnana, darzącego go pełnym zaufaniem. Li Shatin z zimną krwią wydał go w ręce władz Pekinu, wraz z całą organizacją... Dzisiaj Yue Bingnan oczekuje wykonania wyroku śmierci wraz z dwudziestoma innymi tajwańskimi szpiegami. A tajwańskie służby wywiadowcze wyznaczyły nagrodę za głowę Li Shatina. Ci chcą go widzieć martwego. I najchętniej - posiekanego na kawałki. To nie ułatwia nam zadania, bo Li Shatin zastanawia się, czy po wyczerpujących przesłuchaniach nie zechcemy go przekazać w ręce naszych sprzymierzeńców z Tajwanu.

„Bardzo prawdopodobna hipoteza”, pomyślał Malko, który nie był naiwny. Spalony informator był wart tyle, co pusta butelka po coca coli. Zdecydowanie ten Li Shatin był postacią o wielu twarzach...

Chciał właśnie zadać następne pytanie, gdy zauważył młodą kobietę torującą sobie drogę w tłumie okupującym bar. Wysoka blondynka o splecionych włosach, w ciemnych okularach i fioletowej koszuli, pękającej pod naciskiem wydatnego biustu, o łakomych ustach i książęcej postawie.

- Proszę - zauważył - oto gwiazda! Więc r z e c z y w i - ście są tu ludzie kina.

Blondynka zbliżała się do ich stolika. Simon Levine podniósł się z niezręcznym ożywieniem licealisty i powiedział zmienionym nagle głosem:

- Malko, przedstawiam panu Isis Scott! Isis, to księżę Malko Lingę.

Isis Scott znieruchomiła, zdjęła ciemne okulary i posłała Malko spojrzeń, które powaliłoby bizona. Bezpośrednie, erotyczne, pewne siebie.

- Witam, panie Lingę - powiedziała pewnym głosem. - Miło mi pana poznać.

Malko uściśnął wyciągniętą dłoń i odniósł wrażenie, że jest oblepiona bardzo mocnym klejem... Nie wypuszczała jego dłoni, patrząc mu w oczy z dziwnym, żarłocznym wyrazem twarzy. Kątem oka zobaczył, że Simon Levine ma ochotę odwrócić wzrok. Zielonkawy na twarzy.

- Niech pani usiądzie, Isis - zaproponował Amerykanin zduszonym głosem.

Malko udało się uwolnić dłoń i młoda kobieta wśliznęła się między nich. Ledwie usiadła, odwróciła się w stronę Simona Levine'a i pocałowała go przeciągle w usta! Podczas gdy jej udo pod stołem przywarło do uda drugiego mężczyzny...

Szpieg okazjonalny, ale łajdaczka prawdziwa.

Kiedy odzyskał oddech, uspokojony tą demonstracją uczuć, Simon Levine pochylił się w stronę Malko z konspiracyjną miną.

- Jak panu tłumaczyłem, Isis jest naszym *baifl* do zwerbowania Briana Murraya.

Zmysłowym ruchem pulchna Isis odwróciła się w stronę Malko i zapytała:

- Panie Lingę, czy sądzi pan, że jestem d o b r ą przynętą?

Jej udo pozostawało jak przylutowane do uda Malko. Pomyślał sobie, że polowanie na Li Shatina może mu zgotować kilka niespodzianek. Osoba taka jak Isis na pewno nie uprości sprawy.

- Niewątpliwie - powiedział. - Każdy by się na nią złapał...

Bał się, że Simon Levine rzuci mu się do gardła, ale Amerykaninowi udało się zaśmiać fałszywie i zapytać:

- Czego się pani napije, Isis?

- Truskawkowe daiquiri.

Aby rozluźnić atmosferę, Malko pośpiesznie nawiązał:

Przynęta.

- Proszę opowiadać dalej. Czego oczekują Kanadyjczycy?
- Chcą zyskać na czasie - odpowiedział Amerykanin. -
Tak, żeby umożliwić swoim chińskim przyjaciółom dyskretne
wylimitowanie Li Shatina. I dawno by się to udało, gdyby
nie ochrona bandziorów z zaprzyjaźnionych z Chińczykiem,
kanadyjskich triad. Liczyliśmy, że uda nam się wymyślić ja-
kąś sztuczkę, aby go delikatnie z tego układu wymanewrować
- ciągnął Simon Levine - ale kilka dni temu wydarzyło się
coś, co kazało nam zdwoić czujność. Uważam, że tym razem
chińskie służby bezpieczeństwa zdecydowały się zgładzić Li
Shatina najszybciej, jak to możliwe. Oto powód, dla którego
pan się tu znalazł.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Co się stało? - zapytał Malko.

- Nie wyjaśniliśmy jeszcze tego incydentu - tłumaczył Amerykanin. - W czasie ostatniego weekendu Li Shatin i jego najbliższa ochrona udali się na Vancouver Island, do luksusowego hotelu Wickaninnish Inn. Śledził ich John Mancham. W sobotę po południu widział, jak do hotelu weszła młoda Chinka z płaską walizeczką. Przyleciała samolotem z Vancouveru, zapytała o Li Shatina, a ten natychmiast ją przyjął.

Ciągnął opowiadanie o tym, co zaobserwował *case-officer* CIA, konkludując, że nieznajoma została prawdopodobnie zamordowana.

- Nie jesteśmy pewni, co się naprawdę stało, nie wiemy nawet, skąd przyszła, ani jak się nazywała. Ale mamy 99 procent pewności na 100, że ją zabili, a ciało zakopali w „rain forest”. Ponieważ przybyła dobrowolnie, może być tylko jedno wytłumaczenie: próbowała zabić Li Shatina i albo on, albo jego zbiry, zlikwidowali ją. Ale to oczywiście tylko hipoteza. Spróbujemy ją sprawdzić za pośrednictwem Victora Changa, adwokata Li Shatina. Jeśli okaże się prawdą, ten ostatni nie będzie się tym zanadto chwalił. Moim zdaniem Chińczycy, nie mogąc wymóc na Kanadyjczykach wydania Li Shatina, sami przeszli do ofensywy. Próbując go zabić.

- Wydaje się logiczne - przyznał Malko. - Ale czemu przysłali samotną kobietę zamiast oddziału zabójców?

- Nie mam pojęcia. Może było to łatwiejsze od frontalnego ataku. Li Shatin jest dobrze pilnowany

- Czy to nie mógłby być wyczyn tajwańskich przyjaciół?

- W zasadzie nie - zapewnił Simon Levine. - Zapytaliśmy ich o to.

Barowy zgiełek nasilał się. Isis Scott ziewnęła i posłała Malko zabójczy uśmiech.

- Jak pan sądzi, mogłabym oczarować tego Chińczyka? - zapytała rozbawionym tonem. Była zdecydowanie rozochocona.

- Z pewnością! Jeszcze pani nie próbowała?

Simon Levine odpowiedział za nią, nieco suchym tonem:

- Li Shatin wychodzi z domu tylko po to, żeby udać się do kasyna - albo Great Canadian Casino de Richmond albo tego w Holliday Inn. Do nikogo się nie odzywa, a ze swoimi ochroniarzami rozmawia wyłącznie po kantońsku...

Jakiś anioł o skośnych oczach przemierzył bar i znikł. Malko o mało co nie powiedział, że ciało Isis jest wielojęzyczne, ale się powstrzymał. Udo oficjalnej kochanki Simona Levine'a nie odrywało się od jego uda.

- Co ma pan zamiar zrobić? - zapytał.

Simon Levine pociągnął łyk swego Defendera. Jego ogromny nos zdawał się wydłużać jeszcze bardziej.

- Langley żąda, aby zorganizował pan porwanie Li Shatina - powiedział ponurym tonem. - Od tej chwili rozpoczął się wyścig z czasem pomiędzy Chińczykami z Pekinu i nami. Z dodatkowymi punktami dla nich, bo Kanadyjczycy przymkną oczy.

- Według tego, co pan tu powiedział, to *mission impossible*!

Niewykonalna misja, [przyp. tłum.]

- Wcale nie. Po prostu b a r d z o trudna - skorygował Simon Levine. - Oczywiście, jeśli damy się złapać, wsadzą nas.

Malko powstrzymał uśmiech. Levine przywiódł mu na myśl adwokata, który przyszedł powiadomić klienta o wyroku skazującym na karę śmierci, mówiąc: „zostaliśmy skazani na śmierć”. Zagrożenie dotyczyło tylko jego. Jak zwykle, kiedy w grę wchodził podwyższony poziom ryzyka, CIA wołało pełnić rolę podwykonawcy.

- Gdzie mieszka Li Shatin? - zapytał.

- W jednej z eleganckich dzielnic, Burnaby, we wschodniej części Vancouveru. Na siedemnastym piętrze wieżowca Crystal Court, w którym na parterze mieści się posterunek policji. Kanadyjczycy podsłuchują wszystkie jego rozmowy i nie da się z nim rozmawiać tak, żeby nie być słyszonym. Nie rusza się nigdzie bez obstawy.

Inaczej mówiąc, trzeba by pozbyć się i Chińczyków, i Kanadyjczyków...

- To niezbyt zachęcające - rzucił Malko.

Simon Levine spojrział na niego groźnie.

- Z tego właśnie powodu Langley pana wezwała. Kiedy tu przybyłem, oceniłem tę sprawę jako raczej zabawną i sądziłem, że łatwo będzie przekonać Chińczyka, żeby nam towarzyszył. Helikopterem - opuścilibyśmy kanadyjską przestrzeń powietrzną w dziesięć minut. Jak się okazało, operacja jest trudna, zawiera pewną dozę ryzyka. Kolesie Li Shatina nie zawahają się nas zastrzelić w każdej sytuacji, jeśli dostaną rozkaz.

Malko pomyślał, że wolałby mieć przy sobie Chrisa Jonesa i Milтона Brabecka, dwie „niańki” CIA i swoich starych kumpli, niż romantycznego Simona Levine'a w pełnym rozkwicie miodowego miesiąca z tą pięknością z piekła rodem. Jednak w oczach Langley byli oni zbyt cenni, żeby narażać ich na niepotrzebne ryzyko.

Wypił swoją wódkę i zapytał:

- Li Shatin jest aż tyle wart?

Simon Levine pokiwał głową.

- Widzę, że pan nie rozumiał! Jeśli położymy na nim łapę, możemy zachwiać całym chińskim systemem politycznym. Proszę samemu ocenić: jego głównym wspólnikiem był generał Ji Zhengde, szef Guangbu od 1992 roku. Li Shatin wie o nim wszystko. Został co prawda aresztowany, ale pozostaje w swojej rezydencji pod strażą. To on wysłał trzysta tysięcy dolarów na koszty kampanii prezydenckiej Billa Clintona, w 1996, aby go skompromitować. Lista jego oficjalnych znajomków pokrywa się z chińskim *Who's Who*. A przecież nie wiemy wszystkiego. To tylko czubek góry lodowej. Ponadto Li Shatin posiada nie tylko numery telefonów i dokumenty, ale także filmy! Zapraszał wszystkich zaprzyjaźnionych dygnitarzy partyjnych na orgietki do Czerwonego Pawilonu w Xiamen. I filmował ich... Z pewnością zachował te filmy. Gdyby tylko można było je zdobyć! Nigdy nie udało nam się zwerbować kogoś ważnego w komunistycznej hierarchii. W takiej sytuacji byłiby gotowi do współpracy. Moglibyśmy poznać chińską politykę od środka... Możemy tylko sobie wyobrazić, jakby to było, gdybyśmy dysponowali tymi taśmami wtedy, gdy porwali nasz szpiegowski samolot...

- Jest pan pewien, że Li Shatin się nie przechwala?

Simon Levine skończył whisky. Bar był teraz przepelniony, a hałas nie do zniesienia.

- Nie jesteśmy naiwniakami! W grudniu ubiegłego roku udało nam się przechwycić kapitana Xu Jungpinga. Nie był co prawda bardzo ważną osobistością, ale potwierdził wszystko, co mówił Li Shatin. Udało mu się dotrzeć do wszystkich wysokich rangą funkcjonariuszy partii i armii ludowej, przydatnych mu w prowadzeniu interesów. Ci ludzie stanowiliby dla nas bezcenny bank danych. Zresztą tu Biały Dom się nie pomylił. Chiny mają obsesję na punkcie naszego nowego prezydenta.

Zamilkł. Isis Scott wypła truskawkowe daiquiri. Zawołała kelnera i zamówiła następne. Malko zauważył Jesusa Domingo, rozgarniającego tłum, aby do nich dotrzeć.

- Patrzcie, idzie *spouk!*! - Powiedziała Isis półgłosem. Latynos zbliżył się i wyszczerzywszy zęby patrzył pożądliwie na Isis.

- Co się stało? - zapytał natychmiast Simon Levine.

- Potrzebuję pieniędzy - wytłumaczył mu Jesus Domingo.

- Udało nam się skumplować z jednym *zjanitors*² budynku. Może nam dostarczyć informacji, ale nie za darmo.

- Dobrze, zaraz panu dam - powiedział Amerykanin. - Chodźmy na górę.

Wstał, a Isis się nadała.

- Nie mam ochoty iść z wami, poczekamy tutaj. Skończcie swoje daiquiri. Wracaj prędko.

Simon Levine wstał z głębokim westchnieniem i oddalił się w towarzystwie Jesiisa Domingo.

Isis zwróciła się do Malko:

- Teraz możemy pobyć trochę sami...

W konkursie ladacznic zdobyłaby złoty medal.

- Nienawidzę tego Dominga - powiedziała z przekonaniem.

- Ach tak, powiedział Malko. - Dlaczego?

- Po pierwsze, pewnego dnia kiedy zostaliśmy sami w biurze, próbował ściągnąć mi majtki.

Jeśli zachowywała się wobec niego tak, jak wobec Malko, był usprawiedliwiony.

- To nieładnie - uciał Malko - ale wielu mężczyzn może odczuwać taką pokusę...

Isis zachichotała:

- Dziękuję. Ale nie tylko dla tego jest obrzydliwym typem. Opowiadał mi o swoim życiu. Zabił mnóstwo ludzi.

Potwór.

Konserwator.

- Ach tak! - Powiedział Malko, nastawiając uszu. - Tutaj, w Kanadzie?

- Nie, w Hondurasie, jego ojczyźnie. Pracował dla CIA dowodząc szwadronem śmierci, likwidującym ludzi o antyamerykańskim nastawieniu. Chwalił się, że zamordował setki ludzi, w tym kobiety i dzieci. Za pomocą maczety, strzelby, a nawet dusząc ich w plastikowym worku. Myślał, że to mnie podnieci.

- I podnieciło?

- Trochę - przyznała naburmuszona Isis. - Ale nie na tyle, żebym dała się przelecieć.

- Jest poszukiwany?

- Oczywiście. Dlatego uciekł do Kanady. Simon obiecywał, że sprowadzi go do Stanów, ale to obrzydliwy typ.

Zdecydowanie CIA nie pozbyło się złych nawyków. Ekipa, która miała zająć się Li Shatinem była bardzo zróżnicowana.

Od Isis Scott poczynając. Ta ostatnia lustrowała go od góry do dołu, sącząc jeszcze jedno daiquiri.

- Czy ja się panu podobam? - zapytała zniecierpliwiona.

- Jest pani wspaniała - stwierdził Malko nie wysilając się zbyt.

Isis znowu się nadała..

- Utyłam... Dawniej, będąc modelką, byłam o wiele ładniejsza. Zastanawiam się, czy nadal podobam się mężczyznom...

- Jeżeli o mnie chodzi, tak! - zapewnił Malko. - A co do Levine'a, to szaleje za panią.

- Jest trochę wiekowy... i zbyt zaborczy...

Pomiędzy nimi musiało być około trzydziestu lat różnicy. Trudno się było dziwić Levine'owi.

- Niech pani się rozejrzy za kimś młodszym - zasugerował Malko.

- Nie, odpowiedziała zdecydowanie. - Chcę grać w filmach, zostać gwiazdą, być sławna. Bez niego nie uda mi się.

Przynajmniej wyraziła się jasno.

- W takim razie musi pani grać dalej.

Isis pokiwała głową.

- Sympatyczny gość z pana. Proszę nie ufać Jesusowi.

Gdyby pan wiedział, co mi opowiadał... Powrót do Hondurasu oznaczałoby dla niego śmierć. Nawet tu, w Kanadzie, musi się ukrywać. Wydano na niego wyrok śmierci. Zawsze nosi przy sobie broń. Wielki czarny pistolet, naładowany. Myśli tylko o tym, żeby dorwać jakąś kobietę. Widział pan Sandrę, blondynkę o końskiej twarzy z recepcji? Ma bzika na jego punkcie. Wieczorem zamyka drzwi na klucz, a on posuwają na biurku.

- Skąd pani to wie?

Isis uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Pewnego wieczoru nie spostrzegli się, że byłam jeszcze w biurze Simona. Słyszałam jej szaleńcze piski. Poszłam zobaczyć. Leżała rozciągnięta na biurku, a on posuwał ją na stojąco...

Jej twarz spochmurniała. Patrzyła uporczywie na Malko, oczy miała koloru morza.

- Może zabrałby mnie pan do kina? - zaproponowała. - W tajemnicy przed Simonem. Lubię flirtować po ciemku.

Wkroczyli w zakazaną strefę.

- Ile ma pani lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Nie chciałaby pani mieć chłopca w swoim wieku?

Isis rzuciła mu ponure spojrzenie.

- To idioci. Jeden z moich sąsiadów, bardzo przystojny facet, od dawna latał za mną. Obmacywał mnie już, kiedy byłam dziewczynką, a jak skończyłam osiemnaście lat, przespałam się z nim. Powiedziałam, że lubię muskularnych mężczyzn, wtedy zaczął faszzerować się sterydami, aż stał się atletą.

Westchnęła wzgardliwie...

- Tyle że wystąpił też e f e k t u b o c z n y .

- Jaki? - zapytał zaintygowany Malko.

- Jego przyrodzenie zmalało do rozmiarów zielonego groszku... - powiedziała z pogardą. - Nie mógł się już kochać ze mną. Mimo, że był wspaniale umięśniony. Zostawiłam go, teraz nie żyje.

- Jak to się stało?

- Powiesił się w swoim pokoju. Przedtem przewrócił mój samochód, żeby pokazać, ile ma siły...

Anioł przeszedł i szybko oddalił się, przerażony. Młodość odeszła. Isis zapytała gwałtownie:

- Gdzie pan mieszka?

- W hotelu Hyatt.

- Który pokój?

- 1708. Czemu pani pyta?

- Bo ja mieszkam tu razem z Simonem - oświadczyła wprost. Zadzwoiła komórka i dziewczyna wyszarpnęła ją z torebki. Jej twarz pojaśniała. - Brian! Cieszę się, że dzwoniysz...

Widocznie chodziło o Briana Murraya, informatora Simona Levine'a. Rozmowa trwała krótko.

- Chce mnie zobaczyć - oświadczyła Isis. - Wygląda na to, że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

- Gdzie? Tutaj?

Zniżyła głos:

- Nie, u niego. Pójdę już, zanim Simon wróci. Jest przekonany, że spotykamy się w miejscach publicznych. Ale u niego jest przyjemniej, ma płyty z dobrą muzyką. Poza tym jest przemiły. Do zobaczenia wkrótce!

Wstała, zostawiając ledwie napoczęte daiquiri. Malko pomyślał, że Simon Levine przejdzie długą drogę krzyżową. Najprawdopodobniej Brian Murray był kochankiem Isis. Nie minęły trzy minuty od jej odejścia, gdy pojawił się Simon Levine.

- Gdzie Isis? - zapytał natychmiast, jakby Malko ukrył ją pod kanapą.

- Poszła na spotkanie z Brianem Murrayem - oświadczył.
- Zdaje się, że ma jakąś ważną informację.
 - Ach tak! - powiedział Amerykanin skurczywszy się nagle.
 - Nie powiedziała gdzie?
 - Nie.
 - Dobrze - powiedział zrezygowany. - Pokażę panu, gdzie mieszka Li Shatin.

* * *

Ogromny, czarny terenowy lincoln interceptor o przyciemnionych szybach stał zaparkowany przed hotelem obok czerwonego ferrari. Simon Levine usiadł za kierownicą i zatrzaskał drzwiczki, a te wydały odgłos zamykanej szafy panczernej: pojazd był opancerzony. Malko zauważył wciśnięty między siedzenia pistolet automatyczny Skorpion. Znalazł się w znajomym otoczeniu...

Pojechali Burrard Street, potem skręcili w lewo w kierunku wschodnim. Ruch odbywał się rozpaczliwie wolno, z powodu deszczu i świateł. Wjechali w Kmgsway, długą ukośną aleję biegnącą na południowy wschód. Wzdłuż alei ciągnęły się warsztaty, małe domki, stare kamienice. Przygnębiający widok. Amerykanin był zamyślony. Spojrzał na Malko z ukosa.

- Isis nie naopowiadała panu głupstw?...
- Jest urocza - odpowiedział Malko wymijająco.
Simon Levine pokiwał głową.
- Trudno z nią wytrzymać. Odkąd trochę utyla, nabrała przekonania, że straciła seksapil. Próbuje więc oczarować wszystkich wokół.
 - Dziecinada - westchnął Malko.
Amerykanin wydawał się być innego zdania.
 - Jesus o mało co jej nie zgwałcił na m o i m biurku. Tak go podnieciła. To Latynos... Wobec pana była OK?

- W zupełności.

Levinowi wyraźnie ulżyło.

- Tak czy inaczej, jest nam bardzo przydatna. Brian Murray je jej z ręki. Nie przekazałby nam tylu informacji, gdyby nie ona.

Jechali jeszcze dwadzieścia minut, aż dotarli do Burnaby, eleganckiego przedmieścia Vancouveru. Na skrzyżowaniu z Willingdon Avenue, Simon Levine skręcił w prawo.

- Jesteśmy na miejscu. To ten okrągły zielonkawy wieżowiec.

Wskazał na dwudziestopiętrową wieżę o dziwacznych zielonych zasłonach, które upodobały ją do akwarium. Zatrzymał się przy przeciwległym chodniku, kilka metrów od białego dodge'a z dwiema osobami w środku.

- To Manuel i Juan - wyjaśnił Amerykanin.

Po prawej stronie budynku znajdował się posterunek Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. W poprzecznej uliczce parkowało kilka wozów policyjnych.

Simon Levine i Malko podeszli do Crystal Court. Wielkie oszklone drzwi prowadziły do hallu. Siedzący na ławeczce koło wind trzydziestoletni Chińczyk, w podkoszulku, ze sportową torbą między nogami, czytał gazetę. Jego barki, ramiona, a nawet dłonie pokryte były tatuażem! Miał okrągłą twarz, króciutkie włosy i wygląd brutala. Rzucił w ich stronę przelotne spojrzenie, po czym na nowo pogrążył się w lekturze.

Simon Levine zatrzymał się nieco dalej.

- Przed chwilą widział pan „Czarnego Ducha” Minga - powiedział - znanego i bardzo groźnego przestępcę, szefa ochrony Li Shatina. Wielu jego ludzi jest na pewno w mieszkaniu, na siedemnastym piętrze. Za pomocą komórki może zebrać tuzin morderców w ciągu kilku minut.

- Nie można by im jakoś przekazać wiadomości?

- Mają zakaz rozmawiania z kimkolwiek.

Kiedy już przeszli, Chińczyk przyjrzał im się, tym razem o wiele dłużej.

Potem jeden z policyjnych wozów ruszył, przejechał obok nich i skierował się w stronę skrzyżowania z Kingsway.

- Kanadyjczycy bezlitośnie nas namierzają - zauważył Malko. - Będą reagować?

Simon Levine uśmiechnął się.

- Jasne, że wiedzą, kim jesteśmy, ale wiedzą także, że między Departamentem Stanu i nimi został zawarty pakt o nieagresji. Wierzą, że nie padną ofiarą podstęp.

Ponownie wsiedli do wielkiej terenówki, zostawiając na warcie dwóch obywateli Hondurasu.

- Ciekawym, czego dowiedział się Brian Murray - powiedział Simon Levine, kiedy jechali z powrotem Kingsway w stronę hotelu. - Mam nadzieję, że nie chodziło tylko o pretekst, żeby wypić drinka z Isis.

Znowu znaleźli się w barze, tym razem prawie pustym. Simon Levine, nerwowo jak młodzieniec, zerkał co trzydzieści sekund na drzwi wejściowe. Pił drugą szklaneczkę dwunastoletniego Defendera Success bez lodu, a Malko nie mógł znaleźć sobie miejsca. Była dziewiąta, a Isis ciągle się nie pojawiła... Po raz dwudziesty Amerykanin spytał Malko:

- Jest pan pewien, że niczego nie powiedziała?

Komórka młodej kobiety była wyłączona. Co pięć minut Simon Levine dzwonił ze swojej do ich apartamentu. W międzyczasie strzelał rytmicznie wiekiem zapalniczki Zippo.

- Cholera! - zaklął Malko. - Może musiała daleko jechać na spotkanie.

- No, nareszcie! - powiedział nagle Simon Levine, podrywając się na równe nogi.

Isis przemierzyła bar nonszalanckim i zmysłowym krokiem, po czym usiadła obok nich.

- Co za korki! - westchnęła.

W tym momencie Malko był już pewien, że wyszła prosto z łóżka Briana Murraya. Wyglądała zbyt kwitnąco i była zbyt pewna siebie.

- Dobry Boże! Gdzie byłaś? - zrzędził Amerykanin.

- Z Brianem - odpowiedziała lekkim tonem młoda kobieta. - Strasznie się spóźnił. To mnie wcale nie bawi. Robię to tylko dla ciebie.

- Gdzie?

- W kawiarni na Powell Street.

- Co ci powiedział?

- Nic. Kazał ci to dać.

Podala mu zaklejoną kopertę. Natychmiast ją otworzył. Malko zauważył, że zmienił mu się wyraz twarzy. Bez słowa Amerykanin podał mu kartkę papieru, żeby mógł odczytać trzy linijki tekstu, wystukane na maszynie:

„Guangbu przygotowuje porwanie Li Shatina. Ma być wywieziony po cichu do Chin na statku «Pretty River» za wiedzą Kanadyjczykó w.”

ROZDZIAŁ CZWARTY

Malko położył kartkę na stole, błyskawicznie oceniając w myśli skutki informacji: jego niezgrany zespół natknie się na postanowienia d w ó c h r z ą d ó w , w tym jednego stojącego na czele państwa, na którego terytorium się znajdowali. Skórka za wyprawkę.

- To zła nowina - skomentował ostrożnie.

Zupełnie oderwana od tych rozważań Isis, wyciągnęła z torebki paczkę marlboro, Malko przypalił jej papierosa srebrną zapalniczką Zippo. Młoda kobieta wydmuchnęła dym i zapytała:

- Idziemy na kolację? Jestem głodna.

Simon Levine zbladł. Z wściekłością połknął resztę swego Defendera Success.

- Co za łajdaki, ci Kanadyjczycy! - męł przekleństwa w zębach. - Palanci! Skurwysyny! Trzeba natychmiast uprzedzić Langley. Isis, czy poza tym Brian nic ci nie powiedział?

Isis powoli wydmuchiwała dym, z widoczną euforią i całkowitym brakiem zainteresowania losem Li Shatina. Całe jej ciało emanowało erotycznym spełnieniem.

- Tak - przyznała. - Brian mi powiedział, że spotka się z tobajutro o szóstej, tam gdzie zwykle, i postara się zdobyć więcej informacji. Teraz już możemy coś zjeść?

Nie musieli iść daleko: restauracja zaopatrzona we wspa-
niały bufet przylegała do baru. Zaledwie usiedli, Isis zamówi-
ła u kelnera butelkę Taittingera, przypuszczalnie, aby uczcić
swój potajemny orgazm. Kiedy poszła do bufetu, Malko za-
pytał:

- Ten Brian Murray to ktoś godny zaufania?
- Zawsze dotąd był - powiedział Amerykanin. - A tym
bardziej teraz, odkąd uwodzi Isis. Dobrze wie, że to ja trzy-
mam smycz.

Bardzo luźną smycz... Co pozwalało na dużą swobodę. Le-
piej nie pozbawiać jednak Simona Levine'a jego złudzeń.
Malko lubił zgodne pary.

- Trzeba uprzedzić Li Shatina - zasugerował. - Jest na to
sposób?

- Pośrednictwo Victora Changa, jego adwokata. Przedtem
jednak potrzebuję dokładniejszych danych. Pójdzie pan jutro
ze mną na spotkanie z Brianem. Spotykamy się zawsze w po-
czekalni u jego dermatologa, w Medical Building, pod nume-
rem 750 na West Broadway. Potem przekażę wszystko do
Langley. Musimy jutro rano pójść do konsulatu, żeby skorzy-
stać z zastrzeżonej linii telefonicznej.

Isis powróciła ze stertą przystawek na talerzu. Lekko się
zaczerwieniła, napotykając badawczy wzrok Malko i wyciąg-
nęła kieliszek do kelnera, bo ten otworzył właśnie butelkę Ta-
ittinger Comtes de Champagne Blanc de Blancs 1995.

- Dziś wieczorem mam ochotę się zabawić! - rzuciła. -
Może pójdziemy potańczyć?

Sądząc po minie Simona Levine'a, wolałby raczej pójść na
cmentarz.

* * *

Konsulat amerykański znajdował się pod numerem 1095
na West Pender, w czerwonym, nowiutkim wieżowcu na par-

terze, który dzielił ze Starbuck Coffee. Wejście znajdowało się dyskretnie z boku, pod numerem 1075. Żołnierz piechoty morskiej, pełniący straż za pancerną szybą, zaprowadził ich na pierwsze piętro, gdzie kilka pomieszczeń było zajętych przez lokalną stację nadawczą CIA. Przyjął ich korpulentny, łysy, jowialny mężczyzna.

- Mikę Carmel - przedstawił go Simone Levine. - Jest odpowiedzialny za nasze połączenia i sprzęt techniczny. Bez niego czulibyśmy się tu, jak na bezludnej wyspie, niemi i głusi!

Simon Levine odzyskał ibrmę. Być może dzięki Isiś.

- Chcecie zająć miejsca? - zaproponował agent CIA. - Przygotowałem już biuro. Wystarczy podnieść słuchawkę.

Zaprowadził ich do pomieszczenia bez okien, zastawionego komputerami, gdzie na gołym stole stał telefon, a obok niego ekspres do kawy i kilka papierowych kubków. Simon Levine, zanim usiadł, odwrócił się.

- Nic nowego u Chińczyków?

Mikę Carmel podsłuchiwał t a k ż e połączenia konsulatu chińskiego, śledzonego równoległe przez „wielkie uszy” NSA.

- Nie przeprowadzamy tu analiz - powiedział. - Komunikat z Langley otrzymam w ciągu dnia.

Simonowi Levine pozostało tylko podnieść słuchawkę i wystukać 9, żeby uzyskać połączenie z centralą CIA w Langley. „Buzzy” Krongard był na spotkaniu i swoje informacje musiał powierzyć jego asystentowi; teraz trzeba było czekać na instrukcje z Centrali, która z kolei otrzymywała je z Białego Domu.

- Może spotkamy się z tym adwokatem? - zasugerował - Malko.

- OK - odpowiedział Amerykanin. - To niedaleko stąd, pod 1200.

Za wycieraczką interceptora był mandat, który podarł ze złością. Biuro pana Yictora Changa znajdowało się na siód-

mym piętze w starym budynku. Bardzo miła i bardzo szczupła sekretarka powiadomiła ich ze skrzepowaniem, że *advokat wyjechał na cały dzień do Ottawy*. Pozostało im pójść coś zjeść, zanim nadejdzie pora spotkania z Brianem Murrayem.

-Zabierzemy Isis? - zasugerował Simon Levine, spojrzawszy na zegarek Breitling Navitimer.

* * *

Siedząc w biurze z filiżanką herbaty przed sobą, Li Shatin raz za razem telefonował do Chin. Przed nim leżał gruby notes z numerami. Nie było to proste z uwagi na różnicę czasu i na jakość połączeń, zwłaszcza w przypadku telefonów sieci komórkowych.

Ponadto był świadomy, że jest podsłuchiwany przez CSIS, a wielu z tych, do których dzwonił, przez Guangbu.

Opróżnił już pół tuzina filiżanek herbaty i obficie się pocił. To, co robił, było tkaniem na krosnach Penelopy! Miał na celu jedno: odzyskanie kompromitujących filmów, których nie udało mu się zabrać ze sobą. Incydent w Wickaninnish Inn podbudował go. Pekin wydał mu wojnę na śmierć i życie. Jeśli odzyska filmy, to będą one jego polisą na życie. Ich posiadanie da mu do ręki możliwość szantazu rządu pekińskiego.

Powierzył je swojej kochance, pani Lin, zamężnej z siostrzeńcem Jiang Zemina, a więc nietykalnej, nie wiedział jednak, co z nimi zrobiła. Rozumiało się samo przez się, że bezpośrednia rozmowa jest wykluczona. Nie mógł też otwarcie wyłuszczyć jej prawdziwego powodu. Musiał krążyć, zataczając coraz mniejsze kręgi, przekazywać stosunkowo ważne wiadomości w taki sposób, aby nie nabrano podejrzeń, wstawiając jednocześnie w rozmowie elementy, które złożone w jedną całość, pozwolą zrozumieć jego interlokutorom, o co naprawdę chodzi...

Był jeszcze jeden, ostatni szkopał, którego nie mógł ocenić na odległość. Czy pani Lin była wciąż po jego stronie?

Wypił łyk herbaty i starannie skomponował numer złożony z trzynastu cyfr. Zajęty. Albo brak zasięgu. Po raz piętnasty z rzędu... A był to numer, z którym musiał się połączyć za wszelką cenę. Aby stłumić wzbierającą w nim wściekłość, wstał, wziął stojącą w małym barku butelkę koniaku Otard XO i nalał sobie trochę do pękatego kieliszka. Potem wrócił do biurka, aby go spokojnie smakować. Miał prawo do krótkiej przerwy, a dobry koniak był jednym z jego słodkich grzeszków.

Po opróżnieniu kieliszka, wziął się do telefonowania z benedyktyńską cierpliwością.

* * *

West Broadway prowadziła ze wschodu na zachód, po południowej stronie mostu Granville Bridge, do serca handlowej dzielnicy Vancouveru.

Pod numerem 750 stał imponujący, biały budynek, z kilkoma restauracjami na parterze, a lokale zajmowało w nim dziesiątki lekarzy. Wjechali windą na czternaste piętro. Wywieśzka na drzwiach gabinetu doktora Johna Ridleya zapraszała do wejścia bez pukania. Pucolowata i zrzędliva sekretarka wpisała dane Simona Levine'a i kazała im pójść do poczekalni. Była dokładnie szósta. Znajdowała się tam tylko jedna osoba, pogrążona w lekturze „National Geographic Magazine”. Pięćdziesięcioletni mężczyzna w panamie na głowie, o wielkich błękitnych oczach, wąsaty, o wyglądzie playboya. Nic z policjanta, styl raczej ekologiczny, T-shirt, pogniecione płócienne spodnie, nieco głupkowaty uśmiech.

Simon Levine dokonał prezentacji, po czym spytał:

- Informacje się potwierdziły?

Brian Murray kiwnął potakująco głową i powiedział łagodnym głosem:

- Owszem. I udało mi się dowiedzieć paru innych rzeczy.
- Od kogo? - warknął Simon Levine.
- Od jednego kolegi z CSIS. Ich biura znajdują się dokładnie naprzeciwko budynku „Vancouver Post”. Znamy się od dwudziestu lat i nie podoba mu się obrót, jaki przybrała ta historia.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, jak konspiratorzy.

- Czego d o k ł a d n i e pan się dowiedział? - nalegał Simon Levine.

- Za dwa lub trzy dni chiński statek towarowy „Pretty River” płynący z Fusan, z południowej Korei, zawinie do Vancouveru. Pozostanie tu przez dwa dni, aby załadować drewno i puste kontenery COSCO, po czym odpłynie do portu Tianjin, nieopodal Pekinu. Chińczycy doszli do porozumienia z Kanadą i postanowili wywieźć Li Shatina na tym statku. Ta operacja, organizowana przez Guangbu, będzie oczywiście ściśle tajna. Kanadyjczycy będą potem utrzymywać, że Li Shatin uciekł z kraju, a oni nie mogli nic na to poradzić.

Malko nie wierzył własnym uszom.

- I rząd kanadyjski toleruje ten „kidnaping”?

- Tak.

- Jest pan tego pewny?

- Absolutnie - potwierdził Brian Murray swym łagodnym głosem. - Ministerstwo ds. Imigracji w Ottawie dało zielone światło. Za przyzwoleniem premiera. Ten zaś otrzymał od Chińczyków zapewnienie, że cała akcja pójdzie gładko, bez przeszkód. Kiedy Li Shatin znajdzie się na pokładzie „Pretty River”, jego los będzie przypieczętowany.

- Jakim sposobem go tam dostarczą?

- Prawdopodobnie ukrytego w pustym kontenerze - pośpieszył z odpowiedzią Brian Murray. - Bardzo często kanadyjscy celnicy znajdują nielegalnych imigrantów w kontenerach, gdzie pozostają zamknięci przez dwa tygodnie rejsu.

Mają tam wentylację i żywność. Najczęściej im się udaje. Ostatni raz zostali odkryci, ponieważ jeden z nich, zamknięty w już wyładowanym kontenerze, wybuchnął głośnym śmiechem! A celnik to usłyszał.

- Jak ma się odbyć porwanie?

Brian Murray rozłożył ręce w geście bezradności.

- Nie mam pojęcia. Co do ostatniej fazy operacji, nie będzie trudna. Wystarczy przejść się po porcie! Wszędzie piętrzą się tam tysiące kontenerów. Wszystkie należą do kompanii COSCO. Ta zaś jest kontrolowana przez chińską armię ludową...

Ta prowadzona szeptem rozmowa w banalnej, małej poczekalni, wydawała się nierealna...

- Przecież rząd kanadyjski dobrze wie, że zniknięcie Li Shatina wywoła pewne reakcje - zaoponował Malko. - Narażają się na kłopoty ze strony dyplomatów i organizacji humanitarnych.

Brian Murray pokręcił głową ze smutnym uśmiechem.

- Nie przejmują się tym! Będą twierdzić, że Li Shatin im się wymknął i ukrywa się gdzieś w Kanadzie, jak tysiące innych nielegalnych imigrantów, chcących uniknąć tego, co określa się jako *removal*, czyli wydalenie z Kanady, jeśli ich prośba o pobyt zostanie odrzucona. Wydaje mi się, że wszystko zostało uzgodnione jakieś dwa tygodnie temu, w trakcie pobytu pani Minister ds. Imigracji w Nowym Jorku, gdzie spotkała się z chińskimi przywódcami. Ci zaś wysoko ustawili poprzeczkę, twierdząc, że możliwość pozostania Li Shatina w Kanadzie nie wchodzi w rachubę, bo wcześniej czy później skontaktuje się tam z wrogimi im Amerykanami. Wyznaczyli jej bardzo krótki termin. Według moich informatorów przybyli tu powtórnie, kilka dni temu, z ofertą, której nie mogła odrzucić.

- To trzyma się kupy - uciał Simon Levine. - Nie udało im się próba zabójstwa w Wickaninnish Inn, zmienili więc takty-

CHIŃSKI ZBIEG MUSI UMRZEĆ

Wiedzą, że krążymy w pobliżu Li Shatina i nie chcą ryzy-
wać...

- Cóż to za propozycja „nie do odrzucenia”? - zapytał
ilko.

Brian Murray wzniosł do góry swe bladoniebieskie oczy
/m samym niewinnym uśmiechem.

- Kanadyjczycy mają na głowie około cztery tysiące niele-
nych chińskich uchodźców, pozbawionych dokumentów,
re zniszczyli lub powierzyli ludziom organizującym prze-
t. Ci biedacy przybywają tu, uciekając przed nędzą, żeby za-
iić parę groszy. Nie ma w tym żadnej polityki. Rząd chiński
ironował spisanie nieoficjalnego protokołu w Ottawie. Na
o mocy zgodziłby się przyjąć z powrotem wszystkich tych
grantów plus jednego: Li Shatina. Ponadto zobowiązywałby
nie dopuścić w przyszłości do nielegalnej imigracji Chińczy-
N do Kanady. Ci, którzy zostaną repatriowani, nie poniosą
lsekwenjii: zostaną uznani za uchodźców e k o n o m i c z -
c h. A Kanada pozbędzie się poważnego kłopotu.

- Nie zna pan szczegółów tej operacji? - zapytał Malko,
b delikatna sprawa, ponieważ Li Shatin jest oficjalnie pil-
vany przez kanadyjską policję. Trudno będzie wytłuma-
'ć, dlaczego dopuścili do porwania.

- Wiem - przyznał Brian Murray. - Z pewnością znajdzie
jednak jakiś sposób, żeby uniknąć ciężaru odpowiedzial-
ici, ale ja go nie znam. Proszę nie zapominać, że to sprawa
du i tajemnica jest pilnie strzeżona.

- Sądzi pan, że Chińczycy skorzystają z pomocy triad? -
lytał Simon Levine.

- Nie wydaje mi się. Posłużą się raczej agentami Guangbu,
ydującymi w Kanadzie. Z pewnością mają ich też. na „Pret-
River".

Zamilkł i popatrzył na zegarek.

- Moja wizyta wypada za kilka minut. Jak będę wiedział
i nowego, zawiadomię Isis.

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu i wyszli na korytarz. Zamyślony Malko wypytywał cichym głosem Simona Levine'a, drapiącego się z furią po wydatnym nosie.

- Ekipa Jesusa nie może ani na chwilę spuścić z oczu Li Shatina - skonkludował. - Na razie to wszystko, co możemy zrobić. Jedno mnie zastanawia: Kanadyjczycy w i e d z a, że śledzimy Li Shatina. Powiadomili o tym z pewnością Chińczyków, a ci musieli to wziąć pod uwagę w swoich planach. W jaki sposób mają zamiar nas się pozbyć?

- Nie wiem tego - przyznał Amerykanin. - Wiem tylko, że dopóki ten przekłety statek nie odpłynie z Vancouveru bez Li Shatina na pokładzie, nie będę mógł zasnąć. Niewykluczone, że Chińczycy zdecydowali się użyć rozwiązania siłowego i zlikwidować nas. Najpierw musimy się dowiedzieć, kiedy przyplywa „Pretty River”. Zaraz zatelefonuję do portu.

- Wypadałoby też - podkreślił Malko - zdobyć s z c z e - g ó ł o w e instrukcje co do naszego sposobu postępowania.

* * *

Simon Levine zatrzymał interceptorą dokładnie u wylotu mostu Lion's Gate Bridge, łączącego Stanley Park z North Vancouver. Wszystkie statki wchodząc do Burrard Inlet, gdzie znajdowały się doki, musiały pod nim przepłynąć. Olbrzymi most przerzucony był na wysokości trzydziestu metrów nad wąską, ślepo zakończoną morską odnogą, podobnie jak „Złoty Róg” w Istambule. Na nabrzeżach piętrzyły się stosy kontenerów, gotowych do załadunku, zwłaszcza przy torze kolejowym, biegnącym wzdłuż dzielnicy portowej zaraz za terminalem dla statków wycieczkowych i lądowiskiem dla helikopterów. Dziesiątki statków stało zakotwiczonych na-przeciwno strefy bezcelowej.

Padło i porywisty wiatr hulał na moście. Simon Levine opuścił lornetkę i zwrócił się do Malko:

) *CHIŃSKI ZBIEG MUSI UMRZEĆ*

- To chyba ten.

Podał mu lornetkę. Malko skierował ją na statek towarowy, który minął przed chwilą Point Atkinson w Vancouver 'est i miał przepłynąć pod mostem. Posuwał się z prędkością e przekraczającą piętnastu węzłów; musieli więc czekać erpliwie przez pół godziny, nim ukazała się rufa. Krew alko zaczęła żywiej krążyć. Powiewała tam bowiem chińska flaga, a na kadłubie widniała nazwa Pretty River i znaki lińskiego alfabetu. Pokład był pusty, a statek nie różnił się czym od innych jednostek tego rodzaju. Towarzyszyli mu zrokiem aż do wejścia do portu zwanego Burrard Inlet. Po oli wytracał prędkość, aby w końcu zarzucić kotwicę do adnie naprzeciwko strefy portowej, za lądowiskiem dla he- copterów.

Simon Levine z westchnieniem odłożył lornetkę.

- Przynajmniej w tym punkcie informacje Briana Murraya l zgadzają.

- Co nim kieruje? - zapytał Malko, powstrzymując się od idania „poza Isis”.

- To uczciwy człowiek, którego uczucia zraniono - wyja- iał Simon Levine. - Złamano mu karierę, ponieważ dobrze /konywał swoją pracę przy wyjaśnianiu pewnych spraw du- j wagi. Przełożeni go nie wsparli, lecz wprost przeciwnie, ozili mu. Mimo to pozostał wierny swojemu krajowi, imówił przekazania mi kopii raportu „Sidewinder”.

Nie pozostało im nic innego, jak zawrócić do Vancou- ru i poważnie się zastanowić, jak zyskać przewagę nad jangbu.

* * *

Simon Levine, Isis i Malko kończyli właśnie kolację Sutton Place, kiedy zadzwonił telefon Amerykanina. Po ebraniu go aż podskoczył i rzucił:

- Li Shatin zaraz wyjdzie! Dzwoni Jesus. Jedziemy.

- A ja? - spytała Isis. - Chciałam gdzieś wyjść...

Umalowana, w obcisłym podkoszulku i spodniach, z ogromnym złotym pasem na biodrach była jeszcze seksowniejsza niż zazwyczaj.

- Nie będziemy tam długo - obiecał Simon Levine. - Nie możesz z nami pojechać, to zbyt niebezpieczne.

Dwadzieścia minut później zatrzymali się przed Crystal Court. Bezpośrednio przed dodge'em Jesusa Domingo stała dwunastometrowa czarna limuzyna Lincoln Towncar o przyciemnionych szybach. Jesus Domingo wysiadł i podszedł do interceptora.

- Dowiedziałem się od szofera tej limuzyny, że czeka na jakiegoś chińskiego VIP-a. Li Shatin jest jedyną taką osobą w tym budynku.

Odkąd rano wpłynął do portu statek „Pretty River”, Latynosi podwoili uwagę, składając Simonowi Levine raporty co piętnaście minut. Malko rozejrzał się wokoło. Nie było żadnego policyjnego wozu, nawet najzwyklejszego. Kanadyjczycy demonstrowali całkowity brak zainteresowania.

Podejrzana sprawa.

- Dwóch ochroniarzy jest z nim na górze - ciągnął Jesus. - Jeden z nich wyszedł przed godziną, żeby kupić coś do jedzenia w supermarkecie Kingsway. Poszliśmy za nim, ale z nim się nie spotkał.

Należało t a k ż e brać pod uwagę, że obstawa Li Shatina została przekupiona przez Guangbu...

Dwóch ludzi Jesusa pozostało w dodge'u, a on sam zajął miejsce z tyłu. Malko zauważył, że pod marynarką ma wielki pistolet automatyczny Skorpion, a za paskiem spodni - zwykły pistolet. Mieli więc ekwipunek odpowiedni, aby stawić czoło nieprzewidzianym okolicznościom.

- Oto i on! - rzucił nagle Simon Levine.

Z Crystal Court, prawie biegnąc, wyłonił się człowiek, aby natychmiast zniknąć wraz z dwoma innymi w czeluściach li-

muzyny. Byli za daleko, żeby móc go zidentyfikować. Tym bardziej że Malko widział Li Shatina tylko na zdjęciu. Musiał polegać na Amerykaninie.

Lincoln skierował się na południe, potem skręcił w lewo na zachód, w Czterdziestą Dziewiątą Aleję, przecinającą całe miasto. W interceptorze panowało ponure milczenie. Malko odwrócił się: poza dodge'em z agentami CIA, nie zauważył innego pojazdu. Kanadyjczycy nie jechali za nimi.

Długa limuzyna poruszała się w ślimaczym tempie i łatwo było ją śledzić. Malko drgnął: właśnie wyprzedził ich motocykl z dwoma mężczyznami w ochronnych kaskach i teraz znalazł się na wysokości lincolna.

- Uwaga! - rzucił. - Motocykliści.

Simon Levine nadepnął pedał gazu, a Jesus Domingo wyjął swój skorpion. Falszywy alarm. Motocykl wyprzedził limuzynę. Ta zaś, dojechawszy do skrzyżowania z Granville, skręciła w lewo, w kierunku południowym. Znaleźli się w szerokiej alei północ-południe, prowadzącej na lotnisko i do Richmond.

- Jadą do Richmond - wycedził przez zęby Simon Levine.

- Po co? - zapytał Malko.

- Spotkać się z kumplami. Tam mieszkają sami Chińczycy.

I rzeczywiście, na końcu Granville Road limuzyna wjechała na most Arthur - Laing Bridge, jakby zmierzając na lotnisko. Malko wstrzymał oddech. Ale na skrzyżowaniu autostrad skierowali się na wschód, dojeżdżając do cieśniny przez Moray Bridge. Byli w Richmond. Malko odczytał tabliczkę z nazwą ulicy: Bridgeport Road i Simon Levine wykrzyknął:

- Jedźcie do Diamond Casino!

Chwilę potem zaparkowali za Lincolnem, na niezle zatłoczonym parkingu, naprzeciwko restauracji o nazwie Dem Rib i czegoś podobnego do hangaru. Miejsce nie wyglądało zachęcająco, upstrzone bladymi neonami, w środku dzielnicy przemysłowej. Li Shatin wraz ze swymi kompanami zniknął w hangarze.

- Niech pan tu zostanie ze swoimi ludźmi - powiedział Malko do Jesusa. - Pilnujcie tylnego wyjścia.

Przed sobą mieli neon „Black Diamond Casino”. Pchnęli małe drzwiczki i znaleźli się w wielkiej, zgiełkliwej i źle oświetlonej hali, pełnej Chińczyków obydwójga płci, oblegających stoły z ruletką i black-jackiem. Na prawo od wejścia znajdowała się mniejsza sala, zarezerwowana dla pokrzyżstów.

Simon Levine i Malko powoli przemierzali halę, aż znaleźli Li Shatina. Siedział sam przy stoliku do black-jacka, naprzeciwko krupierki o zbyt mocnym makijażu, także Chinki, i grał w dziecinny skupieniu. Układając w stosy żetony na pięciu miejscach przeznaczonych dla graczy, rozgrywał sam kontra kasyno. Dwa do trzech tysięcy dolarów przy każdym rozdaniu. Malko stanął tak, by móc go obserwować. Po raz pierwszy widział tego człowieka „na żywo”. Skoncentrowany, z przymkniętymi oczyma, Li Shatin powoli odkrywał karty rozdane przez krupierkę i czasami, gdy były dobre, śmiał się zgrzytliwie. Ochroniarze trzymali się z tyłu. Sami nie grali, ale krążyli wokół stolika, zamieniając od czasu do czasu kilka słów z innymi Chińczykami i pilnie obserwując każdego, kto zbliżył się do ich szefa. Malko napotkał żywe spojrzenie wytatuowanego Chińczyka, „Czarnego Ducha” Minga. Zbliżył się do Simona Levina.

- A może spróbujemy z nim porozmawiać?

- Na sali są z pewnością kanadyjskie wtyczki - odparł Amerykanin. - A Lishatin mówi tylko po kantońsku. Nie jestem w tym wystarczająco dobry. Poczekajmy.

Chuda kobieta z grzywką podeszła do Chińczyka i zamieniła z nim kilka słów. Inni gracze, zaintrygowani, obserwowali go z daleka. W widoczny sposób nic mu tu nie groziło.

Simon Levine westchnął.

- Jesteśmy tu dopiero od niedawna. On często gra aż do świtu... Dziwię się, że nie ma tu ludzi z CSIS...

Odeszli dalej, obserwując wyjście. Atmosfera była raczej pogodna i rozprężona. Trudno było uwierzyć, że ten poczwiec w podkoszulku, zagubiony w podrzędnym kasynie, obraca miliardami i przyprawia o drżenie chiński rząd.

- Napije się pan czegoś? - zapytał Simon Levine. - Ja wezmę sobie szkocką.

Malko nie zdążył odpowiedzieć, kiedy na zewnątrz rozległo się wycie syren. Po paru minutach do małego kasyna wtargnęła zgraja policjantów w mundurach i po cywilnemu. Potracając graczy, biegnąc między stołami, kierowali się w stronę stołu do black-jacka, przy którym siedział Li Shatin.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Li Shatin przerwał nagle grę, patrząc na sforę policjantów toczącą się w jego kierunku. „Czarny Duch” Ming i „Głupi Ricky” próbowali go osłonić własnymi ciałami, ale po wścieklej kotłowaniu zostali odepchnięci z niesłychaną gwałtownością. „Czarny Duch” Ming rzucił jednego z policjantów na stół do ruletki, zanim założono mu kajdanki. „Głupi Ricky” posłużył się krupierką jak pociskiem, zanim go skuto. Jeżeli chodzi o Shatina, aż trzech policjantów musiało przytrzymać go na zielonym suknie stołu do ruletki, z twarzą pośród żetonów, zanim wykręcili mu ręce do tyłu i założyli kajdanki.

Pojawił się wysoki, bardzo chudy Chińczyk, prawdopodobnie właściciel kasyna i skrzypiącym głosem zaczął wypytывать policjantów:

- Czego tu chcecie? Czemu aresztujecie tych ludzi?

Jeden z nich odpowiedział mu pogardliwie:

- Dopuszcili się nielegalnych manipulacji. To przestępcy. Jak będziesz protestował, zamkniemy kasyno.

Gracze zaprzestali gry i na sali zapanowała cisza. Policjanci postawili na nogi trzech mężczyzn. „Głupi Ricky” miał na czole wielkiego guza, jego lewe oko było zamknięte, a podko-

szulek w strzępach. Policjanci szybko przeprowadzili całe trio do wyjścia. Malko i Simon Levine szli za nimi w odpowiedniej odległości. Parking wyglądał jak plac w trakcie zabawy ludowej, oświetlony przez migające reflektory tuzina policyjnych aut. Policja otoczyła barak. Malko zobaczył, jak trzech Chińczyków wsiadło do furgonetki, która natychmiast odjechała z wyciem syren, a za nią pozostałe pojazdy. Wkrótce potem nie pozostało po nich śladu. Simon Levine i Malko wrócili do kasyna: gracze podjęli przerwana zabawę. Tylko zapłakana krupierka, siedząca przy połamanym stoliku do black-jacka przypomniała o nalocie policji.

Manuel Garcia, mały, czarniawy, krępy, o wyglądzie oszusta, podszedł do Simona Levine'a i szepnął mu coś do ucha.

- Jesus pojechał za furgonetką powiedział do Malko Amerykanin. - Będziemy wiedzieć, dokąd go zabrali. Nie podoba mi się to... Jedźmy do hotelu.

Wracali tą samą trasą. Parkując przed hotelem, zauważyli białego dodge'a. Jesus już tu był. Odnaleźli go w barze Gerard, w towarzystwie Isis, popijającej swe nieśmiertelne truskawkowe daiquiri.

- Czemu nie zabraliście mnie ze sobą? - zapytała nadąsana. - Kiedy wreszcie dzieje się coś zabawnego...

- Gdzie on jest? - rzucił Simon Levine.

- W więzieniu na rogu Cordova i Gore Street... - zaczął Jesus Domingo - pozostali też. Nie wezwali nawet sędziego.

To pachniało tajną policją. Malko rzucił okiem na swój breitling crosswind. Dziesięć po jedenastej. Tego wieczoru niewiele już można było zdziałać.

- Jutro musimy się jak najwcześniej zobaczyć z Victorem Changiem - powiedział. - Trzeba za wszelką cenę uprzedzić o wszystkim Li Shatina.

Zamówił kieliszek wódki, rozmyślając o „Pretty River” zacumowanym o kilka kilometrów od nich. Niespodziewane aresztowanie Li Shatina przez kanadyjską policję nie mogło

być przypadkowe... Simon Levine podniósł się nerwowo i powiedział do Isis:

- Chodź. Jutro trzeba wcześniej wstać.

Złożyła buzię w ciup.

- Poczekaj - zaprotestowała - skończę tylko daiquiri, nie chce mi się spać.

Malko wydało się, że próbuje pochwycić jego wzrok. Przezornie opróżnił kieliszek i wstał.

- Ja też już pójdę. O której się jutro spotykamy?

-O dziewiątej.

Jesus Domingo pozostał na miejscu. Widocznie zły, Simon Levine wyszedł razem z Malko. Kiedy opuścili bar, powiedział:

- Ten skurwysyn będzie ją podrywał...

- Jest w panu zakochana - odrzekł Malko z powagą. - Nie ma więc ryzyka. Do jutra.

Oddalił się piechotą w stronę opustoszałej Burrard Street. Znowu padało. Hyatt wyglądał bardziej ponuro niż zwykle. Znalazłszy się w swoim pokoju, zaczął się zastanawiać, jaki podstęp szykują Kanadyjczycy. Dobrze przynajmniej, że w więzieniu Li Shatin był bezpieczny.

* * *

Malko oglądał CNN, żeby dowiedzieć się jeszcze czegoś przed snem. Usłyszał pukanie do drzwi. Zdziwiony, podniósł się i wyjrzał przez wizjer. Jego puls przyśpieszył tempo jak rakieta: przed drzwiami stała Isis Scott! Jak tu weszła, skoro windy działały tylko na kartę magnetyczną? Wstrzymał oddech i czekał. Nie odchodziła. Wprost przeciwnie. Pukała nadal i powiedziała przez drzwi:

- W i e m, że pan tam jest. Proszę mi otworzyć.

Malko bohaterko oddalił się od wejścia. Nie ma mowy, żeby wpakował się teraz w kłopoty. Sytuacja była wystarczająco

jąco skomplikowana... Upłynęło dziesięć minut, po czym usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Pomyślał, że to z sąsiedniego apartamentu, gdy w pewnym momencie na środku pokoju zmateriałizowała się Isis. Zerwał się z fotela i zdumiony stanął naprzeciw niej.

- Jak pani się tu dostała?

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Wezwałam pokojówkę i poskarżyłam się, że zapomniałam klucza. Jest pan niezadowolony?

- Co pani zrobiła z Jesusem?

Znowu ten niewinny uśmiech.

- Powiedziałam mu, że idę się położyć, bo Simon jest bardzo zazdrosny, nie mogę więc z nim zostać w barze.

- A jeśli Simon zejdzie do baru, a pani tam nie będzie?

- Powiem mu, że poszłam do innego baru z Jesusem. Nie będzie się skarżył, żeby uniknąć śmieszności. Wjechałam windą na górę, po czym zjechałam z powrotem.

Jezabel, córka Belzebuba...

Patrzyła na niego, uśmiechając się z dziwnym wyrazem oczu.

- Ma pan na mnie ochotę? - zapytała.

Sytuacja była idiotyczna. Erotyzm, którym emanowała młoda kobieta był prawie dotykalny.

- Czego pani oczekuje? - spytał, jakby to nie było oczywiste.

Isis przejechała różowym językiem po wargach i powiedziała tonem małej dziewczynki:

- Żeby mi pan dodał otuchy.

- Czego się pani boi?

- Jestem zaniepokojona - powiedziała spuszczać oczy. - Poza tą świnią, Jesusem, który zadałby się nawet z kozą, mężczyźni przestali na mnie zwracać uwagę, odkąd utylałam. Simon powiedział mi, że był pan zawsze z pięknymi kobietami. Chciałam się upewnić, czy się panu podobam.

- Jest pani z Simonem Levine - zaproponował Malko. - Razem pracujemy. Jest w pani szaleńczo zakochany.

- Nie będzie o niczym wiedział.

- Pani b a r d z o mi się podoba - zapewnił - ale wolę odprowadzić panią do Sutton Place.

Isis nie ruszała się z miejsca. Prawie się dotykali i mógł widzieć z bliska jej pulsujące, ciężkie piersi pod bluzką z wycięciem w karo, podkreślone koronką czarnego stanika. Isis spochmurniała.

- W takim razie powiem mu, że pan wrócił i chciał mnie zabrać do swojego hotelu. Uwierz mi.

Była do tego zdolna. Spróbował rozsądnej perswazji:

- Isis, stoimy przed bardzo trudnym zadaniem. To nie moment, żeby nas skłócić.

- Gwizdzę na tego Chińczyka - odpowiedziała. - Jest ich ponad miliard! Jeden mniej czy jeden więcej...

Musnęli się i poczuł zapach jej perfum. To była ciężka próba. Pomyślał o dniu wczorajszym.

- Brian pani nie uspokoił? - spytał. - Wydawało mi się, że szaleje za panią.

Isis znowu się nadała.

- Brian... Jest miły, ale przede mną nie miał prawdziwej kobiety. Lubię go, bo potrafi mnie pieścić językiem całymi godzinami.

Zamilkła, wzięła obie dłonie Malko i położyła je sobie na biodrach, po czym zapytała go, zatapiając wzrok w jego oczach:

- Nie chcesz mnie posiąść? Nie podobam ci się?

Nie sposób było ocenić, czy grała komedię czy też była szczerą. Jej usta łagodnie dotknęły jego warg, a ciało wtopiło się w niego. Jakby w ogóle nie miała kości. Ocierała się o niego, jej język owijał się rozkosznie wokół jego języka jak małe, niezależne zwierzątko. Przez koszulę poczuł ciepło jej piersi. Nagle wsunęła rękę pomiędzy nich.

- Podnieciłeś się! - wyszeptwała rozanielona.

- Czasem mi się to jeszcze zdarza - zareplikował Malko z zimną ironią.

Palce Isis masowały go, i wkrótce zaczęły mu odpinać pasek od spodni:

- / *want to see your dick.* *

W jednej chwili, z męską brutalnością, zdjęła z niego wszystko, co jej przeszkadzało. Kiedy był nagi, otoczyła palcami jego członek i patrząc mu w oczy, zaczęła go pieścić, aż z ust wyrwał mu się zduszony jęk. Ta dziwka doprowadzi go do orgazmu, jak jakiegoś licealistę.

- Przestań! - błagał.

Isis wstrzymała ruch palców, nie odejmując ich jednak.

- Czy to rzeczywiście j a cię podniecam?

- Nie widzę tu innej kobiety - stwierdził Malko, jednocześnie zrozpaczony i rozochocony.

Przytulił ją do siebie, pieszcząc okrągłe, jędrne pośladki. Dotknął jej seksu, ale uchyliła się. Nagle, z wdziękiem baletnicy, upadła na kolana, z twarzą oddaloną o kilka centymetrów od wzniesionego członka. Zamknął oczy, czekając aż weźmie go do ust. Nic takiego się nie stało. Otworzył je ponownie: Isis kontemplowała w ekstazie jego sterczącą męskość. Malko położył rękę na jej karku i nacisnął, trafiając na nieoczekiwany opór. Podniosła na niego niewinny wzrok.

- Czego pan chce?

A przecież to było jasne... Wściekły, złapał ją za splecione włosy, próbując zbliżyć głowę młodej kobiety do swego członka na granicy wybuchu.

- Do ust.

- Nic z tego - odpowiedziała po prostu. - Nie dzisiaj.

Z tym samym wdziękiem podniosła się i powiedziała:

Chcę zobaczyć twój ogon.

- Jeśli bardzo pan tego pragnie, trzeba się popieścić samemu. Chciałabym patrzeć, jak pan kończy. Dla mnie. Bo to przecież dla mnie, prawda?

Chętnie by ją udusił. Mówiła na serio. Złapał ją za biodra i rzucił na łóżko. Zmagali się kilka chwil, zanim zapanował

i położył się na niej, rozsuwając szeroko kobiece uda. Zamiast protestować, posłała mu zachwycony uśmiech.

- Dziękuję.

- Za co? - krzyknął, wychodząc z siebie.

- Dodał mi pan otuchy. Teraz w i e m, że mnie pan pragnie. Malko położył rękę na jej seksie, opiętym czarnymi majteczkami. Był o włos od gwałtu.

- Zgadza się - przyznał - i teraz będzie pani moja.

Nieoczekiwanie uwolniła się i wstała.

-- Nie po to tu przyszłam - odparła spokojnie. - Mówiłam przecież, że pragnę się tylko upewnić. Nic więcej.

Tak daleko posunięty egocentryzm, to rzecz godna podziwu...

Malko wahał się, jaką postawę przyjmując, kiedy powiedziała łagodniejszym tonem:

- Będzie mnie pan miał, ale nie teraz. I na moich warunkach.

Mimowolnie, nie mogąc się powstrzymać, zapytał:

- Na jakich?

- Chcę, żeby pan doprowadził się do orgazmu teraz, patrząc na mnie.

Jej opalizujący wzrok był intensywny, prawie hipnotyczny. Zerknął w dół na swój seks i odniósł wrażenie, że erekcja jeszcze się wzmogła. Będąc w stanie takiego pobudzenia, wziął głęboki oddech i, rozdarty pomiędzy wściekłością i pożądaniem, które uderzyło mu do głowy, zamknął swój seks w dłoni, ciągle patrząc na Isis, zaczął się masturbować.

Przyglądała się wytryskowi jak skamieniała, nieruchomym wzrokiem. Zastanowił się, czy i ona nie przeżywa rozkoszy...

Postąpiła krok do przodu, wzięła twardy jeszcze członek w palce i zebrała ostatnie krople nasienia, po czym odeszła z rozkosznym westchnieniem.

- Będę dobrze spała...

Usłyszał trzaśnięcie drzwi i powrócił do rzeczywistości. Najchętniej rozwaliłby kopniakami telewizor! Stał pod prysznicem, żeby otrzeźwieć, myśląc o Simonie Levine. Mając Isis, Amerykanin nie potrzebował problemów CIA, żeby sobie napytać biedy. Wbrew wszystkiemu, z zażenowaniem zastanowił się, czy ona dotrzyma obietnicy. Tymczasem trzeba będzie uwolnić Li Shatina.

* *

Victor Chang przypominał krasną, z równiutko przyciętą czarną bródką, w nieskazitelnym garniturze i ze śmiejącymi się, skośnymi oczami. Przyjął Simona Levine'a i Malko w minisalce konferencyjnej, ozdobionej papierowymi smokami. Były to prezenty otrzymane od klientów z okazji chińskiego Nowego Roku.

- Li Shatin został aresztowany wczoraj wieczorem, kiedy był pan w Ottawie - obwieścił ostrożnie Amerykanin.

Wtedy Victor Chang podał im „Vancouver Sun”.

- Wiem, proszę popatrzeć!

Duży artykuł zamieszczony u dołu strony wyjaśniał, że policja dokonała nalotu na kasyno w Richmond i zatrzymała kilku Chińczyków, którzy oddawali się tam nielegalnym grom. Wymieniono nazwiska Li Shatina i jego ochroniarzy. Artykuł precyzował, że następnego dnia rano o dziewiątej odbędzie się *hearing*¹, która zadecyduje o dalszym losie zatrzymanych.

- Jak pan wytłumaczy to aresztowanie? - spytał Malko.

Chińczyk ściągnął usta.

Rozprawa

- To dziwne: policja oskarża Li Shatina i jego znajomych o działania przestępcze, niczego nie precyzując. Poproszę o udostępnienie akt, a więcej dowiemy się jutro, na rozprawie. Przyjdą panowie?

- Oczywiście - odpowiedzieli zgodnym chórem. - Co ma pan zamiar teraz zrobić?

- Zażądać uwolnienia pana Li Shatina, a także pozostałych, jeśli nie mają swojego adwokata.

Simon Levine zapalił papierosa nie kryjąc zdenerwowania

i położył zapalniczkę na stole.

- Nawet gdyby to aresztowanie się nie odbyło, przyszedłbym dzisiaj do pana - powiedział. - Otrzymałem bardzo niepokojące wieści. Chińczycy szykują się do porwania Li Shatina i przewiezienia go do Chin. Za przyzwoleniem kanadyjskich władz.

Pan Victor Chang zbladł.

- Co za wstyd. Zaalarmuję prasę i organizacje ochrony praw człowieka.

- Niech pan z tym zaczeka. Na razie Li Shatin jest bezpieczny. Zobaczymy, co się będzie działo na rozprawie. Spotkamy się tam o dziewiątej.

Nie było łatwo przekonać chińskiego adwokata. Ostatecznie poddał się argumentacji Simona Levine'a. Tak długo, jak Li Shatin był w więzieniu, nie mogło go spotkać nic złego.

Powrócili do Sutton Place. W biurze producenta zastali Jesusa Domingo. Isis nie było. Padał deszcz, a oni mieli przed sobą dwadzieścia cztery godziny bezczynności, nie licząc telefonu do Briana Murraya.

* * *

Na podeście schodów osiemnastego piętra, w budynku administracyjnym na rogu Hamilton i Georgia Street, dreptało około dwunastu dziennikarzy i fotografów. Miała się tu odbyć

rozprawa przeciwko Li Shatinowi. Musieli się pomieścić w skromnej sali wyposażonej w kilka rzędów krzeseł. Przybył zdyszany Victor Chang i natychmiast odwołał na bok Simona Levina i Malko.

- Przynoszę dobre nowiny - oświadczył. - Li Shatin ma zostać wkrótce zwolniony. Nie wniesiono przeciw niemu żadnej skargi i wymiar sprawiedliwości zadowoli się wydaniem zakazu wstępu do kasyn Kolumbii Brytyjskiej, stawiając mu zarzut prania brudnych pieniędzy.

Rzecz stawała się coraz dziwniejsza. Woźny ogłosił początek rozprawy i wszyscy weszli do sali. Dziesięć minut później pojawił się Li Shatin w czerwonej bluzie dresowej, skuty kajdankami i z dwoma potężnymi policjantami po bokach. Zdjęto mu kajdanki. Victor Chang wraz z drugim Chińczykiem, zajęli miejsca obok niego. Malko zauważył, że adwokat porozumiewa się z Li Shatinem za pośrednictwem tego ostatniego.

- Czemu nie rozmawiają bezpośrednio? - spytał.

Simon Levine nachylił mu się do ucha:

- Victor Chang urodził się w Kanadzie, nie mówi po chińsku. Przydali mu sądowego tłumacza z urzędu, lecz nie sądzę, by miał ochotę omawiać przy nim sprawy, które go zajmują.

Malko zamiepokoła nieobecność „Czarnego Ducha” Min-ga i „Głupiego Ricky'ego”.

- A gdzie ochroniarze? zapytał Simona Levine'a.

Nie było jednak czasu na odpowiedź: na salę wszedł sędzia i wszyscy wstali. Rozpoczęła się rozprawa. Obrońca mówił cicho i wszystko było tłumaczone przez sądowego tłumacza. Li Shatin zażądał natychmiastowego uwolnienia. Oskarżyciel z kolei zadeklarował, że nie sprzeciwia się temu pod warunkiem, iż Li Shatin złoży przyrzeczenie, w którym zobowiąże się do nieuczęszczania do kasyn gry w Kolumbii Brytyjskiej.

Po krótkiej wymianie zdań pomiędzy Li Shatinem, jego adwokatem i ich tłumaczem, ten ostatni oświadczył, że zatrzymamy wyraża zgodę. Po przerwie sędzia ogłosił werdykt:

- Oskarżony Li Shatin odzyska wolność, kiedy potwierdzona kopia jego zobowiązania zostanie złożona w kancelarii sądowej.

Wtedy wstał Victor Chang i zadeklarował, że reprezentuje również interesy dwóch ochroniarzy Li Shatina. Sędzia odpowiedział sucho, że obaj są w Kanadzie recydywistami i z uwagi na swą kryminalną przeszłość pozostaną na razie w areszcie.

Dziennikarze rozeszli się. Simon Levine i Malko dołączyli do Victora Changa na ulicy Georgia Street. Adwokat wydał się zadowolony.

- Byłem pewien, że nie mają nic przeciwko niemu - rzucił.

Malko nie wiedział, co o tym sądzić. Wczorajsze aresztowanie zostało zaplanowane. Czemu to miało służyć, skoro dzisiaj wypuszczono Li Shatina na wolność. Nagle wszystko stało się jasne. Odciągając Simona Levine'a na bok, zwierzył mu się po cichu:

- Już rozumiem, o co tu chodzi! Aresztowali obstawę, żeby pozbawić Li Shatina bezpośredniej ochrony. Najprawdopodobniej opuści więzienie jeszcze dzisiaj, zupełnie sam. A „Pretty River” będzie tutaj jeszcze co najmniej przez dwa dni.

Po kilku sekundach Simon Levine zrozumiał, po czym wybuchnął:

- Do jasnej cholery! Oczywiście, że tak! Genialna myśl.

Podszedł do Victora Changa, który żywo rozprawiał z dziennikarzami i gwałtownie mu przerwał:

- Pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do tego, żeby pański klient opuścił więzienie - oświadczył osłupiałemu adwokatowi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wypytywany przez dziennikarzy Chińczyk bełkotał coś niewyraźnie. Zaciągnęli go więc do auta i natychmiast odjechali. Na oczach dziennikarzy, zdziwionych tym „porwaniem”. Amerykanin, nie tracąc czasu, zaczął rozmowę podczas jazdy:

- Li Shatin znalazł się w niebezpieczeństwie - oświadczył.
- Wszystko, co zdarzyło się wczoraj, zostało starannie wyreżyserowane po to, aby pozbawić go ochrony.

Krótko zrelacjonował adwokatowi teorię usadowionego z tyłu Malko. Victor Chang był roztrzęsiony.

- Bardzo trudno będzie zapobiec jego wyjściu z więzienia - zaoponował.

- Niech więc skorzysta z n a s z e j ochrony. Za pańskim poręczeniem. Nie podejmiemy żadnych działań przeciwko niemu, będziemy tylko pilnować, by nic złego mu się nie przydarzyło.

- Niech pan poprosi o widzenie. Wraz z p a ń s k i m tłumaczem. Tak długo, jak „Pretty River” będzie stał w porcie, grozi mu niebezpieczeństwo - nalegał Simon Levine.

- Podwieźcie mnie do budynku sądów - poprosił Victor Chang. - Muszę znaleźć tłumacza przysięgłego, któremu ufam. Nie wydaje się panom, że powinienem zwołać konferencję prasową, żeby ujawnić tę straszliwą manipulację?

Simon Levine skrzywił się. Służby wywiadowcze i prasa nie stanowiły dobrej pary.

- Odradzałbym - stwierdził. - Wtedy zrezygnują ze swego planu i wymyślą coś innego. Kiedy będzie pan rozmawiał z Li Shatinem, proszę mu przekazać dwie sprawy: po pierwsze, powtórzyć, że jesteśmy gotowi przyjąć go na terytorium amerykańskim. Po drugie, że Tajwańczycy nie będą mogli mu nic zrobić.

- Jacy Tajwańczycy?

- On będzie wiedział. Jesteśmy dla niego jedyną szansą na przeżycie.

Victor Chang spojrział na niego nieufnie.

- Już pan to proponował, ale mój klient nie wyraził zgody. Obawia się, że później postawicie mu pewne wymagania.

Simon Levine nie uchylił się od odpowiedzi.

- Oczywiście, interesujanas pewne informacje, które znajdują się w jego posiadaniu, ale nie wydrzemy mu ich siłą. I niech pozbędzie się złudzenia, że kiedykolwiek będzie mógł wrócić do Chin.

- No dobrze - odparł Chińczyk. Niebawem odezwę się do panów.

Wysiadł na rogu Freemont i Hastings Street i widzieli, jak wchodzi do siedziby sądów.

- Jedźmy teraz do kapitanatu portu - zasugerował Malko.

- Może uda się zdobyć cenną dla nas informację: kiedy odplywa „Pretty River”.

* * *

Według władz portowych, „Pretty River” przygotowywał się do wypłynięcia w piątek o świcie. Pozostało jeszcze czterdzieści osiem godzin „podwyższonego ryzyka”. Siedząc w biurze Adventure Productions, Simon Levine i Malko łamali sobie głowy, próbując zgadnąć, jaki plan uknuły Guangbu. Li Shatin miał

w ciągu dnia wyjść z więzienia i wrócić do swojego mieszkania w Burnaby bez „Czarnego Ducha” Minga i „Głupiego Ricky’ ego, nadal uwięzionych. Musiał więc się zdać na opiekę CIA. Simon Levine o mało co nie uszkodził telefonu, kiedy Sandra zapowiedziała rozmowę z Victorem Changiem. Z miejsca włączył nagłośnienie, by Malko mógł wyraźnie słyszeć nosowy głos Chińczyka.

- Pan Levine?

- To ja.

- Mam dobre wieści - oświadczył adwokat, wyraźnie zadowolony. - Po pierwsze, pan Li Shatin pozostanie w areszcie jeszcze dwa dni, z bliżej nieokreślonych przyczyn administracyjnych.

- Jest pan tego pewien? - rzucił Malko.

To była jak dotąd najlepsza wiadomość dnia: Li Shatin wyjdzie w momencie, w którym „Pretty River” podniesie kotwicę. Czy jednak Brian Murray nie będzie „spalony”?

- Co jeszcze? - spytał Simon Levine.

- Uzyskałem pozwolenie na widzenie jutro rano i znalazłem tłumacza, pana Charlie Fanga. Będę więc mógł przekazać swemu klientowi waszą propozycję.

- O której pan się tam wybiera?

- O dziewiątej. Spotkam się z tłumaczem naprzeciwko więzienia.

- Możemy wpaść do pańskiej kancelarii jutro, około jedenastej?

- Nie ma problemu.

- A więc do jutra.

Po odłożeniu słuchawki obaj mężczyźni popatrzyli na siebie z ulgą. Simon Levine promieniał.

- Tym razem - rzucił - panujemy nad sytuacją. Nawet jeśli ta cała historia z „Pretty River” jest wyszana z palca.

- Czemu nie zapanować nad nią definitywnie? - zasugerował Malko. - Zgarnąć Li Shatina u bram więzienia i, za przy-

Zwoleniem pana Changa, przewieźć go po prostu na lądowisko helikopterów, a stamtąd do Stanów?

Uśmiech znikł z twarzy Simona Levine'a.

- A Kanadyjczycy?

- Nie powinno ich tam być, bo zostawia wolne pole działania swoim przyjaciółom z Guangbu.

Amerikanin bezlitośnie ugniatał swój potężny organ powonienia.

- No cóż - przyznał - to pociągająca hipoteza. Lepiej byłoby jednak, żeby to był nasz helikopter.

- Myślałem, że macie tu jakiś.

- Pilot jest Kanadyjczykiem, nie pracuje dla Agencji. Nie mam pewności, czy się zgodzi. Muszę zapytać Langley.

- Proszę to zrobić - odrzekł Malko, zawiedziony. - Taka okazja już się nie powtórzy.

Z formalnego punktu widzenia, odpowiedzialnym za operację „Sunset” był nadal Simon Levine, pomimo że w rzeczywistości misją kierował Malko. Niezręczna i niejasna sytuacja.

Simon Levine, Isis i Malko jedli jak co dzień kolację w Sutton Place. Trzech Latynosów, siedzących dyskretnie przy stoliku obok, mnożyło spaceru do obficie zaopatrzonego bufetu. Malko pomyślał, że mają fizjonomie prawdziwych zbirów. Którymi zresztą byli. Simon Levine trzymał ich na odległość, wyjąwszy czynności operacyjne. Amerykanin uprzedził o całej sprawie Langley i spodziewał się otrzymać instrukcje jutro rano. Około południa, po złożeniu wizyty u pana Changa, zgromadzili już wszystkie elementy układanki.

- Nie ma wiadomości od Briana Murraya? - spytał Malko.

- Owszem, dzwonił do mnie - odparła z miejsca Isis, wypuszczając z ust słomkę od truskawkowego daiquiri.

-Co?!

Simon Levine o mały włos nie udławił się kostką lodu ze swojej whisky.

- Czemu nic nie powiedziałeś?

Isis posłała mu lodowate spojrzenie.

- Telefonował do mnie. Tobie nie miał nic do powiedzenia.

Malko pomyślał, że sytuacja staje się napięta i ostentacyjnie ziewnął.

- Chyba pójdę się położyć. Jutro czeka nas ciężki dzień. Pada, mógłbym pożyczyć waszą terenówkę?

- Oczywiście - zgodził się skwapliwie Simon Levine. Zadowolony, że zostanie sam na sam z Isis, wręczył mu kluczyki.

Malko pojechał ulicą Burrard na północ, gdzie opadała w stronę oceanu, tam skręcił w prawo, w okrążającą dzielnicę portową Waterfront Drive, pozostawiając za sobą przystań dla statków wycieczkowych. Waterfront Drive biegła pomiędzy torami kolejowymi i rozległą przestrzenią, na której piętrzyły się kontenery przygotowane do załadunku. Dziesiątki portowych dźwigów, ustawionych wzdłuż brzegu, ułatwiało ich przenoszenie na zakotwiczone statki. Sto metrów dalej zauważył po lewej stronie tablicę wskazującą lądowisko helikopterów. Znajdowało się nad samą wodą, obok przystani promu do Vancouver - Nord. Jechał cały czas prosto, aż dotarł do ślepego zakończenia ulicy. Musiał zawrócić i pojechał po nasypie do Main Street, biegnącej powyżej portu na południe. Potem skręcił w prawo, w Hastings, prowadzącą na zachód. Dzielnicą była zdewastowana, zamieszkała przez same szumowiny, ludzi z marginesu społecznego. Opuszczone domostwa sąsiadowały ze starymi magazynami, niezabudowanymi placami, drobnym handlem. Wszędzie widać było bezdomnych, a nawet, co stanowiło rzadkość w tym mieście, kilka odrażających prostytutek podpierających rozsiewające żółtawe światło latarnie. Wszystko tonęło w zielonkawej poświacie.

Było to miejsce dla białych, którym uciekł pociąg do sukcesu i starali się tu lepiej albo gorzej przetrwać, żyjąc z grabieży i korzystając z pomocy humanitarnej. A przecież o kilkakaset metrów stąd pyszniły się olśniewające budowle.

Teraz Malko skręcił w prawo, w biegnącą w stronę morza Gore Street. Jedną przecnicę za zakrętem znalazł się na rogu Cordova Street i tam natknął się na olbrzymi, zajmujący cały kwartał budynek z czerwonej cegły, prawie bez okien. Było to więzienie, w którym przebywał Li Shatin. Naprzeciw stał rząd małych domków, prawdopodobnie niezamieszkałych, zamknięty warsztat samochodowy i targowisko pod gołym niebem oświetlone acetylenowymi lampami, przed którym trzymała wartość biała prostytutka, uczesana w ogromny kok.

Okrzyżł dwukrotnie blok, aby wryć sobie w pamięć topografię terenu. Brama więzienia wychodziła na ulicę Cordova, pomiędzy Gore Street i Dunlevy Avenue.

Wracał, pokonując w odwrotnym kierunku tę samą trasę, aż do lądowiska. Tam się zatrzymał i popatrzył na fosforyzujące wskazówki breitlinga. Przejazd zajął mu dokładnie sześć minut, ale o tej późnej godzinie nie było prawie ruchu. W ciągu dnia to może potrwać dziesięć do piętnastu minut. Poza kilkoma kwartałami na Hastings, gdzie znajdowały się sklepiki dla turystów, reszta była martwa. Zamknięte sklepy, wybite okna. Przerazająco smutny krajobraz.

Kiedy na powrót znalazł się w Hyacie, był pewien, że będzie w stanie przechwycić opuszczającego więzienie Li Shatina w rekordowo krótkim czasie. Z tą pocieszającą myślą wszedł do pokoju. Czerwone oczko telefonu migotało: ktoś zostawił wiadomość. Usłyszał łagodny głos Isis:

- Obietnica pozostaje obietnicą. Życzę pięknych snów.

* * *

Victor Chang, w doskonałym humorze, wracał wielką hondą do swego mieszkania na Seymour Street. W restauracji na Alexander Road zjadł z przyjaciółmi z chińskiej wspólnoty zakrapianą na chińską modłę, francuskim koniakiem, kolację. Trzy pękate kieliszki koniaku Otard XO, wypite na zakończenie biesiady, wprawiły go w euforię. Prowadził powoli, pomimo że Granville Street była zupełnie pusta. Ta wielka arteria przecinała Vancouver z północy na południe, biegnąc przez naj szykowniej szą dzielnicę miasta. Wymuskane wille, otoczone wielkimi ogrodami. Ani jednego sklepu. Cisza była tak absolutna, że słyszało się brzęczenie świateł sygnalizacyjnych. Stojąc na skrzyżowaniu z Dwunastą Aleją, Victor Chang zauważył nagle szary samochód i zorientował się, że jedzie za nim już od Alexander Road! Nie było widać, kto siedzi w środku, i serce podskoczyło mu do gardła. W końcu jednak Granville Road było jedyną drogą prowadzącą na północ.

Ruszył i przejechał kilka przecznic. Samochód nie odstępował go. Zdenerwowany, wystukał na klawiaturze telefonu numer 911'. Prawie zaraz odezwał się anonimowy głos, pytając, o co chodzi. Przedstawił się, powiedział, gdzie się znajduje i oświadczył:

- Za mną jedzie jakiś podejrzany samochód. Czy możecie zidentyfikować jego pasażerów?

Rozłączył się zaraz po tym, jak dyżurny policjant zapewnił go, iż zaraz wysyłają wóz patrolowy. Od mostu Granville Bridge dzieliło go kilka przecznic i pomyślał, że głupio zrobił. Zresztą szare auto właśnie go wyprzedzało. Przez chwilę znajdowało się na jego wysokości. W- środku siedzieli Chińczycy, w czyni nie było niczego dziwnego. Stanowili jedną trzecią populacji Vancouveru. Nagle ich samochód przyspieszył, a po dziesięciu metrach gwałtownie zahamował. Victor Chang, klnąc, zdążył wcisnąć hamulec, a puls podskoczył mu

Numer policji.

do 150! Wszystkie drzwiczki szarego auta jednocześnie się otworzyły i czterech młodych Chińczyków w adidasach rzuciło się na nieruchomy pojazd. Victor Chang chwycił za telefon, lecz nie miał czasu, żeby się nim posłużyć. Jeden z Chińczyków otworzył drzwiczki z jego strony. Złapał go za ramię i cisnął na jezdnię. Inny błyskawicznie wskoczył za kierownicę hondy. W mgnieniu oka pozostali podnieśli Victora Changę i, biegnąc, zniknęli w ciemnej alejce prowadzącej do jednej z rezydencji.

Czekała tam furgonetka z otwartą tylną klapą. Trzej Chińczycy wrzucili go do środka, zatrzasnąwszy z rozmachem klapę i uciekli.

Adwokat próbował wstać, oszołomiony z przerażenia, zdezorientowany w ciemności. Poczł, że wokół szyi zaciska mu się pęta i otrzymał silnego kopniaka w plecy, który rzucił go na metalową podłogę. Próbował walczyć, rozluźnić zaciskającą się pęta, lecz na próżno. Jego oczy przestały odróżniać kontury i, nie zdając sobie z tego sprawy, stracił przytomność.

Chińczyk prowadzący hondę zauważył nagle we wstecznym lusterku policyjny samochód. Zesztywniał, próbując jednak nie zmieniać prędkości. Sama w sobie rzecz nie była niepokojąca, Vancouver patrolowało dziesiątki wozów policyjnych. Przez kilka minut nic się nie działo, po czym zapaliło się pulsujące światło i kierowca włączył syrenę alarmową.

Młody Chińczyk, niczego nie rozumiejąc, zwołnił i zaparkował wzdłuż chodnika. Policjant wysiadł z wozu, zbliżył się do hondy i dzierżąc pałkę w dłoni zapytał:

- Nazywa się pan Victor Chang?
- Tak - odpowiedział tamten po krótkim wahaniu.
- Czy to pan wzywał przed chwilą patrol, mówiąc, że ściga pana inny pojazd?

Chińczyk za kierownicą pokiwał potakująco głową.

- Tak, tak, to ja.
- Gdzie jest ten samochód?

- Nie wiem, zniknął - wyjąkał Chińczyk. - Pomyliłem się. Wszystko w porządku. Mogę już jechać?

- OK - odpowiedział policjant, mocno zaintrygowany.

Skierował światło latarki na tablicę rejestracyjną, numer się zgadzał.

Już miał odejść, gdy uderzył go pewien szczegół: kierowca samochodu nosił czarne rękawiczki! Nie pasujące zupełnie do reszty stroju - sportowej kurtki i podkoszulka! Popatrzył na niego i w oczach zobaczył panikę. Wszystko to wydało mu się dziwne.

- Czy mógłby mi pan pokazać swoje prawo jazdy?

Chińczyk uśmiechnął się, włożył rękę do kieszeni i gwałtownie ruszył z piskiem opon, o mało co nie potrąciwszy policjanta. Ten odskoczył w tył, podbiegł do swego wozu i rzucił partnerowi:

- Ten typek ukraść samochód!

Rzucili się w pościg za hondą. Włączywszy syrenę, przyspieszyli gwałtownie zjeżdżając na most Granville Bridge w kierunku centrum. Prowadzący pomyślał, że z łatwością dogonią zbiega, nie było żadnego ruchu. Partner alarmował już wszystkie wozy patrolowe w mieście.

Oba pojazdy przejechały z prędkością stu kilometrów na godzinę ogromny most, pędząc przez Seymour Street w kierunku centrum. Trzecie światła były czerwone. Chińczyk chciał przejechać. Zdążył tylko ujrzeć kabinę olbrzymiego TIR- a, jadącego szybko Helmsley Street. To t a m t e n miał zielone światło. Zderzenie było straszliwe. Honda wbiła się pod ciężarówkę załadowaną piwem Coor's - w przerażającym zgrzycie miazdzonej blachy. Policjant w wozie patrolowym cudem uniknął kolizji. Obaj z partnerem wyskoczyli z auta i podbiegli do miejsca wypadku. Kabina hondy została skasowana, a wielki samochód miał nie więcej niż metr wysokości... Latarka policyjna oświetliła bezładną płataninę szczątków ciał i pogniecionej blachy, w której nie było widać

żadnych oznak życia. Szofer ciężarówki wysiadł z kabiny, błady jak papier.

- Skurwysyn! - wymamrotał. - Miałem zielone i...

- Tak, widzieliśmy to - odrzekł jeden z policjantów.

Drugi wzywał właśnie karetkę.

Pół godziny później przybyli strażacy, aby wydobyć ciało. Miody Chińczyk miał nadal rękawiczki na dłoniach, lecz był martwy. Miał zmiażdżoną czaszkę i wgniecioną klatkę piersiową. Przeszukano go, nie miał przy sobie żadnego dokumentu. Nic. Tylko pięćdziesiąt dolarów. Żadnej broni, nawet klucza...

- Z pewnością nielegalny - doszli do wniosku policjanci.

- Prawdopodobnie nie zostanie nigdy zidentyfikowany.

Funkcjonariusz, który go zatrzymał, zachodził w głowę, co mogło się stać z właścicielem pojazdu, zidentyfikowanym dzięki tablicy rejestracyjnej i własnej telefonicznej deklaracji. Dziwne, że do tej pory się nie pojawił.

* * *

Biała furgonetka jechała mostem Memoriał Bridge, na wschód od Burard Inlet, w kierunku północnego Vancouveru. Po drodze numer 99 poruszało się sporo pojazdów, ponieważ w nocy most Lion's Bridge był zamknięty dla ruchu. Znalazszy się po drugiej stronie, szofer furgonetki skręcił w prawo. Drogą biegnącą wzdłuż przesmyku Indian Arms na północ, dojechał do niewielkiej, głęboko uspionej wioski Woodlands, minął ją i dotarł do małego drewnianego pomostu, przy którym cumowało kilka łodzi. Tam się zatrzymał.

Tyłne drzwiczki otwarto i dwóch Chińczyków wywlekło z auta ciężki worek. Zanieśli go do jednej z barek kołyszących się przy pomoście i wrzucili w głąb. Trzeci zapuszczał już dwudziestokonny silnik. Nie hałasując zbytnio, łódź oddaliła się od brzegu. Nikogo nie było. Wy płynęli na środek prze-

smyku i wyłączyli silnik. Panowała kompletna cisza: nocą rybacy spali... Bez słowa chwycili worek i wyrzucili go za burzę. Obciążony trzydziestoma kilogramami ołowiu, poszedł pionowo w dół w czarnej wodzie. Miejsce nie zostało wybra-

ne przypadkowo: wklęsłe dno wciągało w głąb wszelkie ciała obce i nie wypływały one nigdy na powierzchnię. Było to sta-

>

łe miejsce pochówku ofiar dyskretnych porachunków triad. i
 Jeśli delikwent zasługiwał na surową karę, wrzucano go tam (
 żywego, tak, aby miał czas poczuć skruchę. f
 Nieco lżejsza, łódź posuwała się teraz z prędkością pięciu f
 węzłów. Była własnością kogoś pewnego, kto poprzedniego j
 dnia otrzymał rozkaz dokonania przeglądu silnika i zatanko-

L

wania do pełna. Dziesięć minut później furgonetka odjechała j
 tak, jak przybyła. Przekroczywszy most Memorial Bridge, f
 skierowała się na południe. Na Granville Road nadal było pu-
 sto. Pojazd włączył migacz i wjechał w alejkę prowadzącą do \
 chińskiego konsulatu, mieszczącego się w pięknej starej willi
 otoczonej parkiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sonny Chai, wspólnik Victora Changa, nie mógł dłużej kryć zaniepokojenia. Po raz dziesiąty zadzwonił na komórkę, a następnie do mieszkania. Telefon miał włączoną automatyczną sekretarkę, a numer domowy nie odpowiadał. Siedząc naprzeciwko niego, Simon Levine i Malko czuli, jak ich zdernerwowanie potęguje się z minuty na minutę. Przybywszy do biura adwokata na jedenastą, jak było umówione, zastali w nim tylko Sonny'ego Chaia, już nieco zaniepokojonego. Tłumacz, Charlie Fang, czekał na pana Changa przed bramą więzienia do dziesiątej, po czym zawiadomił jego biuro i poszedł sobie.

Nie było sposobu, żeby sprawdzić, czy adwokat spał u siebie: był kawalerem i mieszkał sam. Sonny Chai daremnie telefonował do wszystkich jego przyjaciół.

Wreszcie zadzwonił telefon i Sonny Chai podniósł słuchawkę. W miarę rozwoju rozmowy, był coraz bardziej zaszępiiony. Kiedy skończył, oświadczył niepewnym głosem:

- Dzwoniła policja. Oni też go szukają! Wczoraj wieczorem skradziono mu samochód. Przedtem wezwał policję w obawie, że jest śledzony. Przybyły patrol stwierdził, że za kierownicą hondy siedzi młody, nieznany Chińczyk, który zbiegł z miejsca kontroli. Ścigany przez policyjny wóz patro-

Iowy doprowadził do wypadku. Wjechał prosto pod cięża-.*
 rówkę i zginął na miejscu. Nie znaleziono przy nim żadnych !
 dokumentów; policjanci nie rozumieli, o co tu chodzi. ■*
 Spodziewali się, że Victor Chang wnieśnie skargą w sprawie 1
 kradzieży samochodu... Mój Boże, na pewno przytrafiło mu i
 się coś złego...

Simon Levine i Malko popatrzyli na siebie porozumie-
 wawczo.

- Został porwany - rzucił Malko - żeby uniemożliwić mu
 ostrzeżenie Li Shatina. Mam nadzieję, że odnajdzie się żywy...

Minęło trochę czasu, zanim wprowadzili współnika Victo-
 ra Changa w sprawę i opowiedzieli o niebezpieczeństwie gro-
 żącym Li Shatinowi.

- Chcecie panowie powiedzieć, że mógł... zginąć.

Ostatnie słowo wypowiedział jednym tchem.

I

- To nie jest wykluczone - uciął Malko. - Nie mamy ani |
 chwili do stracenia. Czy może pan połączyć się z więzieniem *
 i zapytać, jako zastępca, czy widzenie z Li Shatinem jest moż- i
 liwe? Teraz tym bardziej należy go ostrzec. J

Młody adwokat bez słowa zastosował się do ich życzenia. f
 Rozmowa trwała długo. Odsyłano go od jednego urzędnika i
 do drugiego. W końcu odłożył słuchawkę, aby oświadczyć: i

- Twierdzą, że pozwolenie na widzenie zostało wydane na y
 nazwisko Victora. Trzeba sporządzić nowe, a to potrwa do ju- (

tra. Skoro wychodzi dziś, te formalności są zbędne. j

Malko drgnął. i

- Dzisiaj? Kiedy? .

- Tego nie wiedzą. To zależy od procedury w kancelarii są- J
 dowej. Na ogół wychodzą pod koniec dnia. \

Malko zwrócił się do Simona Levine'a: f

- Simon, proszę natychmiast wezwać Jesusa. Niech zajmą \,
 stanowisko przed więzieniem i nie ruszają się stamtąd.

W przeciwnym razie wychodząc z więzienia Li Shatin na- *f
 tknie się tylko na tych, którzy zamierzają go porwać.]

Wybierając numer Jesusa w swoim telefonie, Simon Levine spytał:

- Jak ma postąpić Jesus w razie konfrontacji?

Malko spojrział mu prosto w oczy:

- Wszystko, co konieczne, aby Li Shatin nie wpadł w łap Guangu. My udamy się tam, jak tylko będziemy mogli.

Zwrócił się do Sonny'ego Chaia:

- Czy mógłby nam pan znaleźć p e w n e g o tłumacza angielsko-kantońskiego, na przykład Charliego Fanga? Zapłacił mu mu tysiąc dolarów, ale musi się zgłosić natychmiast.

- Gdzie ma się udać?

- Niech się z nami spotka przed więzieniem. Oto numer k jestracyjny naszego wozu. To czarne auto terenowe marki Lincoln Interceptor. Jeśli będą jakieś nowe informacje o V k torze Changu, proszę nas zawiadomić.

- Zajmę się tym - obiecał Sonny Chai.

Zostawili go w stanie kompletnej bezradności. W windzi Simon Levine zapytał Malko:

- Czemu nie kazał ma pan pójść z nami?

- Bo od tej pory działamy nielegalnie - odparł Malko. - T m y organizujemy porwanie Li Shatina, jego adwokat nie b< dzie nam do tego potrzebny.

* * *

Interceptor stał zaparkowany przy Cordova Street, blisk skrzyżowania z Gore Street. Naprzeciwko targowiska pod g łym niebem, stojąc na chodniku przed Lion's Hotel, Malko nie spuszczał z oka fasady zakładu penitencjarnego z czerw nej cegły, z otworami okien ukrytymi za białymi okiennicami

Popatrzył na zegarek. Dziesięć po szóstej. Jesus Doming czekał tu już od południa. Logicznie rzecz biorąc, Li Shati powinien się znajdować nadal w więzieniu, choć nie było ża< nego sposobu, aby się o tym przekonać... Przybyli tu o trzecii

i ułożyli wspólnie prosty plan. Simon Levine zażądał wsparcia Johna Manchama, *case-officer* CIA przydzielonego do placówki w Vancouverze. Siedział teraz w dodge'u z Manuelem Garcia i Juanem Olvido. Auto krążyło bezustannie wokół budynku, aby wychwycić każdy podejrzany ruch.

Simon Levine za kierownicą interceptora palił jednego papierosa za drugim. Jesus Domingo na tylnym siedzeniu, mając obok siebie czarną wełnianą kominiaarkę, wyjmował i wkładał magazynek pistoletu Scorpio zakończonego tłumikiem. Malko dostał się czternastostrzałowy browning, pochodzący z arsenału Jesusa Domingo.

Simon Levine wydał rozkaz, aby helikopter czekał na nich na lądowisku, gotowy do lotu na Vancouver Island. Zwrócił się do Malko i powiedział napiętym głosem:

- Zapada ciemność. Nie mamy zezwolenia na nocny lot.
- Zobaczymy.

Na tylnym siedzeniu czekał też tłumacz, Charlie Fang, przysłany przez Sonny'ego Chaia. Wyglądał na przerażonego. Chudziutki i wąty, nie spuszczał z oka pistoletu. Ruch stopniowo ustawał. Jakiś bezdomny sączył piwo, siedząc w załomie muru przeżartej grzybem kamienicy, dokładnie naprzeciwko interceptora. Na rogu Gore Street pojawił się dodge.

- Przejedźmy się trochę - zasugerował Malko. - Niech zajmą nasze miejsce.

Simon Levine zapuścił silnik i powoli okrążyli budynek, przejeżdżając przed wspaniałą fasadą St James Anglican Church, której nieskazitelna biel odcinała się ostro od zapyziałego otoczenia.

Wrócili do punktu wyjścia. Simon Levine westchnął:

- Późno już. Nie wyjdzie dzisiaj. Zresztą poza nami nikt na niego nie czeka, więc...

- Zapomina pan o jednym - zaoponował Malko. - Ci, którzy chcą go porwać, wiedzą, o której powinien opuścić więzienie... Przybędą w ostatniej chwili.

Od momentu zniknięcia Victora Changa, był bardziej niż kiedykolwiek przekonany o tym, iż mają do czynienia z operacją Guangbu, zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach.

Usłyszał jakiś hałas i podskoczył. Przez skrzyżowanie z Gore Street przejeżdżała właśnie olbrzymia betoniarka. Przejechała obok i zatrzymała się nieco dalej. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnego placu budowy. Nikt nie wysiadł z pojazdu, cysterna z płynnym betonem obracała się miarowo.

Malko poczuł przyływ adrenaliny. Zapadła noc i tylko latarnie, oświetlając fasadę więzienia, rozpraszają mrok ulicy.

- Proszę uprzedzić pozostałych, Simon. Mam wrażenie, że zaraz coś zacznie się dziać.

* * *

- Cholera! Jest!

Simon Levine prawie krzyczał. Brama więzienia otworzyła się. W świetle latarni Malko zauważył wyłaniającą się z niej kręłą sylwetkę z torbą w dłoni.

Był to Li Shatin, w tej samej co na wczorajszej rozprawie, jaskrawoczerwonej bluzie. Postąpił kilka kroków i zawahał się. Malko zwrócił się do tłumacza:

- Szybko, niech pan po niego idzie! Proszę mu wytłumaczyć, że Guangbu chce go porwać, a my jesteśmy tutaj, żeby temu zapobiec.

Kruchy Chińczyk wysliznął się z auta w momencie, gdy trzasnął zamek pistoletu Scorpio. Simon Levine zbladł, wzrok utkwił we wstecznym lusterku, ręce zacisnął na kierownicy. Malko wsunął browninga za pasek, otworzył drzwiczki ze swojej strony i także wysiadł. Betoniarka nie drgnęła. Li Shatin stanął na skraju chodnika. Uniósł rękę i Malko natychmiast zrozumiał, po co: zauważył wolną taksówkę, przejeź-

dżającą przez skrzyżowanie z Gore Street. Tłumacz znajdował się na środku jezdni.

Nagle Malko zdał sobie sprawę, że coś tu nie gra. Taksówka przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle. Normalnie taksówkarz nigdy by sobie na to nie pozwolił.

Zatrzymała się dokładnie obok Li Shatina. Ten otwierał już drzwiczki. Tłumacz krzyknął coś przenikliwym głosem i Li Shatin popatrzył w jego kierunku, zaskoczony. W tej samej chwili młody Chińczyk wyskoczył z betoniarki i biegnąc przeciął ulicę.

Dopadłszy tłumacza, obrócił go i silnym ciosem powalił na ziemię, w poprzek jezdni. Li Shatin zawahał się, przytrzymując ręką drzwiczki taksówki. Szofer wyskoczył z niej, jak diabeł z pudełka. Był to Chińczyk o budowie wojownika. Malko widział, jak podniósł pałkę i uderzył nią w kark Li Shatina! Ten zaś mimowolnie wpadł do taksówki głową w przód.

Młody Chińczyk, który zaatakował tłumacza, podszedł do taksówki. Wsiadając, zauważył Malko. Odwróciwszy się, wyszarpnął broń zza paska i bez wahania otworzył ogień. Malko zdążył skryć się za opancerzoną karoserią interceptora. Słyszał głuchoe odgłosy pocisków, rozbijających się na grubej blasze. Nie mógł odpowiedzieć z obawy, że trafi Li Shatina. Kierowca taksówki wskoczył za kierownicę i pojazd ruszył, uwożąc na tylnym siedzeniu Li Shatina pod eskortą uzbrojonego Chińczyka. Malko podbiegł do rozciągniętego na ziemi tłumacza. Nie mogli go tak zostawić, potrzebował pomocy.

W tej chwili dodge, po objechaniu kwartału, wyłonił się zza rogu. Simon Levine, ciągle za kierownicą, wykrzyczał instrukcje do Johna Manchama. Ten, wyminąwszy Malko, ruszył w pościg za taksówką.

Betoniarka ruszyła w obłoku spalin. Taksówka zatrzymała się na czerwonych światłach przy Dunlevy Avenue. Dodge stanął obok. Wtedy zadźwięczał klakson betoniarki i taksów-

ka ruszyła, przejeżdżając czerwone światło. Dodge nie mógł pójść w jej ślady, bo betoniarka najechała na niego z tyłu całym ciężarem swych trzydziestu ton! Popychając go swym olbrzymim zderzakiem w stronę trotuaru, przejechała skrzyżowanie.

Malko, podtrzymując chwiejącego się na nogach tłumacza, dotarł wreszcie do interseptora. Usłyszał krzyczącego ile sił, Simona Levina:

- Mój Boże! Zgniotą ich!

Po przekątnej jezdni, olbrzymia betoniarka przyparła do ściany starej kamienicy, miażdżąc go jak wafel! Potem cofnęła się, zostawiając kupę rozrzuconego złomu, z której wydobywały się przerażające wrzaski, rozdzierające ciszę ulicy Cordova.

Taksówka dawno już odjechała.

* * *

- John! John! Czy nic ci się nie stało?

Simon Levine rozpaczliwie próbował otworzyć zgniecione drzwiczki dodge'a. Malko zauważył za kierownicą bezwładną sylwetkę. John Mancham, oficer CIA. Jeden z towarzyszy Jesusa, z zakrwawioną twarzą, nie był w lepszym stanie.

Drugi, Juan Olvido, otworzył tylne drzwiczki i wysiadł, zataczając się. Miał twarz we krwi, ale były to tylko odłamki szkła. W końcu przednie drzwiczki ustąpiły. Simonowi udało się jakoś wywlec Johna Manchama z wraku dodge'a. Amerykanin był nieprzytomny i trudno było ocenić, czyjego rany są poważne. Malko cały trząsł się w środku. W tym czasie ludzie Guangbu uciekali z Li Shatinem.

- Simon - powiedział Malko - niech pan tu zostanie z rannymi, a ja pojedę za nimi z Jesusem i Juanem.

Wszyscy trzej podbiegli do interseptora. Malko usiadł za kierownicą, obok niego Jesus. Kiedy odwrócili się, żeby

sprawdzić, jak czuje się Juan, stwierdzili, że chiński tłumacz zniknął. Uciekł, korzystając z zamieszania spowodowanego wypadkiem. Jeśli uda im się dopaść Li Shatina, nie uprości to sprawy.

Ruszając z piskiem opon, Malko przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie z Dunlevy Avenue, potem następne. Po betoniarce nie było śladu. Po taksówce tym bardziej. Nie przestawał kłąć pod nosem. Wściekły z powodu poniesionej porażki.

- Gdzie oni mogą być? - pytał, równie wściekły, Jesus.

Z tyłu Juan wycierał twarz, nie był w najlepszej formie.

- Z pewnością zmierzają do portu - powiedział Malko.

Na skrzyżowaniu z Main Street skręcił w prawo: arteria prowadziła w dół, do Waterfront Drive, wzdłuż wybrzeża. Dojechał do dzielnicy portowej, jeszcze raz skręcił w prawo, przejechał dwieście metrów i znalazł się w ślepych zaułku, musiał zawrócić i wyjechał ponownie na Waterfront Drive z ogromną prędkością, prawie na ślepo. Dojechał do lądowiska helikopterów i znów zawrócił, klnąc. Nie mógł przedostać się na drugą stronę. Czując, jak serce mu wali, postanowił prowadzić wolniej. Po prawej miał tory kolejowe, a po lewej strefę portową, której dźwigi były wyraźnie widoczne w świetle księżyca.

O tej późnej godzinie wszędzie panowała ciemność i pustka. Nagle ukazały się światła samochodu przemierzającego jeden z opustoszałych placów w kierunku Waterfront Drive! Wyjechał przed nimi i oddalił się w stronę pochylej Main Street. Udało im się dostrzec, że była to taksówka.

Co mogła robić o tej porze w takiej dzielnicy? Malko dojechał do miejsca, z którego wyruszyła i wjechał na odkrytą przestrzeń, kończącą się nad brzegiem. Włączył wszystkie światła, widząc z początku tylko kontenery, spiętrzone jedne na drugich. Potem jednak strumień światła wyłowił rzecz nieoczekiwaną: postawioną obok rzędu kontenerów betoniarkę.

Jesus wydał dziki okrzyk:

- Są tutaj! *Hijos de puta*!

Kiedy Malko podjechał bliżej, betoniarka ruszyła, skręcając w lewo. Z ogłuszającym łoskotem dieslowskiego silnika prosto na nich! Oślepiiony światłami Malko usunął się i przednie koła interceptora wpadły w koleinę. Podskoczyli wszyscy aż do sufitu. Malko wyrównał auto i przyspieszył.

- *Cuidadol*! - wrzasnął Jesus.

Betoniarka szarżowała prosto na nich jak nosorożec. Za chwilę zrobi z nich miazgę. Malko gwałtownie szarpnął kierownicą, robiąc unik na podobieństwo torreadora, lecz ponownie utknął w jakimś dole. Silnik zgasł. Betoniarka zbliżała się z rykiem silnika...

Malko nie miał czasu się zastanawiać, gdzie jest Li Shatin. Betoniarka wciąż zbliżała się do nich z piekielnym hałasem! Jesus nie tracił zimnej krwi. Załadował broń i zaklął pod nosem:

- *Cabron*!

Zaczekał moment, aż olbrzymi pojazd się zbliży... i wtedy otworzył ogień. Strzelał kiótkimi seriami, celując w przednią szybę. Z początku pociski zdawały się nie odnosić żadnego skutku. Betoniarka ciągle parła naprzód. Nagle zmieniła kurs. Przejechała kilka centymetrów od nich strasznie hałasując i posuwając się ze stałą prędkością zanurzyła się w wodach basenu portowego. Usłyszeli potężne klaśnięcie, potem zapadła cisza. Kierowcę dosięgła najprawdopodobniej kula, dlatego pojazd zmienił kierunek. Cisza, która nastąpiła, była przytłaczająca. Malko rozejrzał się wokół.

Ani śladu Li Shatina.

* * *

Uwaga!

Mieli mało czasu. Ktoś mógł usłyszeć strzelaninę. Malko przytknął do ust dłonie zwinięte w trąbkę i zawołał:

- Li Shatin! Li Shatin!

Cisza.

Należało brać pod uwagę możliwość, że zginął przy wymianie strzałów. Malko wziął małą latarkę Megalit, z którą się nigdy nie rozstawał i zaczął oglądać kontenery spiętrzone wzdłuż brzegu. Na wszystkich widniał ogromny, wykonany czarnymi literami na czerwonym tle napis: COSCO. Ponowił wołanie, lecz bez odzewu. Jesus, zacząjony za jednym z kontenerów, zmienił magazynek i rozglądał się po okolicy. Malko kontynuował poszukiwania. Wreszcie w trzecim kontenerze zobaczył to, czego szukał. Podczas gdy wszystkie inne były zamknięte na kłódkę, tu metalowe drzwi były wpółotwarte. Odsunął je i otworzyły się ze zgrzytem. Oświetlił latarką wnętrze i serce zaczęło mu bić żywiej. Kontener był co prawda pusty, ale w kącie znajdował się stos naczyń i sztućców, zgrzewka wody i wielkie, kartonowe pudło. Znalazł „kabinę” Li Shatina, ale jego samego tam nie było. Nie zdążył zadać sobie dalszych pytań, kiedy zelektryzowały go wrzaski Jesusa Domingo.

- *He is here! He isfleingi!*

Malko wyskoczył z kontenera i wpadł na Latynosa, który gestykulował jak oszalały, pokazując umykającą co sił wzdłuż płotu oddzielającego dwa place - sylwetkę. Bez zastanowienia puścił się w pogoń. Jesus za nim.

Ale teren był nierówny, a on nie miał już dwudziestu lat. Od czasu, gdy w Hongkongu został ranny, płuca płatały mu nieraz figle. Wściekły na siebie musiał jednak zwolnić.

Uciekinier był już na Waterfront Drive. Biegł po skarpie prowadzącej do torów kolejowych. I kiedy znalazł się w świetle latarni, Malko rozpoznał bezbłędnie czerwona bluzę Li Shatina.

Jest tutaj! Ucieka!

Kiedy obaj z Jesusem dobiegli do linii kolejowej, Chińczyk zniknął im już z oczu! Znalezienie go w tej masie spiętrzonych kontenerów było niewykonalne. Trzęsąc się ze złości, Malko zatrzymał się, żeby złapać oddech.

Poniesli klęskę!

Jesus nerwowo rozglądał się dookoła.

- *Vamos, vamos* - powiedział półgłosem.

Malko obejrzał jeszcze raz miejsce, w którym zniknął Chińczyk. Waterfront Drive świeciła pustką. Zwrócił się do Latynosa.

- Co z pańskim towarzyszem?

Jesus rozłożył ręce w smutnym geście.

- Nic już nie można dla niego zrobić...

Odeszli piechotą, bez słowa przeszli obok lądowiska helikopterów. Pięć metrów dalej zaczynała się Burrard Street. Do hotelu Hyatt musieli przejść pieszo sześć kwartałów. Rozstali się przed nim, wymieniając krótki uścisk dłoni. Nie upłynęło jeszcze pięć minut odkąd Malko wszedł do pokoju, gdy zadzwonił telefon.

Był to Simon Levine.

- Rozmawiałem z Jesusem. Wiem o wszystkim.

Malko westchnął.

- Dobre i to, że Guangbu też go nie mają. A John?

- Jedno z żeber przebiło płuco. Doznał urazu czaszki, ale wyjdzie z tego. O tej porze powinien już być w szpitalu w Seattle. Wyekspediowałem go helikopterem sanitarnym. Na szczęście, Manuel Garcia ma tylko drobne zadraśnięcia. Niech to szlag!

- Nie ma w tym niczyjej winy - westchnął Malko. - Po prostu pech.

Niewiele brakowało, żeby im się powiodło. Ale szansa nie zawsze jest na zawołanie.

* * *

Malko nie mógł zasnąć. Zadzwoił telefon. W końcu podniósł słuchawkę z postanowieniem, że jeśli to będzie Isis, powie jej, żeby przysłała. Jak zawsze, kiedy znalazł się w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, odczuwał piekielne napięcie erotyczne.

Ale był to znowu Simon Levine. Wyglądało na to, że ponownie obrósł w piórka.

- Rozmawiałem z Waszyngtonem - oświadczył. - Gratulują nam, że pokrzyżowaliśmy plany Guangbu.

- Bravo! - powiedział Malko nie żywiąc złudzeń.

- Życzą sobie też, abyśmy zrobili wszystko, aby odnaleźć Li Shatina, zanim zrobią to pekińskie służby.

Połowanie trwało więc dalej. Guangbu nie poprzestanie z pewnością na tej porażce. Malko próbował przekonać sam siebie, że klęska w bitwie nie oznacza jeszcze przegranej wojny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Li Shatin zniknął - oświadczył słabym głosem Simon Levine. - Nie wrócił do swojego apartamentu w Crystal Court. Jesus trzyma tam wartę z Manuelem Garcia. Telefon nie odpowiada. Policja kanadyjska, po podstemplowaniu zwolnienia z aresztu, przyszła zadać mu dzisiaj kilka pytań. Oni też szukają Li Shatina.

Siedzieli w zaimprovizowanej naprędce salce konferencyjnej, połączonej z biurem konsula amerykańskiego i wyposażonej w bezpośrednią łączność z Langley. Podano im nawet rogaliki, kawę i wodę mineralną. Simon Levine miał worki pod oczami, część nocy spędził na redagowaniu „dokumentów”, które obecnie przechodziły przez zakodowany faks konsulatu. Bilans ofensywy Guangbu nie wypadł dla nich najlepiej.

Jedna ofiara śmiertelna, obywatel Hondurasu Juan Olvido, jeden ciężko ranny, John Mancham, dwóch łzej rannych, wliczając w to tłumacza wynajętego przez Sonny'ego Chaia i interceptor nadający się na złom... Mimo to, zasadniczym punktem sprawy pozostało zniknięcie Li Shatina. Malko wypił łyk zimnej kawy i podsumował:

- Od tej chwili mamy dowód, że pomiędzy Kanadyjczykami i rządem w Pekinie istnieje tajne porozumienie. Zwolnię-

nie Li Shatina zostało zaplanowane w taki sposób, aby umożliwić jego porwanie. Kierowca taksówki wiedział, z dokładnością do kilku minut, kiedy więzień opuści zakład. To wymagało całego łańcucha wtajemniczonych.

- Tego nigdy nie udowodnimy! - westchnął Simon Levine.

- Ale gdyby nie my, Li Shatin płynąłby teraz do Chin na „Pretty River”. Jak go teraz znajdziemy?

- Mogą nam pomóc dwie osoby. Brian Murray, który dostarczał nam już cennych informacji i, ewentualnie, Sonny Chai. Trzeba się też dowiedzieć, co stało się z dwoma goryłami Li Shatina. Mogliby nas do niego doprowadzić.

Simon Levine spojrzął na zegarek.

- Muszę tu jeszcze zostać. Poproszę Isis, żeby wezwała Briana Murraya. Wy idźcie się zobaczyć z Sonny Chaiem. Spotkamy się na lunchu w Sutton Place.

* * *

Sonny Chai był jeszcze bardziej przybity, niż w czasie ich wczorajszej wizyty. Zaraz po tym, jak Malko wszedł do jego kancelarii, oświadczył żalobnym tonem:

- Obawiam się, że Victor nie żyje. Rozmawiałem z policją i oni nie potrafią wyjaśnić tego zniknięcia. Zrewidowali jego mieszkanie, ale nie znaleźli żadnej wskazówki.

Malko, zrezygnowany, pokiwał głową.

- Jego zniknięcie wiąże się ze sprawą Li Shatina. Prawdopodobnie pozbyli się go ludzie Pekinu.

Młody adwokat rzucił mu przerażone spojrzenie.

- A co się działo przed więzieniem? Mój tłumacz, Charlie Fang, także o mało nie zginął. Boi się o swoje życie. Przed chwilą do mnie dzwonił.

- Wszystko źle się potoczyło - wyjaśnił Malko.

Opowiedział Sonny'emu Chaiowi o dziekiej rozprawie w dokach i o zniknięciu Li Shatina.

- Teraz trzeba się dowiedzieć, jaki los spotkał jego ochro-
niarzy - zakonkludował. - Skontaktować się z nimi, to mo-
głoby nas naprowadzić na jakiś ślad. Może nam pan pomóc?

- Oczywiście. Zadzwoń do sędziego, który prowadzi tę
sprawę. Mam nadzieję, że udzieli nam wyjaśnień.

Polecił sekretarce, aby połączyła go z pałacem sprawiedli-
wości i zaproponował Malko filiżankę herbaty. Telefon za-
dzwoił kilka minut później. Była to sekretarka.

- Panie Chai, obaj pana klienci zostali zwolnieni dzisiaj ra-
no - powiadomiła - w zamian za kaucję w wysokości pięciu
tysięcy dolarów.

Malko miał ochotę zakląć: wszystko szło nie tak!

- Trzeba ich odnaleźć - powiedział. - Czy dałoby się zdo-
być adresy?

- Z pewnością.

Po chwili sekretarka podała dwa adresy w Richmond wraz
z numerami telefonów. Sonny Chai natychmiast pod nie za-
dzwoił. W obu przypadkach trafił na małżonki chińskich
bandytów. Udzieliły identycznych odpowiedzi: ich mężowie
od dawna z nimi nie mieszkają i nie mają pojęcia o ich miej-
scu pobytu.

Jeszcze jeden ślad się urwał.

- Ma pan zapewne swoich informatorów w miejscowej
chińskiej społeczności. Mógłby się pan dowiedzieć czegoś
o Li Shatinie? Nie wyniósł się przecież na inną planetę!

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał Sonny Chai - ale je-
żeli znalazł się pod opieką triad, trudno będzie go szybko od-
naleźć.

- Policja kanadyjska zna tę siatkę przestępczą?

Sonny Chai uśmiechnął się zagadkowo.

- Nie. Zadzwoń do pana, kiedy czegoś się dowiem.

* * *

Simon Levine, siedząc w swoim biurze Adventure Production, nie odejmował od ucha telefonu. Wreszcie odłożył słuchawkę z oczyma nabiegłymi krwią.

- „Buzzy” Krongard życzy sobie, abym osobiście złożył sprawozdanie w Langley - powiedział. - Zaraz wyjeżdżam. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, przybędę na miejsce dopiero późnym wieczorem. W najlepszym razie wrócę więc nie wcześniej niż jutro wieczorem.

- Miał pan jakieś nowiny od Briana Murraya? - zapytał Malko, opowiedziawszy o swojej wizycie u Sonny'ego Chaia.

- Isis zostawiła mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Mam nadzieję, że oddzwoni.

- A z Bumaby?

- Nic nowego. Jesus i Manuel nie ruszają się stamtąd na krok.

Po krótkiej pauzie dorzucił niepewnie:

- Powierzam panu Isis. Nie będę miał już czasu zjeść z wami lunchu. Sandra wynajęła dla was nowy samochód. Powinni go dostarczyć lada chwila.

Po zamknięciu małej walizeczki opuścił wielkimi krokami biuro. Z pewnością z bólem w sercu, że zostawia Isis.

Malko zorientował się, że nie ma numeru komórkowego młodej kobiety i wezwał Sandrę.

- Może mnie pani połączyć z panną Scott?

Po trzydziestu minutach miał Isis na linii. Rozanieloną. Pierwsze pytanie, jakie zadała, brzmiało:

- Simon wyjechał?

- Pięć minut temu - sprecyzował Malko.

- Wow! Będzie można się zabawić!

Malko w z a d n y m r a z i e nie miał głowy do zabawy.

- Czy Brian Murray dzwonił?

-Tak.

- Co powiedział?

- Wyznaczył mi spotkanie na dzisiaj wieczór.
- Gdzie?
- Zaśmiała się perliście.
- Powiem panu, jeśli będzie pan bardzo grzeczny. Spotykamy się w bufecie na dole.
- Przed zejściem Malko połączył się jeszcze z Jesusem: nie było nic nowego. Kompletna cisza.

* * *

Malko popijał krwawą Mary, żeby się rozluźnić, kiedy ironiczny głos zagadnął go:

- Mogę się przysiąść?
- Miał przed sobą Isis, bardziej seksowną niż zwykle. Czerwone usta, ciemne okulary, pomarańczowy wcięty kostium odsłaniający długie zgrabne nogi i podkreślający krągłość bioder.
- Malko rzucił jej pełne podziwu spojrzenie.
- Jest pani wspaniała! Ani kilograma ponadto, co trzeba!
- Usiadła z ironicznym uśmiechem.
- Tak więc Simon wyjechał?
- Wie pani o tym bardzo dobrze.
- Czołgał się, błagając, abym jechała z nim - zwierzyła się. - Jest przekonany, że prześlę się z tym odrażającym Jesusem! Nawet będąc na bezludnej wyspie, nie zrobiłabym tego. Zamówi mi pan truskawkowe daiquiri?
- Malko zaczął, aż napocznie drinka i zapytał:
- Gdzie ma się odbyć dzisiejsze wieczorne spotkanie z Brianem Murrayem?
- Isis popatrzyła na niego kpiąco.
- Powiedziałam, że zdradzę to panu pod warunkiem, iż będzie pan dla mnie bardzo miły. Na razie jeszcze tak nie jest...
- Próbował powstrzymać irytację.
- Isis, jest szalenie ważne, żebyśmy mogli z nim porozmawiać.

Krzyknęła z udaną złością:

- Przecież to ja mam z nim spotkanie! Nie wiem, czy ze-
chce pana widzieć...

Pochyliła się, co pozwoliło Malko zobaczyć, że pod ko-
stiumem ma tylko czarny stanik, i dorzuciła:

- Lecz jeśli będzie pan dla mnie n a p r a w d ę miły aż do
wieczora, zabiorę pana ze sobą.

Malko zastanawiał się, czy udusić ją od razu czy jeszcze
trochę zaczekać.

- Jaki więc mamy program? - zapytał.

- Przegryziemy coś i pójdziemy na zakupy - zapropono-
wała młoda kobieta.

* * *

Isis podstawiała Malko pod nos czarny gorset, pod rozba-
wionym spojrzeniem ekspedientki Victoria's Secret.

- Czy ten ci się podoba, *darling*?

To był koszmar. Najpierw zaciągnęła go do wielkiego
magazynu dekoracji wnętrz, gdzie musiał podziwiać kanapę
jej marzeń, zaprojektowaną przez paryskiego dekoratora,
Claude'a Dalle'a. Kanapa w stylu secesyjnym, obita czarną
skórą imitującą krokodyla. Potem odwiedzili trzy sklepy
z bielizną... Isis świetnie się bawiła. Malko co pół godziny
telefonował do tkwiącego w Burnaby Jesusa. Powoli zaczy-
nał się wahać. Isis przysięgła, że wyprowadzi go z równo-
wagi.

- Biorę ten gorset - oświadczyła. - Będzie silną podniętą
dla mojego męża.

Sprzedawczyni zarumieniła się... W Vancouverze większą
od gorsetów popularnością cieszyły się kapelusze. Kosztowa-
ło to Malko sześćset dolarów. Trudno było uwierzyć, że Isis
nie ma co na siebie włożyć... Wyszli obładowani pakunkami.

- Wracamy! - rzuciła Isis.

Malko nie kazał sobie dwa razy tego powtarzać...

Po odwiezieniu Isis, pojechał do Burnaby, aby podnieść na duchu obu Latynosów. Jesus wysiadł z ich nowego samochodu, beżowego forda.

- Mam już tego powyżej uszu - westchnął. - To pewne, że go tu nie ma. Kanadyjczycy się nie pokazują, muszą wiedzieć, gdzie jest.

- Zostańcie do dziesiątej wieczór - wydał rozkaz Malko. - Zobaczycie, czy w apartamencie zapali się światło.

Kiedy stamtąd odjeżdżał, jego bretling wskazywał piątą. Miał czas. Dwadzieścia minut później znalazł się na wolnym placu, stanowiącym scenę wczorajszych wydarzeń. Wrak interceptoru nadal tu tkwił, ale kontenery zniknęły. Podszedł do brzegu. „Pretty River” już tam nie było...

Kiedy wracał, zadzwonił telefon.

- Gdzie pan jest? - zapytała Isis.

- W mieście.

- Proszę przyjść, chcę panu coś pokazać. Jestem w biurze.

Drzwi od wielkiego apartamentu, mieszczącego biura Adventure Pictures, otworzyła sama Isis. Ubrana w ten sam kostium, na nogach miała czarne pończochy i była mocno uperfumowana. W jej szarych oczach tańczyły wesołe chochliki.

- A gdzie Sandra? - zapytał Malko zdziwiony.

- Już prawie szósta, wyszła. Chciał się pan z nią zobaczyć?

- Nie. O której mamy spotkanie z Brianem?

- Zaraz panu powiem.

Poszła przodem do biura Simona Levine'a. Wielkie oszklone okno wychodziło na ścianę budynku naprzeciwko. Kiedy tylko Malko wszedł, odwróciła się do niego przodem, oparta o biurko.

- Proszę podejść! - powiedziała. - Mówiłam, że chcę panu coś pokazać.

Zbliżył się. Kiedy był już całkiem blisko, Isis ujęła łagodnym gestem jego dłoń i położyła po zewnętrznej stronie ud.

Natychmiast poczuł żywsze pulsowanie krwi. Pod palcami czuł mocno naciągnięte gumki podwiązek. Isis obserwowала go kątem oka. Kiedy zobaczyła w jego twarzy to, co chciała, szepnęła:

- Byłam pewna, że to się panu spodoba. Proszę dotknąć pończoch...

Ujęła jego lewą rękę i położyła ją powyżej obrębka spódnicy. Malko czując nylon pod palcami skonstatował, że poziom jego libido gwałtownie podskoczył. Isis rozsunęła nogi na tyle, na ile pozwalała jej wąska spódnica. Odpięła żakiet. Malko ujrzał dwie ciężkie piersi podtrzymywane gorsetem z Victoria's Secret. Brodawki sterczały spod koronki zabarwionej tą samą czerwieńią, co usta.

- Zawsze dotrzymuję obietnic.

Jej brzuch dotknął jego brzucha i zaczęła szybciej oddychać. Malko próbował heroicznie się bronić. Przez kilka sekund nic się nie działo. Spojrzenie Isis sposepniało.

- Już mnie nie pragniesz? Jestem za gruba?

- Ale czemu tutaj? - zapytał Malko, próbując zyskać na czasie.

- Bo taka sytuacja mnie podnieca, wczucie się w rolę sekretarki puszczalskiej, która ekscytuje szefa - powiedziała Isis wprost.

Ponieważ Malko nie wykonał żadnego ruchu, odepchnęła go ze złością.

- Tym gorzej dla pana! Skorzysta Brian. Miłego wieczoru!

Złapał ją za nadgarstki i odwrócił. Ich spojrzenia się spotkały i zrozumiał, że nie blefuje: była zdolna nie dopuścić do spotkania z Brianem dla zaspokojenia własnego kaprysu...

Nie zamienili słowa. Kiedy popchnął ją w stronę biurka, podciągnęła spódnicę wyżej, aby móc szerzej rozsunąć uda. Ukazały się brzegi pończoch i podtrzymujące je gumki. Wtedy jej usta dotknęły ust Malko i przywarła do niego całym ciałem. Pozbywszy się skrupułów, teraz on położył rękę na

udach Isis, podciągając spódnicę jeszcze wyżej. Dotarł do czarnych satynowych majteczek i młoda kobieta pisnęła. W mgnieniu oka zdał sobie sprawę, że nie odgrywała kome-dii. Teraz on poczuł gwałtowne podniecenie. Gorączkowo zaczęli pozbywać się części garderoby. Rozpięła mu pasek od spodni, które opadły aż do kostek i przywarła do jego członka. On zaś wziął w posiadanie jej wilgotny seks. Kiedy zsunął wzdłuż ud satynowe stringi, jęknęła ze szczęścia. Z wysoko podciągniętą spódnicą, obleczonymi w czarne pończochy długimi nogami, ciałem odrzuconym w tył i rękami opartymi o biurko, przeżywała na jawie „fantazję erotyczną” o szefie gwałcącym sekretarkę. Po omacku oparła lewą stopę na krzesło, żeby łatwiej mu się oddać. Malko już się nie wahał. Jednym celnym ruchem wszedł w jej ciało. Jeśli już się bawić, to dobrze. Potem, stojąc pewnie, oparł się na ramionach młodej kobiety zmuszając ją, aby rozciągnęła się na biurku, zrzucając dokumenty. Chwyił ją za biodra, zmuszając do podniesienia nóg pionowo. W tej pozycji seks młodej kobiety znalazł się na krawędzi biurka. Malko cofnął się i z całej siły zagłębił się w niej.

- Tak - jęczała Isis - głęboko.

Kochał się z nią silnymi pchnięciami, przesuwając ją w głąb biurka, które trzęsło się w posadach. Jedną ręką wczepioną w telefon, drugą trzymając kurczowo klaser, Isis skręcała się pod uderzeniami, wstrząsana falami nawracającego orgazmu. Wtedy Malko gwałtownie się wycofał, a ona krzyknęła:

-Nie! Nie odchódź!

Przyciągnął ją do siebie, postawił na podłodze i odwrócił. Pojęła w lot, o co mu chodzi i rozplaszczyła się na biurku. W tej pozycji jeszcze łatwiej było ją osiąść. Isis, trzymając się dłońmi za przeciwległą krawędź biurka, jęczała bezustannie. Malko, wbrew wszystkiemu, zachował chłodny umysł i postanowił, że drogo będzie ją kosztował kurewski numer,

jaki mu wycięła. Raz jeszcze wycofał się, nie musząc daleko szukać tego, o co mu chodziło.

- Nie! - wrzasnęła zmienionym głosem, czując jego seks penetrujący pomiędzy pośladkami.

Malko, zupełnie się tym nie przejmując, sforsował stawiający opór zwieracz i napał całym ciężarem ciała. Tym ruchem otworzył sobie drogę i miał pełną satysfakcję, widząc swój członek pomiędzy półkulami pośladków i słysząc jej syreni śpiew... Było gorąco i ciasno, po prostu wspaniale. By! to do pewnego stopnia gwałt i podniecenie Malko szybko osiągnęło szczyt. Przez kilka sekund pozostali bez ruchu, oszołomieni rozkoszą, później rozłączyli się. Isis oparła nogi na podłodze i odwróciła się. Rozpuszczony tusz do rzęs rozmazał się na twarzy czarnymi smugami. Wzrok miała pusty, a usta podwoiły objętość. Opadła na dywan, jak szmaciana lalka.

- Łajdak! - wyszeptała. - Skończona świnia! Sprawił mi pan ból.

Później wstała, płynnym gestem wyciągnęła dłoń, aby objąć sztywny jeszcze członek i zagłębiła go w ustach.

Malko poczuł się jak rażony prądem. Isis była bardziej zwiariowana niż sądził.

* * *

Isis puściła rękę Malko dopiero przy wejściu do restauracji Capone's na Hamilton Street. Była to włoska restauracyjka podłej kategorii, dwóch muzyków jazzowych i zdjęcie Capone'a na ścianach. Po upragnionym „gwałcie”, młoda kobieta zrobiła sobie nowy makijaż i była grzeczna jak aniołek. Malko przyjrzał się sali, po prawej znajdował się bar, a w głębi muzycy międlili mdławy jazz.

Brian Murray siedział samotnie przy stoliku. Nie wydawał się szczęśliwy, zobaczywszy Malko, ale robił dobrą minę do złej gry.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedział Malko, pozwalając Isis usadowić się obok kanadyjskiego policjanta. - Wdepnęliśmy w niezłe gównno.

Brian Murray zdążył już położyć rękę na udzie Isis. Malko zastanawiał się, czy się zorientuje, że Isis ma na nogach pończochy. Mogłby pomyśleć, że włożyła je specjalnie dla niego.

Kanadyjczyk zaśmiał się sucho. Piękne błękitne oczy, regularne rysy i wąs, przypominał raczej playboya u schyłku kariery.

- Wiem, ale nie tylko wy.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Wzięto na ząb CSIS. Oni też stracili go z oczu. Nikt nie wie, gdzie go szukać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Malko poczuł jednocześnie ulgę i niepokój. Mimo że właściwie potwierdziło to podejrzenia Jesusa.

- A może to zmyłka? - zapytał, odgrywając rolę adwokata diabła.

- Nie - odpowiedział od razu Brian Murray. - Dopiero co wypilem drinka ze starym kumplem z CSIS. Dla nich to katastrofa: Ottawa odebrała im sprawę. Tymczasem dzisiaj rano otrzymali od dyrektora gabinetu partii chrześcijańskiej bezwzględny rozkaz odszukania Li Shatina za wszelką cenę. Podejrzewają, że uciekł pilnującym go agentom RCMP. Przez cały dzień przeszukiwali jego mieszkanie i kilka potencjalnych kryjówek, ale bez powodzenia.

- Myśli pan, że uciekł z kraju?

Brian uśmiechnął się, głaszcząc machinalnie udo Isis.

- A gdzieżby się podział? Poza Stanami, oczywiście. Przecież nie ma paszportu.

- A może dowiedział się pan czegoś o zniknięciu Victora Changa?

- Niczego. Chodzi pewnie o tajną operację Guangbu. Ich struktury obejmują całą Kanadę.

Przerwali, żeby złożyć zamówienie. Isis spotkał straszny zawód, nie mieli tu truskawkowego daiquiri. Zamówiła więc

Defendera Very Special Reserve, podobnie jak Brian Murray. Zaraz po odejściu kelnera, Malko podjął temat:

- „Czarny Duch” Ming i „Głupi Ricky” zostali zwolnieni dziś rano - powiedział. - Próbowałem ich odnaleźć przy pomocy Sonny Chaia, współnika Victora Changa, lecz bez skutku. Ma pan jakiś pomysł na dotarcie do nich?

Kanadyjski policjant wykonał gest pełen rezygnacji.

- Nie mam. Wiem, że wyszli zgodnie z postanowieniem trybunału. Ponieważ lokalna policja nie została o tym uprzedzona, rozplynęli się w powietrzu. Z pewnością skryli się w Richmond.

- Razem z Li Shatinem?

Brian Murray pociągnął łyk swego Defendera.

- To prawdopodobne, ale tutaj wkraczamy już na teren działalności triad. Nieprzenikalny. Mogą się ukrywać całymi miesiącami. Wystarczy, jeśli się nie dadzą namierzyć przez telefon. Myślę, że Li Shatin był w strachu. Nie spodziewał się, iż Pekin będzie chciał go porwać. Musi teraz zyskać na czasie. Niewykluczone, że b e z p o ś r e d n i o negocjuje z Chińczykami.

- Negocjuje co?

- Nie mam pojęcia - wyznał Kanadyjczyk. - Z nimi nigdy nie wiadomo. W obecnej sytuacji Li Shatin uzyskał już dowód na to, że Kanadyjczycy są gotowi go wydać, może więc liczyć tylko na siebie.

- Dlaczego nie chce się schronić u Amerykanów?

- Tego też, niestety, nie wiem.

Przyniesiono im rozgotowany makaron, w którym pływało parę grzybków. Kanada, jeśli idzie o sztukę kulinarną, tkwiła jeszcze w epoce kamienia łupanego. Dwaj muzycy, wyczerpani graniem, opuścili estradę, aby się przenieść do baru. Malko pozwolił Brianowi Murrayowi zabrać się do jedzenia, zanim zapytał:

- Czy świta panu jakiś pomysł, jak go odnaleźć?

Policjant, dzielnie walcząc z kleistą mazią, odpowiedział:

- Być może. Od dawna już mam w Richmond swego informatora. Jest członkiem triady King Koka. Podrzucił mi już niezłe kawałki. Trzeba go opłacić.

- Z tym nie ma problemu. Ile?

- Kilka setek. Konkurują z triadą Big Circle Boys w branży wymuszeń. Może się zgodzi. Nazywa się William Hing Lun. Ma pralnię „Dry Cleaning” w Yaohan, wielkim supermarkecie na Trzeciej Alei, w Richmond. Ale uwaga! Tam nie ma białych! Szybko zostanie pan zauważony. Proszę nie telefonować. Trzeba się pofatygować osobiście i powołać na mnie. Zna mnie pod pseudonimem „Grizli”. To wszystko, co mogę zrobić.

Pogrzebał jeszcze przez chwilę w talerzu, potem odsunął go i wypił duszkiem resztę Defendera. Widać było, że opanowała go jedna myśl: znaleźć się sam na sam z Isis. Młoda kobieta nic nie zjadła. Bez muzyki to miejsce było, jeszcze bardziej przygnębiające.

W chwili gdy muzycy niechętnie podejmowali swój trud, Malko zażądał rachunku. Kiedy wyszli, padało. Brian Murray objął Isis ramieniem, wreszcie w siódmym niebie. **Młoda** kobieta z miejsca powiedziała:

- Brian mnie odprowadzi. Ciao! Ciao!

Malko patrzył, jak odchodzą. Kanadyjczyk solidnie zarobił na swoją chwilę szczęścia. A Isis była rzeczywiście wspaiałą dziwką. Słyszał jeszcze jej krzyki rozkoszy...

* * *

Siedziba sekcji „Intelligence” policji kanadyjskiej mieściła się na południu Vancouveru, 5255 Heather Street, w spokojnej, eleganckiej dzielnicy, pomiędzy szkołą i ośrodkiem sportowym. Na wielkich budynkach z czerwonej cegły **nie było** żadnych tabliczek, tylko dyskretna flaga kanadyjska wsijczay-

wała, że chodzi tu o budynki użyteczności publicznej. Brian Murray postawił auto na przeciwległym parkingu i przekroczył jezdnię, nieco wzruszony. Każda wizyta w jego dawnym miejscu pracy, z którego został tak haniebnie usunięty kilka miesięcy temu, poruszała go. Wyrzucono go stamtąd niesprawiedliwie.

Nie mając stosownej plakietki, musiał podać wartownikowi swoje nazwisko i czekać, aż ten powiadomi osobę, do której się udawał. Było to upokarzające. Wreszcie otrzymał zezwolenie wejścia na pierwsze piętro. Człowiek, z którym miał spotkanie, był szefem operacyjnym sekcji. Nigdy nie przestał się widywać z Murrayem, nawet po tym, jak go wyrzucono: obaj mężczyźni dobrze się znali i szanowali. To on właśnie, po konsultacji z przełożonymi, sugerował wczoraj Brianowi sposób powrotu do służby, dzięki jego kontaktom z CIA. Zachował pełen szacunek dla dawnego kolegi. Tak czy inaczej, Brian Murray nigdy nie popełnił zbrodni głównej, czyli zdrady. Nie przekazał prasie informacji o raporcie „Sidewinder”. Zaraz po wejściu byłego agenta RCMP do swego biura, Robert Parker, nie bawiąc się w uprzejmości, zapytał:

- Jak poszło?

- Świetnie - stwierdził Brian Murray. - Jestem pewien, że wykorzystają wtyczkę.

- Brawo! - przyklasnął Robert Parker.

Transakcja, jaką zaproponowano Brianowi była jego pomysłem. Zastawić pułapkę na CIA, pomagając im w schwytaniu Li Shatina. Amerykanie dysponowali większymi możliwościami, a także większą swobodą polityczną, aby ten cel osiągnąć. Ponadto, ponieważ w tym stadium sprawy nikt nie wiedział jeszcze, co się stanie z Li Shatinem, dla strony kanadyjskiej przezorniej było unikać zbytniego ryzyka i ewentualnej kompromitacji.

W końcu wszyscy wiedzieli, że RCMP toczyła drapieżną walkę konkurencyjną z CSIS, któremu Ottawa oficjalnie zle-

ciła przeprowadzenie tej samej misji. Inaczej mówiąc, gdyby Brianowi się udało, dorzuciłby cegielkę do i tak już wielkiej chwały kanadyjskiej policji konnej. Jej szef dał już zielone światło. Dla Briana Murraya było to: być albo nie być. Gdyby odniósł sukces, zostałyby ponownie wcielony w szeregi. Robert Parker nie krył satysfakcji.

- Brawo, ale niech pan będzie ostrożny. Nie należy lekceważyć CIA. Często biorą nas za idiotów, nie popełniamy tego samego błędu. Na tym informatorze można polegać?

- Jest godzien zaufania - potwierdził eks-policjant. - Często przekazywał mi bardzo dobre informacje.

Robert Parker nie zapytał go nawet o personalia informatora. Tego się nie robiło. Pożegnali się energicznym uściskiem dłoni. Brian Murray opuścił czerwone mury budynku z lekkim sercem. Odwrócił się i pomyślał, że wkrótce będzie tu przychodził co rano. A jeżeli uda mu się na dodatek zachować pełną fantazji Isis, nie będzie mu brakowało niczego do szczęścia. Wczoraj, po wyjściu z restauracji, uparła się, że dogodzi mu, masturbując na parkingu Diamond Casino pod pretekstem, że musi szybko wracać do hotelu, aby Simon Levine w niczym się nie połapał. Kiedy spytał, po co w takim razie założyła pończochy, skoro program przewidywał dla niego tak skromną przyjemność, odparła, iż nie przewidziała, że będzie miała tak mało czasu. Poza tym nie ma zaufania do agenta CIA, który jej towarzyszył w restauracji.

Powróciwszy do siebie, Brian Murray tym razem sam wykonał sobie masturbację, marząc o długich, obciążonych nylonem nogach Isis. Następnym razem będzie lepiej, obiecała mu to.

* * *

Yaohan Center przypominał wszystkie inne amerykańskie i kanadyjskie hipermarkety, z tą różnicą, że tu klientami byli

wyłącznie Chińczycy! Usytuowany na końcu Trzeciej Alei, na skraju dzielnicy Richmond, tętnił życiem. Malko zostawił swojego land cruisera na parkingu i skierował się do marketu w towarzystwie Isis. Skryta za ciemnymi okularami, w zielonym spodniemie i długich, splecionych włosach, sprawiała wrażenie dokładnie takie, o jakie chodziło. Był z nimi operator wraz z asystentem, członkowie ekipy Adventure Productions. Ekipa filmowa na rekonesansie. Przyciągnęli kilka ciekawych spojrzeń, nic ponadto. Na lewo były działy z żywnością, po prawej dziesiątki małych sklepików, a przede wszystkim restauracji. Na pierwszy rzut oka byli tu jedynymi białymi. Powoli obchodzili sklepiki, co pozwoliło Malko wypatrzyć farbiarnię Williama Hing Luna, wciśniętą pomiędzy restaurację i małe biuro podróży. Usiedli w atrium i zamówili colę. Wokół nich wszyscy szybko i żartocznie jedli.

Pięć minut później, niezręcznym gestem Malko wylał na żakiet Isis część swojej coli. Młoda kobieta zdjęła poplamioną część stroju, odsłaniając wspaniałego smoka, wytatuowanego na lewym ramieniu, i oboje skierowali się do pralni Williama Hinga Luna. Przyjęła ich młoda chińska pracownica, znająca tylko kilka słów po angielsku. W głębi pomieszczenia Malko dostrzegł starszego człowieka, sortującego garderobę i zażądał:

- *Caliyour boss!*¹

Zrobiła to i Chińczyk podszedł do kontuaru. Miał płaską twarz, głęboko osadzone oczy, podwinięte włosy. Przyjrzał się plamie po coca coli i potrząsnął głową.

- *No can do. Sorry.*²

Chciał się już oddalić, kiedy Malko pochylił się ku niemu.

- *I am afriend of,, Grizzly ". I have to talk toyou?*

Zadzwoń po szefa!

Nie mogę tego zrobić. Przykro rai.

Jestem przyjacielem „Grizli”. Chcę z tobą pomówić.

Chińczyk znieruchomiał, zaskoczony, i uciekł wzrokiem. Potem przyjrzał się Malko i wyjąkał:

- Tylko nie tutaj! Parking Radissona, za pół godziny. Ma pan samochód?

- Beżowy land cruiser. Nowy. *Big Wheels*.

~ OK! OK!

Pobiegł w głąb pralni, jakby diabeł go gonił. Isis i Malko wyszli.

- Marynarka do wyrzucenia! - oświadczyła smutno Isis. - Simon będzie mi musiał kupić nową.

Od czasu seansu w biurze, była dla Malko łagodna jak anioł. Simon Levine telefonował do niej co godzinę, między spotkaniami, zapowiadając następny telefon. W oczywisty sposób CIA nie mogło się zdecydować, jaką postawę przyjąć w sprawie Li Shatina...

Wsiedli do land cruisera, zostawiając na miejscu operatora i pokręcili się trochę po Richmond dla zabicia czasu przed spotkaniem na parkingu nowo otwartego hotelu Radisson, przyległego do Yaohan Centre.

- Niech pani pójdzie się czegoś napić do baru - poprosił Malko. - Lepiej będzie, jeśli spotkam się z nim sam.

Czekał w napięciu. Oby tylko Chińczyk nie przygotował mu jakiejś paskudnej niespodzianki. Kiedy drzwiczki się otworzyły, podskoczył: William Hing Lun wśliznął się do land cruisera cicho jak wąż i rzucił:

- Gdzie jest pan „*Grizzly*”!

- Nie tutaj - powiedział Malko. - Jestem jego przyjacielem. Potrzebuję informacji. 500 dolarów.

- Jakiej informacji? - zapytał Chińczyk, skulony na siedzeniu.

- Li Shatin. Chcę wiedzieć, gdzie się znajduje.

Chiński farbierz nie drgnął, jakby niczego nie słyszał, dopiero po kilku sekundach ciszy rzucił:

- Jutro, o tej samej godzinie, w tym samym miejscu.

Jego prawa ręka leżała obok drążka zmiany biegów, dłonią zwróconą do góry, w geście milczącej zachęty. Malko włożył tam dwa studolarowe banknoty. Nie wolno było mu zepsuć tej sprawy.

- OK - powiedział. - Jutro, o tej samej porze.

Chińczyk oddalił się tak, jak przyszedł. Pozostało zabrać Isis. Odnalazł ją w barze Radissona, usiłującą wytłumaczyć osłupiałym Chińczykom, co to jest truskawkowe daiquiri.

- Idziemy - powiedział Malko.

- Simon wrócił - powiedziała - dzwonił przed chwilą.

* * *

Simon Levine pożerał Isis wzrokiem, jakby nie widział jej co najmniej od roku. Spuściwszy oczy, przebrana teraz w sukienkę, jego kochanka ze skromnością przyjmowała ten hold. Przemógł się jednak i powiedział:

- Muszę teraz porozmawiać z Malko.

Isis podniosła się, nadąsana, i trzasnęła drzwiami. Amerykanin zapalił papierosa przy użyciu swej ozdobionej lwią głową zapalniczki i westchnął:

- Co za podróż! Jestem wykończony. Wydawało mi się, że już nigdy nie zostawią mnie w spokoju.

- Czego chcieli?

- Widziałem się z „Buzzy” Krongardem - powiedział Levine, zniżając głos. - Potwierdził konieczność naszej akcji. Chce mieć Li Shatina. Biały Dom naciska... Musimy więc ciągnąć dalej, dysponując teraz lepszymi środkami.

- Jakimi?

- Przyślą nam z Seattle helikopter wyposażony w kamerę termowizyjną.

- A to po co?

- Żeby pomóc nam odnaleźć Li Shatina. Za pomocą takiego urządzenia wzrok przenika mury! Kamera reaguje na ciepło wydzielane przez żywy organizm.

- Czy sygnalizuje też różnicę pomiędzy krową i Chińczykiem?

Simona to nie rozbawiło.

- Oczywiście. Widać kształty odpowiadające emitowanej ciepłocie ciała. Nawet przez ściany. Można zidentyfikować źródło ciepła, co pozwala stwierdzić, czy dom lub mieszkanie są zamieszkałe.

Pozostawało więc tylko ustalenie miejsca, w którym przebywa Li Shatin.

- Doskonale - zakonkludował Malko. - Na razie jednak niewiele nam przyjdzie z tej pańskiej kamery.

Zrelacjonował swoje spotkanie z Williamem Hing Lunem, podkreślając:

- Na razie to jedyny ślad. Jest oczywiste, że Kanadyjczycy też szukają nadaremnie.

Malko się podniósł.

- Nie przeszkadzam dłużej w ceremonii powitalnej. Jesus pilnuje Burnaby na wypadek, gdyby Li Shatin tam się pojawił, w co wątpię.

W windzie zaczął się zastanawiać, czy Isis uhonoruje swego oficjalnego kochanka nowym gorsetem.

* * *

Tym razem Malko udał się do Richmond sam. Jesus był unieruchomiony w Burnaby, a Simon Levine zmonopolizowany przez Isis. Amerykanin namówił go do wzięcia broni. Czternastostrzałowego browninga, którym już raz się posłużył. Guangbu udowodniły w całej rozciągłości, na ile są groźne.

Punktualnie o umówionej godzinie zobaczył właściciela pralni jak przemierzał parking, rozglądając się ostrożnie.

- Ma pan pieniądze? - zapytał zaraz po tym, jak wsiadł.

- Yes

Malko wyjął trzy studolarowe banknoty, ale Chińczyk odepchnął je:

- *More. One thousand. Very, very dangerous.*¹

Wykonał gest podcinania gardła. Malko dorzucił następne pięć banknotów.

- Wodolot - wyjął Chińczyk - popłynął z przyjaciółmi na wyspę Vancouver Island.

- Skąd?

- Nie wiem.

Ręka znowu się wyciągnęła. Chińczyk sprecyzował:

- *Seaplane go from down cruise boats building?*

Po czasie potrzebnym do przekazania następnych kilku banknotów, Chińczyk poszedł. Malko błyskawicznie wrócił do Vancouveru.

Wyglądało na to, że Simon Levine przeleciał Isis, humor wyraźnie mu się poprawił. Słuchając relacji Malko, podskoczył z radości.

- Znam ludzi, którzy wynajmują wodoloty. Korzystaliśmy z ich usług przy kręceniu filmów.

Wskoczyli do land cruisera i pomknęli w kierunku północnym. Przystań dla wodolotów kursujących pomiędzy Vancouverem a wyspą Vancouver Island znajdowała się poniżej ogromnego budynku, mieszczącego terminal statków wycieczkowych. Odkryta przestrzeń z kilkoma drewnianymi barakami. Poniżej, wzdłuż drewnianego pomostu kołysały się wodoloty. Simon Levine wszedł do pierwszego baraku i wpadł na pracownika, zachwyconego przybyciem potencjalnego klienta. Zaczął mu tłumaczyć, że wkrótce będzie potrzebował statku, żeby dokonać rozpoznania wyspy, potem rozmowa zeszała na interesy.

¹ Więcej. Bardzo, bardzo niebezpieczne.

² Wodolot odpływa z nabrzeża przeznaczonego dla statków wycieczkowych.

- Nie idą najlepiej! - zwierzył się pracownik. - Czasy są złe, no i kryzys. Kilka dni temu zdarzył się jeden chiński klient. Wraz z przyjaciółmi pragnął podziwiać Pacific Rim. Musieliśmy ich tam zostawić z uwagi na fatalną pogodę.

Simon Levine nadal się uśmiechał.

- Ach tak, a kto to był?

Wynajmujący wodoloty uśmiechnął się przepraszająco:

- Nie mogę tego zdradzić. Tajemnica zawodowa... To było cztery dni temu.

- Cztery? Jest pan pewien?

- Tak. Proszę chwilę zaczekać...

Sprawdził datę w rejestrze.

- Zgadza się. Popłynął tam numer 8745. Czerwony Grunman. Wrócił tego samego dnia.

Malko i Simon Levine popatrzyli na siebie. Tego dnia Li Shatin znajdował się jeszcze w więzieniu. Informator Briana Murraya wpuścił ich w maliny. Podziękowali i oddalili się. Na zewnątrz Simon Levine wybuchnął:

- Skurwysyn! Znowu toniemy w gównie.

- Raczej nigdy z niego nie wyszliśmy - sprostował Malko.

Wrócili do Sutton Place i podsumowali sprawę z udziałem Jesusa, który skończył już służbę w Burnaby. Latynos wcale się nie zmartwił.

- Trzeba odszukać tego typka i zaaplikować mu inny rodzaj motywacji - powiedział z niepokojącym uśmiechem.

* * *

O wpół do dziewiątej wieczorem parking Yaohan Center był prawie pusty; hipermarket zamykano o dziewiątej. Land cruiser stał zaparkowany dokładnie naprzeciwko wyjścia. Tym razem Isis nie wzięto do ekipy. Zastąpił ją Jesus Domingo. Kilkakrotnie już sprawdzał, czy farbiarz jest w swoim sklepiku. Właśnie wychodził z Yaohan Center i maszerował w stronę potężnej terenówki.

- Zamyka - oświadczył.

Dziesięć minut później niski Chińczyk, w białej koszuli i czarnych spodniach ukazał się w towarzystwie swej pracownicy. Podeszli do małodrożowego japońskiego samochodu. Nissana Micry. Tutaj nie tłało się ich dopaść. William Hing Lun wyjechał z parkingu i jechał w dół Trzecią Aleją, skręciwszy następnie w Westminster Highway. Milę dalej jego pracownica wysiadła przed jednym z pawilonów, a on przeciął dzielnicę spokojnych rezydencji, by wreszcie zatrzymać się przed niewielkim domkiem. Malko pojawił się za nim w chwili, gdy Chińczyk zatrzymywał auto na drodze dojazdowej. Ten ostatni zauważył w lusterku wstecznym land cruisera, który zastawił mu drogę odwrotu. Przez kilka sekund siedział nieruchomo, po czym wysiadł ze sztucznym uśmiechem. Malko powitał go z podobnym grymasem.

- Potrzebuję nieco więcej informacji - powiedział. - Natrafiłszy dzięki panu na ślad Li Shatina, ale może nam pan jeszcze pomóc.

Chińczyk natychmiast się odprężył, wężąc następną okazję.

- Jutro, jutro - wymamrotał. - Nie tutaj, tu niebezpiecznie.

- OK, Pojedziemy gdzieś dalej. Proszę wsiadać - powiedział Malko tonem nie znośnym sprzeciwu.

Farbiarz wskoczył na siedzenie obok, zerkając niespokojnie na usadowionego z tyłu Jesusa Domingo. Malko ruszył i Chińczyk wskazał mu niezabudowany teren położony trochę dalej. Tam się zatrzymali. Było już ciemno, idealnie sprzyjające warunki. Poza tym przyciemnione szyby oddzielały ich od niedyskretnych spojrzeń.

Zaledwie wóz się zatrzymał, Jesus Domingo pochylił się do przodu i błyskawicznym ruchem zarzucił Chińczykowi na głowę torbę, wykonaną z grubego przezroczystego plastiku, z dwiema stalowymi linkami. Jednym krótkim gestem Jesus zacisnął ją wokół szyi farbiarza. Malko widział przerażone

oczy Chińczyka, który próbował się uwolnić, kopiąc nogami i starając się rozluźnić linki. Do oddychania pozostało mu tylko zużyte powietrze z własnych płuc... Malko widział też, jak jego cera zmienia kolor, staje się purpurowa. Dusił się.

- Niech pan uważa. Udusi go pan.

- Nic podobnego - odpowiedział spokojnie Latynos - znam się na tym. Chce pan żeby gadał, czy nie?

Chińczyk wykonywał dzikie skoki i wydawał przerażające, przytłumione przez plastik dźwięki. Jesus lekko poluzował linki i trochę powietrza dostało się pod pętlę. Chińczyk spazmatycznie wciągnął powietrze i machając rękoma, usiłował coś powiedzieć. Jesus pochylił się ku niemu i wrzasnął:

- Wyrolowałeś nas! Potrzebujemy p r a w d z i w y c h in formacji. Kogoś, kto zaprowadzi nas do Li Shatina. Bo jak nie...

Chińczyk chrząknął, poruszając rękami. Zdecydowanym ruchem Latynos ponownie zacisnął linki, tłumacząc spokojnie Malko:

- Przeważnie nie mówią od razu. Wtedy dopiero, kiedy b a r d z o się boją.

William Hing Lun zaczął bezładnie kopać nogami, chwycić się za szyję, próbować ześliznąć się z siedzenia, ale Jesus miał silny uchwyt. W momencie gdy oczy ofiary zaczęły już uciekać w tył głowy, rozluźnił pętlę. Tym razem Malko wydawało się, że zrobił to zbyt późno: Chińczyk wyglądał na nieprzytomnego.

- Udaje - uciął Jesus. - Wszyscy tak robią. Sam pan zobaczy.

Wyjął coś w rodzaju szpikulca do lodu i dźgnął nim Chińczyka w bok, a ten zawył i próbował się znowu uwolnić. Ten seans tortur wywoływał u Malko obrzydzenie. Ale czy miał inne wyjście?

- Dobra - powiedział Jesus - teraz potrzymamy go trochę dłużej: musi poczuć, że zdycha.

Ścisnął znów końcówki worka. Widać było, że Chińczyk próbuje wstrzymać oddech. Musiał jednak w końcu wypuścić

powietrze z płuc, w agonalnym rżeniu, na skraju uduszenia, pod bezlitosnym spojrzeniem Jesusa, obserwującego jego konwulsje okiem znawcy.

- Już nie daje rady - skomentował. - Jeszcze jedna tura i będzie gotów.

Rozluźnił zacisk i farbiarzowi udało się wciągnąć nieco powietrza. Wątła klatka piersiowa unosiła się i opadała w szalonym tempie, dłonie były zaciśnięte na brzegach torby w daremnym usiłowaniu oddalenia ich od szyi, chodziło jednak o cieniutki, sztywny, stalowy sznurek... Jesus pochylił mu się do ucha i krzyknął:

- Słyszysz mnie?

Z trudem usłyszeli słabe „tak”. Latynos ciągnął:

- Będziesz mówił? Tak, czy chcesz zdechnąć?

William Hing Lun nie odezwał się. Jesus znów się nachylił.

- *Muy bien, amigo! Adios!*

Chińczyk z pewnością nie rozumiał hiszpańskiego, ale dokładnie odczytał intonację głosu, zwłaszcza czując sznurek zaciskający się na szyi, kaleczący mu skórę i pozbawiający raz jeszcze tlenu. Z zaciśniętymi zębami, Jesus zaczął go ciągnąć w tył, i tym razem rozpaczliwe ruchy Chińczyka miały inną wymowę: czuł, że umiera. Malko, przejęty zgrozą, postanowił położyć kres tym męczarniom:

- Dosyć! - rzucił Jesusowi.

Latynos nawet nie odpowiedział. Wściekły, Malko wyciągnął browninga i przytknął go do głowy agenta CIA.

- Natychmiast go puść, albo odstrzelę ci łeb!

William Hing Lun wydał ostatnie rżenie i opadł na siedzenie. Jesus zluzował natychmiast uchwyt. Malko z przerażeniem popatrzył na Chińczyka, pewien, że nie żyje. Aż do chwili, gdy zobaczył, jak jego pierś lekko się unosi. Powoli wracał do przytomności i wyjąkał kilka słów. Malko machinalnie opuścił broń.

- Chce mówić - wyjaśnił Jesus Domingo, przechodząc do porządku dziennego nad groźbą Malko.

Wyjął z kieszeni notesik i długopis, położył na kolanach torturowanego.

- Pisz! - wrzasnęła. - To twoja ostatnia szansa.

Niezupełnie przytomny, Chińczyk nie widział, jak Malko groził pistoletem jego katu. Drżącą ręką wypisał na karteczce tylko jedno imię: Betty.

- Betty jak? - krzyknął mu do ucha Jesus, czytając przez ramię. Chińczyk natychmiast dorzucił:

- *The loan shark.*¹

To było już coś, ale im nie wystarczyło. Jesus znów lekko zacisnął stalowe troki, żeby pokazać, kto jest górą i krzyknął:

- Kto to jest? Gdzie jej szukać?

Chińczyk zaczął pisać: „Przyjaciółka Li Shatina. Wynajmuje mu dom. Pracuje w Delta Hospital”.

- Gdzie mieszka?

- Nie wiem. Jeździ wielkim czarnym samochodem.

Ciężko oddychał, oczy miał nabiegłe krwią. Tym razem mówił prawdę.

- Zdejmij mu tę torbę - rozkazał Malko.

Jesus posłuchał i Chińczyk przez ponad minutę pozostał bez ruchu, niemy, wciągając łąpczywie powietrze, potem powiedział błagalnym tonem:

- *You never tell anyone. They kill me. Betty very strong, very dangerous. OK?*²

- OK, obiecał Malko.

- Wiesz gdzie jest Li Shatin?

- Nie wiem. Betty na pewno wie.

Wystarczająco się bał, żeby nie kłamać.

-Mogę już iść?

- OK, odrzekł Malko.

¹ Lichwiarka.

² Nie mówcie tego nigdy nikomu. Zabiją mnie. Betty bardzo silna, bardzo niebezpieczna. OK?

Chińczyk rzucił się do drzwiczek, zeskoczył na ziemię i zniknął w ciemności. Jesus Domingo stwierdził czystym głosem:

- Kurwa, ten to ma serce jak dzwon. Niejeden oddał ducha w moich rękach.

Malko nie podjął tematu, wspomniawszy powieść „Mains sales”. Drugie, utajone życie nie zawsze było łatwe. Jak automat wyjechał na drogę, prowadzącą z powrotem do Vancouveru. Czuł mdłości. Teraz trzeba będzie odnaleźć „Betty the loan shark”. Brian Murray będzie tu mógł z pewnością pomóc, skoro znał środowisko triad.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bar Piccolo Manolo był pusty, co było Malko bardzo na rękę. Rano Isis spotkała się z Brianem Murrayem w kawiarni, żeby przekazać mu imię „Betty the loan shark” i umówili się na spotkanie w porze kolacji. Eks-policjant przybył z grubą teczką, wypchaną dokumentami. Wydobyl z niej fiszkę, która interesowała Malko. Zaczął czytać:

- Betty Yan Tun, urodzona 7 listopada 1969. Znana policji jako lichwiarka w przeróżnych kasynach Kolumbii Brytyjskiej. Była poszukiwana w związku z aferą wymuszeń finansowych. Skazana w 1996 za kradzież z użyciem przemocy i szantaż. Określa się ją jako osobę gwałtowną i niebezpieczną. Jest członkiem triady Big Circle Boys, czyli Dan Huen-Laia.

- Cóż za dziwaczna nazwa.
 - Członkowie tej triady wywodzą się z Chińskiej Republiki Ludowej. Nazwa została nadana na pamiątkę obozów otaczających miasto Kanton podczas rewolucji kulturalnej.
 - A więc w triadach są też kobiety?
 - W Chinach tak, całkiem sporo, jako wykonawcy wyroków lub prostytutki, czasem pełnią też ważne role.
 - Zna pan tę Betty?
- Kanadyjczyk potrząsnął głową.

- Nie. Takich jak ona są setki. Drobną kryminalistka. Nie wiem, jak mogła poznać Li Shatina.

- Czy dysponuje możliwościami, żeby go ukrywać?

- Niewykluczone. Z pewnością jednak nie u siebie: jej mieszkanie w Richmond jest małe, a wokół pełno sąsiadów. Oficjalnie prowadzi bardzo skromny tryb życia. Jest sprzątaczką w szpitalu Delta.

- Pański informator twierdził, że ma samochód terenowy.

Brian zerknął do policyjnego raportu.

- Zgadza się, ale nie na swoje nazwisko. To CRV Honda o numerze rejestracyjnym RDG 475. Co macie zamiar zrobić?

- Śledzić ją - zasugerował Malko. - Przesłuchiwanie nie ma sensu, niczego nam nie powie.

We włoskim barze panował olimpijski spokój i mogli dyskutować swobodnie. Li Shatin jakby zapadł się pod ziemię. Malko popatrzył na zegarek: dwadzieścia po dziewiątej. Może Betty Tun była jeszcze w szpitalu? Jedyńm sposobem, żeby się tego dowiedzieć, było pójść tam.

- Zostawiam was. Przejadę się do tego szpitala.

Doprawdy cementował tę parę.

* * *

Li Shatin przyglądał się mijającym budynkom Downtown Vancouver z głębi swej limuzyny, prowadzonej przez „Głupiego Ricky'ego”. Drugi ochroniarz, „Czarny Duch” Ming siedział obok. W ich towarzystwie Li Shatin czuł się bezpieczny. Po szaleńczej ucieczce, miał czas przemyśleć to, co się wydarzyło. Na szczęście, znał w Richmond pewnych ludzi. Dawno już zorganizował sobie bezpieczny odwrót na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń. Nie miał więc trudności z zapadnięciem się pod ziemię. Jego dwaj goryle, po uwolnieniu, dołączyli do niego dzięki wiadomościom, jakie im poz-

stał. Od tego czasu przebywali w ukryciu. Li Shatin zgolił wąsy i zaczął ubierać się bardziej klasycznie. Tego wieczoru, za namową jednego z przyjaciół, zarządzającego siecią *escort girls*, po raz pierwszy opuścił swoją kryjówkę. Li Shatin miał dosyć ciemności, musiał się odprężyć. Kręcić się całymi dniami w kółko, nie mogąc nawet telefonować, to nieludzkie. Trzeba jednak było zachować wszelkie środki ostrożności. Kanadyjczycy z pewnością węszyli wszędzie, podobnie jak Chińczycy z Guangbu po swym nieudanym porwaniu... Ta sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Miał teraz dowód na to, że Chińczycy działali w porozumieniu z Kanadyjkami. Dysponował jeszcze mnóstwem pieniędzy, mógł sobie zorganizować paszport, ale w momencie nawiązania kontaktu ze swoimi - rodziną czy partnerami w interesach - pościg zostanie natychmiast wznowiony. Nie przeniesie się przecież na inną planetę... Najbardziej brakowało mu gry! Nie mógł zaprosić partnerów do swojej kryjówki, to byłoby zbyt ryzykowne. Poza tym poker go nie bawił. Uwielbiał hazard w kasynie: black-jacka, ruletkę, a zwłaszcza bakarata. Mógł grać przez całą dobę bez przerwy. Auto zwolniło i „Czarny Duch” Ming zwrócił się do niego:

- Jesteśmy na miejscu, szefie. Iść sprawdzić?

-Idź.

Zaparkowali limuzynę i Chińczyk wszedł do baru nazwanego Madame Chloe na Richards Street. W gruncie rzeczy był to burdel. Tutaj Li Shatin był tylko anonimowym Chińczykiem. W Richmond ryzykowałby, że zostanie rozpoznany. „Czarny Duch” Ming otworzył drzwiczki samochodu.

~ Może pan tam iść, szefie.

Li Shatin szybkim krokiem pokonał trotuar i wszedł do saloniku położonego naprzeciw schodów. Kiedy wchodził, wysoka blondynka w różowej spódniczce uciekła, chichocząc. Pokazał ją palcem i powiedział do „Czarnego Ducha” Minga:

- Chcę tą.

Wszedł na schody prowadzące do kilku saloników, w których paplało z tuzin dziewcząt. Właścicielka, pucołowata Kanadyjka, przedstawiła Li Shatinowi zarumienioną blondynkę o mięsistych udach i imieniu Cynthia. Wybrał ją przypadkowo, bo białe kobiety nie pociągały go zbyt. Madame Chloe oświadczyła z porozumiewawczym uśmiechem:

- Cynthia jest królową masażu.

Dziewczyna wzięła go za rękę i zaprowadziła do kabiny. Rozebrała go i skromnie okryła mu brzuch ręcznikiem. Zamknąwszy oczy, Li Shatin poddał się jej działaniom. Cynthia zaczęła od masażu ramion, później tors i reszta. Z trudem okazywał cierpliwość: chciał, żeby jak najszybciej przystąpiła do w ł a ś c i w e g o masażu.

W końcu nabrała w dłonie kremu i zbliżyła się do „wrażliwej strefy” lekko masując seks Chińczyka. To jednak wystarczyło, zareagował natychmiast. Wsunąwszy rękę pod ręcznik masturbowała go zręcznie, zagłębiając od czasu do czasu palec w odbycie. Zachwycony Li Shatin poczuł, jak krew napływa mu do podbrzusza. Zrzucił ręcznik i odsunął ręce Cynthii: nie takiego zaspokojenia pragnął. Ponieważ wydawała się nie rozumieć, ścisnął ją za kark żelazną ręką i nagiął ku sobie.

Dla czystej formy Cynthia broniła się lekko, po czym zaaplikowała mu seks oralny wysokiej klasy. Li Shatin pomyślał, że robi to tak dobrze, jak dziewczyna z Hongkongu, która chciała go zabić. Ten rodzaj zaspokojenia seksualnego lubił najbardziej. Poczuł wzbierające nasienie i wydał okrzyk, silnie naciskając na kark dziewczyny, która zrozumiała intencję i nie wycofała się. Odprężony Chińczyk zamknął oczy. Po osiągnięciu satysfakcji pragnął jak najprędzej powrócić do swej kryjówki. Każda zmiana miejsca pociągała za sobą niebezpieczeństwo.

Ubrał się, zakał „Czarnemu Duchowi” Mingowi zapłacić i zeszli na dół. Nieznajomość angielskiego odcinała go od świata. Czuł się dobrze tylko w kasynie: język graczy był uni-

wersalny. Dziewiątka karo wszędzie była dziewiątką karo. Wsiadł do limuzyny i prawie natychmiast się zdrzemnął.

* * *

Szpital Delta mieścił się w niewielkim, dosyć eleganckim budynku otoczonym parkiem, w gminie Surrey, na wschód od Richmond. Około setki pokoi, rozmieszczonych na jednym poziomie. Zza kierownicy land cruisera Malko obserwował samochody na parking, posługując się lornetką z noktowizorem. Auto, którego szukał: terenowa, czarna honda CRV na rejestracji RDG 475 stała na końcu szeregu.

Z pewnością nie był to samochód odpowiedni dla sprzętaczki, ale rejestracja się zgadzała. Betty Tun była więc jeszcze w pracy.

- Co robimy? - zapytał Jesus Domingo.

Była prawie jedenasta, a Malko nie miał pojęcia o godzinach pracy Chinki. W szpitalach pracuje się przez całą dobę.

- Poczekamy do północy - zdecydował.

Radio wyłączone, światła wygaszone, land cruiser sprawiał wrażenie, że jest pusty. Malko zadzwonił na komórkę Simona Levine'a. Poczta głosowa. Musieli sami zabijać jakoś czas. Jesus Domingo zdrzemnął się i chrapał. Nie mogąc tego znieść, Malko wysiadł zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle zobaczył, że w Hondzie zapalają się światła pozycyjne. Nie zauważył nawet, kiedy Chinka wyszła ze szpitala. Ledwie zdążył wsiąść do land cruisera, kiedy honda z dużą prędkością ruszyła ku wylotowi z parking. Nie dało się stwierdzić, kto siedzi za kierownicą. Ruszył, i to obudziło Jesusa. Puścili się w pogoń, zachowując odpowiedni dystans.

Betty Tun jechała w kierunku Richmond. Kilka razy zwalniała, jakby wiedząc, że jest śledzona, potem kluczyła po pustych uliczkach Richmond, aby w końcu wyjechać na Alexandra Road, gdzie pełno było restauracji, przeważnie już za-

mkniętych. Zatrzymała się na parkingu Landmark Plaża, małego centrum handlowego, i weszła do Grand Buffet Restaurant. Malko wysiadł i poszedł zajrzeć przez szybę. Kilku klientów jeszcze tam siedziało i Betty Tun usadowiła się przy barze. Zastanowił się, czy warto czekać, w końcu jednak zdecydował się śledzić ją do końca i wsiadł do swojego auta zaparkowanego wzdłuż chodnika, naprzeciwko wejścia. Nagle zobaczył, że Chinka wychodzi. W rękę dzierżyła kij baseballowy, prawie tak duży jak ona sama. Stanowczym krokiem zmierzała do land cruisera. Jesus Domingo podskoczył.

- Co się dzieje?

Nie było nad czym się zastanawiać. Silne uderzenie wstrząsnęło land cruiserem. Jakiś pojazd najechał na nich od tyłu. Malko zauważył w lusterku małą półciężarówkę, z której wysiadało kilku Chińczyków. Betty Tun stanęła przed maską land cruisera, podniosła kij i zamachnąwszy się, uderzyła z całej siły w przednią szybę. Pod uderzeniem tafla szkła pękła.

- A to suka! - krzyknął Jesus.

Otworzył drzwiczki ruchem ramienia i zeskoczył na ziemię. Tam spotkał się twarz w twarz z czterema bardzo młodymi Chińczykami, uzbrojonymi w siekiery! Nie miał nawet czasu sięgnąć do auta po swój pistolet Scorpio. Jednym kopnięciem młody Chińczyk zgiął go w pół. Kung-fu. Pozostali trzej rozkręcili się i w milczeniu porąbali wszystkie opony!

Po paru sekundach auto stało na samych felgach. W tym czasie Betty Tun obchodziła samochód, uderzając raz za razem, tłukąc szyby i wgniatając blachę w ataku dzikiej furii. Malko, kompletnie zaskoczony, nie wiedział jak ma reagować. Widział jasno, że napastnicy nie nastają na ich życie. Atak ustał równie nagle jak się zaczął. Podczas gdy cztery Chińczycy stali na straży wokół zdewastowanej maszyny, Betty Yan Tun wsiadła do swojej, wrzuciwszy tam uprzednio kij baseballowy, i gwałtownie ruszyła.

Bezsilny Malko widział, jak oddalała się ulicą Alexandra Road. Chińczycy postali jeszcze kilka sekund, spokojni, pewni swej bezkarności. Potem wsiedli do półciężarówki i szybko odjechali.

Simon Levine, odrodzony po nocy spędzonej z Isis, nie mógł usiedzieć na miejscu,

- Tym razem to z pewnością właściwy ślad - podsumował.
- Ta Betty Tun wygląda mi na taką, która może pomagać Li Shatinowi. Jej reakcja była znamienne: nie życzy sobie, by się nią interesowano.

Malko ostudził nieco jego zapał.

- Chwileczkę! Przecież siłą r z e c z y nie wiedziała, kim jestem. Działała na ślepo, tylko dlatego, że ją śledziłem. To kryminalistka. Według Briana Murraya ma wiele różnych powiązań. Tak czy owak, ma się na baczności i nie wiem, jaką obrać metodę, żeby doprowadziła nas do Li Shatina, jeżeli to faktycznie ona go ukrywa...

- Helikopter! - uciął Amerykanin. - Mamy go do dyspozycji od dzisiaj, z pełnym wyposażeniem CIA, pod przykrywką Adventure Productions. Pilot jest jednocześnie operatorem kamery termowizyjnej. Poczekamy, aż wyjdzie ze szpitala i będziemy ją śledzić z helikoptera. Faceci z DEA¹ nic innego nie robią. Uzyskanie zezwoleń od Kanadyjczyków biorę na siebie.

- W ten sposób dowiemy się przynajmniej, gdzie mieszka - powiedział Malko. - Może znajdziemy jednak coś prostsze. Kanadyjczycy mogą stać się nieufni.

- Cóż to mogłoby być?

- Książka telefoniczna - powiedział Malko - lub informacja adresowa.

Drug Enforcement Agency.

- Zaraz poproszę o to Sandrę - powiedział Amerykanin.

Po odłożeniu słuchawki, Simon Levine wypił łyk ciepłej kawy i stwierdził:

- Nie ma to jak krótkie rozstanie od czasu do czasu! Isis powiedziała mi, że bardzo tęskniła.

Anioł w podwiązkach przeleciał przez pokój i zniknął, zawstydzony taką dwulicowością. Isis miała przed sobą piękną karierę.

Do pokoju weszła Sandra i podała Levinowi kartkę.

- Oto adres, mój panie. Wraz z numerem telefonu.

Malko odczytał przez ramię: 327 Hartnell Road, Richmond. Tel. 605 64 98. Simon Levine rozłożył plan miasta. Hartnell Street była małym zaułkiem wychodzącym na Piątą Aleję, niedaleko drogi numer 99, biegnącej na południe przez tunel George-Masser, poci Fraser River, niedaleko od szpitala, w którym pracowała Berty Tun.

- Trzeba sprawdzić, czy to właściwy adres - zasugerował Malko. - Ponieważ wczoraj późno wróciła, może jest jeszcze u siebie. Kiedy będzie można skorzystać z helikoptera?

- Zaraz po otrzymaniu zezwolenia na start - zapewnił Simon Levine. - Znam faceta, który je wydaje. Na ogół trwa to godzinę i wtedy będziemy mogli przystąpić do akcji.

- Na razie pojedę tam samochodem - zaproponował Malko. - Będziemy w kontakcie telefonicznym.

Błyszcząca nowością land cruiser zastąpił wrak porzucony na Alexandra Road.

* * *

Niech to wszyscy diabli! Malko pojechał drogą 99, ale i tak zajęło mu to ponad dwadzieścia minut. Dzielnica, w której mieszkała Betty Yan Tun sprawiała ponure wrażenie: tereny przemysłowe i niezabudowane przestrzenie. Zatrzymał się przy wylocie Hartnell Road, jednokierunkowym zaułku,

po czym zaparkował w przeciwległej ślepej uliczce i wrócił piechotą. Wzdłuż ulic stały niewielkie domy, raczej elegancie. Był na wysokości numeru 227. Sto metrów dalej, zanim zobaczył dom, zauważył czarną hondę CRV i natychmiast zawrócił. Dopiero ze swojego samochodu zadzwonił do Simona Levine'a.

- "Bingo! - oświadczył. - Ona tu jest. A przynajmniej jej samochód.

- Super - odparł Amerykanin. - Mam już zezwolenie na przelot nad dzielnicą Richmond na wysokości tysiąca stóp! Wskakuję do helikoptera. Niech pan tam zostanie, zadzwonię.

Malko podjechał w górę Piątej Alei i znalazł miejsce, z którego mógł obserwować wylot zaułka, nie będąc widzianym. Pozostawało czekanie. Czterdzieści minut później dzwonek telefonu komórkowego wyrwał go z półdrzemki. Rozpoznał głos Simona Levine'a.

- Mam ją! - oświadczył triumfalnie Amerykanin. - Jestem nad Fraser River, nieco na południe od jej domu. Dokładnie widać terenówkę.

Malko wysiadł z samochodu i zadarł głowę: trudno mu było dostrzec helikopter, który zataczał koła nad rzeką. Odegrał swoją rolę. BettyYan Tun nie powinna w żadnym razie go zobaczyć. Podjął rozmowę:

- Moglibyście wylądować gdzieś w pobliżu? Wolałbym być z wami.

Odpowiedź przysła za pięć minut.

- Możemy zaryzykować. Całkiem blisko, na końcu Race Hill Road znajduje się pusty, położony wzdłuż drogi 99, teren przeznaczony dla samolotów modelarskich. Niech pan tam czeka. Mogę obniżyć lot i zabrać pana, **nikt** nie zauważy. Wieży kontrolnej tam nie ma. Jeżeli namierzą mnie radarem, powiem, że mam problemy techniczne. Niech pan tam już jedzie.

Malko wsiadł za kierownicę. Po dziesięciu minutach jazdy zobaczył tablicę: „Model airplanes flying site”. Był to uroczy

widok. Dziesiątki modeli o wymiarach od jednego do czterech metrów, sterowanych przez właścicieli usadowionych na obrzeżach olbrzymiego trawnika, pełniącego rolę pasa startowego. Kiedy podjechał, wielka latająca forteca B17 z czasów II wojny światowej podrywała się do lotu powoli lecz pewnie. Z daleka można ją było wziąć za prawdziwą. Ustawił samochód na parkingu i spojrzął w niebo. Helikopter z Simonem Levine wisiał nieruchomo nad drogą 99, sto metrów od niego.

- Jestem na miejscu! - rzucił Malko do słuchawki.

- Wyląduję w południowo-wschodnim rogu - powiedział Amerykanin.

Malko przeciął teren w pośpiechu, słysząc zewsząd furkot modeli. Ich właściciele nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Niektórzy wyrażali swoje niezadowolenie z powodu przybycia helikoptera. Zaledwie płozy dotknęły trawy, Malko podbiegł i wspiął się na pokład. Pilot odleciał natychmiast na wschód. Malko wychylił się i przyglądał ziemi pod nimi. Siedząc po lewej stronie, za Simonem Levinem, miał świetny widok. Potrzebował kilku minut, żeby odróżnić najpierw Hartnell Road, a potem czarną hondę CRV.

- Ile możemy wylatać? - zapytał.

- Trzy godziny.

Zaczęli zataczać duże kręgi wokół domku Betty Yan Tun. Modląc się, by wyszła.

* * *

- Wychodzi z domu! - krzyknął w słuchawki pilot, przechylając samolot w lewo.

Malko popatrzył w dół: czarna honda była już na skrzyżowaniu z Piątą Aleją skręcała w lewo, jadąc na północ. Zanim dotarła do skrzyżowania ze Stevenson Highway, jeszcze raz skręciła w lewo na parking wielkiego centrum handlowego, Cornwood Plaza. Odróżnił Chinę wysiadającą z samochodu i wchodzącą do budynku z opuszczoną głową. Nie zauważyła ich.

Teraz zataczali większe koła. Dzięki lornecie widać było samochód na odległość kilometra. Po czterdziestu minutach, tym razem Malko zasygnalizował:

- Wychodzi.

Berty Yan Tun wyłoniła się z centrum, objuczona torbami jak wielbłąd. Umieściła wszystko w hondzie i ruszyła drogą 99 na północ. Tu jeszcze łatwiej było ją śledzić. Helikoptery policyjne często nadzorowały ruch na drogach. Nawet jeśli ich zauważy, niczego nie ryzykowali.

Dojechała do końca drogi i kontynuowała Oak Street, przecinającą najszykowniejszą dzielnicę Vancouveru, wielkie wille zbudowane wzdłuż wysadzanych drzewami alei. O milę dalej skręciła na prawo. To chyba Pięćdziesiąta Siódma Aleja, powiedział Simon Levine, pochylając się nad mapą.

Chinka jechała powoli wzdłuż eleganckich, oddalonych od siebie i otoczonych ogrodami domów, potem zatrzymała się w ślepej uliczce. Wysiadła, wzięła pakunki i przeszła około stu metrów, dzielących ją od jednej z willi. Otworzyła bramę, minęła ogród i weszła do środka. Simon Levine, uzbrojony w teleobiektyw, nie przestawał pstrykać zdjęć.

Minęło dwadzieścia minut, a Betty Tun nie wychodziła. Mimo to okiennice nadal były zamknięte, a dom wyglądał na niezamieszany. Po godzinie takiej karuzeli, pilot zauważył:

- Trzeba będzie wracać. Kończy się paliwo.

Z żalem musieli zrezygnować ze swojej napowietrznej warty. Opuszczając helikopter, Malko i Simon Levine zastanawiali się wspólnie:

- Czemu nie zatrzymała się bezpośrednio przed domem? - zapytał Malko. - Miała przecież dużo paczek.

- Dobre pytanie - przyznał Amerykanin. - Musimy sprawdzić, do kogo należy. Obaj myśleli o tym samym. W tej cichej, leżącej na uboczu dzielnicy, taki odosobniony dom mógł być idealną kryjówką dla Li Shatina.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pod numerem 1238 na Pięćdziesiątej Siódmej Alei, za żelaznym czarnym ogrodzeniem znajdowała się pełna wdzięku willa, odgradzona od ulicy starannie przystrzyżonym trawnikiem. Po obu stronach drzwi ustawiono białe kule, a rysunek drzwi wejściowych, wykonanych z pełnego drewna był typowo chiński. Budynek jednopiętrowy o prawie płaskim dachu pokrytym czerwoną dachówką. Ulica przecinała Granville Road pod kątem prostym i stały tam tylko dwa prywatne domy. Zamiast trotuarów były trawniki, przechodzące bezpośrednio w asfalt jezdni. Nadzwyczaj elegancka dzielnica.

Stojąc przed willą, Malko rozglądał się wokół. Pod numerem 1238 nie zauważył oznak życia: okiennice zamknięte, opuszczony ogród, drzwi zaryglowane. A jednak zdjęcia nie pozostawiały wątpliwości: tu właśnie Berty Tun wniosła swoje zakupy.

Zbity z tropu i zawiedziony Malko już miał wsiąść do samochodu, gdy trzy domy dalej zauważył kobietę przycinającą różany żywopłot. Zagadnął ją z najbardziej czarującym ze swych uśmiechów:

- Chciałbym kupić dom w tej okolicy - wyjaśnił. - Nie wie pani o czymś takim?

Kobieta odłożyła sekator i przyjrzała mu się uważnie, żeby sprawdzić, czy mógłby być znośnym sąsiadem. Potem przecząco pokręciła głową.

- Na razie nie ma nic takiego. Tutaj ludzie się często nie przeprowadzają, przyjemnie się tu mieszka.

- Rzeczywiście - przyznał. - A ten pod 1238 wygląda na niezamieszkaną. Może jest do sprzedania?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę.

- Pod 1238... Ach ten. Nie sądzę. Należy do Chińczyków z Hongkongu. Kupili go w 1996, kiedy miasto to powróciło do Chin. Mieszkali tu przez pół roku, potem ich sprawy w Chinach przybrały niepomyślny obrót, musieli tam wrócić i zamknęli dom. Ale nie sądzę, by był na sprzedaż. Nigdy nie wywieszono tabliczki. Od czasu do czasu przychodzą jacyś Chińczycy, żeby odkurzyć i przewietrzyć.

- Jacy Chińczycy?

- Nie wiem. Po prostu Chińczycy. Pod numerem trzecim są agencje sprzedaży nieruchomości Real Estate. Może tam będą coś wiedzieli...

Wzięła do rąk sekator, a Malko oddalił się w stronę samochodu. Był zaintrygowany. Dom należał do Chińczyków, co mogło wskazywać na powiązania z Li Shatinem. Wizyta Betty Tun zaś miała świetne wytłumaczenie, mogła po prostu zajmować się domem. W końcu jej „oficjalnym” zajęciem było sprzątanie. Wpadł w impas. W tej spokojnej dzielnicy nie dało się śledzić domu dzień i noc. Dobrym wyjściem z sytuacji mogła być owa kamera termowizyjna. Nawet jeśli uda im się zidentyfikować właściciela, nie na wiele się to zda.

* * *

- jest taka możliwość - potwierdził Burt Mc Adam, operator Działu Technicznego CIA, obsługujący kamerę termowizyjną zainstalowaną na pokładzie dostarczonego przez Agen-

cję śmigłowca. - Tyle że z powodu upałów trzeba zaczekać z obserwacją do północy, aż mury wystygną. W przeciwnym razie niczego nie zobaczymy.

- Z jakiej odległości będzie pan prowadził obserwację? - zapytał Malko. - Musimy uniknąć sytuacji, w której hałas maszyny obudziłby czujność Li Shatina, jeśli oczywiście tam jest.

- Nie widzę problemu - uspokoił go Burt Mc Adam. - Możemy pracować nawet na odległość dziesięciu kilometrów. Ponieważ jednak jesteśmy w środowisku miejskim, lepiej zredukować dystans do czterech lub pięciu.

- Zaraz załatwię zezwolenie na nocny przelot - powiedział Simon Levine.

Amerykanin był uradowany. Jeśli Li Shatin faktycznie ukrywał się w tym wyglądającym na niezamieszany domu, zdobędą ogromną przewagę nad Kanadyjczykami i Guangbu.

* * *

W land cruiserze wiozącym pilota, Burt Mc Adama, Simona Levine'a i Malko na lądowisko śmigłowców panowała cisza.

W nocy Vancouver wyglądał niemal pięknie, ze swym dywanem migoczących świateł. Helikopter marki Bell uniósł się szybko i poleciał na południe. Fosforyzujące wskazówki brei-tinga wskazywały godzinę trzecią trzydziści. Na niebie nie było innych samolotów. Simon Levine usiadł z przodu, obok pilota, a Malko z tyłu, obok operatora kamery termowizyjnej i jego sprzętu. Sama kamera znajdowała się na zewnątrz, za- instalowana na wysięgniku obrotowym. Miała ogromny obiektyw o średnicy około pół metra. Wszyscy nosili słuchawki radiowe, żeby łatwiej się porozumiewać. Burt Mc Adam dał pilotowi sygnał i maszyna zawisła nieruchomo w odległości czterech kilometrów na północny wschód od Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej Alei.

Przez dziesięć minut słycać było tylko odgłos wysięgni-
ka. Burt Mc Adam regulował aparaturę kontrolną i sprawdzał
obiektyw. W końcu usłyszeli w słuchawkach:

- Jest. Mamy w kadrze dom.

- Czy kamera rzeczywiście przeniknie przez ściany? - za-
pytał Malko z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Działa jak mechanizm naprowadzający na
podczerwień w rakiecie, kierujący ją automatycznie w stronę
źródła ciepła. Tyle że w naszym urządzeniu wykrywacz jest
nieskończenie bardziej czuły.

Przez kilka minut panowała cisza: wszyscy wstrzymali od-
dech. Wreszcie Burt Mc Adam powiedział:

- Wygląda na to, że dom jest ogrzewany.

Pokazał Malko dwie białe pionowe linie, odcinające się od
ciemniejszego tła.

- To rury grzewcze.

Dobry znak: niezamieszkany dom ogrzewa się tylko
w środku zimy.

W przytłaczającej ciszy operator kontynuował pracę, prze-
suwając obiektyw ze stabilizatorem żyroskopowym wzdłuż
ścian domu. Nawet jeśli helikopter się poruszał, kamera ani
drgnęła, dzięki czemu obraz pozostawał ostry. Malko zauwa-
żył na ekranie coś, co przypominało ducha. Białawy, podłuż-
ny kształt.

- Co to jest? - zapytał.

- Człowiek, który znajduje się na pierwszym piętrze -
stwierdził Burt Mc Adam spokojnym tonem.

- Jest pan pewien?

- Jak najbardziej. Zresztą jednocześnie robimy zdjęcia.

Obiektyw nadal przeczesywał dom. Pochylony nad ekrane-
m Malko, odróżnił następne dwa „fantomy”.

- To też ludzie? - spytał.

- Odpowiedź pozytywna - odrzekł Burt Mc Adam. - Ci są
na parterze.

Trudno było w to uwierzyć. Z odległości kilku kilometrów można było wykrywać obecność istot ludzkich w zamkniętym domu! Burt Mc Adam kontynuował poszukiwania jeszcze przez kilka minut, robiąc zdjęcia pod różnymi kątami, potem rzekł do pilota:

- Jeśli o mnie chodzi, skończyłem. Poza tymi trzema osobami nic więcej nie ma.

Helikopter pochylił się w prawo i obrał kierunek północny. Malko powiedział do Simona Levine'a:

- Te trzy osoby, to może być Li Shatin, „Czarny Duch” Ming i „Głupi Ricky”...

- Jeśli to prawda - powiedział z triumfem Amerykanin - mamy ich w garści.

Kwadrans później wylądowali na pustym placu. Simon Levine, zanim wsiadł do auta, rzucił:

- Spotkanie jutro o dziewiątej w konsulacie, analiza zdjęć...

Malko nie zadał pytania, które nie dawało mu spokoju: jakie będzie ich następne posunięcie? Skoro zlokalizowali Li Shatina, to co dalej?

* * *

Li Shatin nie spał. Dręczył go niepokój. Naturalnie nie słyszał helikoptera. To, co go niepokoiło, to brak jakichkolwiek wiadomości z Chin. Po długich godzinach spędzonych przy telefonie, opracował skomplikowany system, który, jeśli będzie funkcjonował prawidłowo, pozwoli mu na odebranie w Vancouverze cennych filmów. Niestety, przekonać o tym mógł się dopiero odbierając filmy. Aż skręcał się z niepewności. W obecnej chwili oczekiwanie przebiegało w dosyć komfortowych warunkach. Dom należał do jego przyjaciółki, mieszkającej w Hongkongu. To ona skontaktowała go z Betty Tun, zatrudnioną do sprzątnięcia domu. Kiedy uciekł,

od razu pomyślał o tej idealnej wprost kryjówce. Betty Tun zgodziła się bez zastanowienia. Znawca ludzkiej natury, Li Shatin zaproponował jej wspaniałomyślnie „czynsz” w wysokości pięciuset dolarów dziennie. Szły one oczywiście do kieszeni „Betty the loan shark”, która w pełni zasługiwała na to miano. Bezpieczeństwo warte jest każdej ceny. Tym bardziej, że Chinka zabezpieczała stronę logistyczną przedsięwzięcia.

Przede wszystkim to ona wyjechała na spotkanie ochroniarzy opuszczających więzienie. Bez nich bowiem, Li Shatin czułby się jak nagi... Potem zapewniła im zaopatrzenie w potrzebne rzeczy i żywność oraz kontakty za światem zewnętrznym. Telefon w domu był odłączony, a Li Shatin nie chciał posługiwać się komórką, aby go nie namierzono.

Betty Tun, w trakcie ostatniej tu bytności, przekazała mu informację, że po wyjściu ze szpitala śledził ją jakiś samochód. Li Shatin od razu nabrał przekonania, że chodzi tu o ludzi z CIA. Kanadyjczycy nie daliby się tak załatwić. Na razie jednak nie miał ochoty wpaść im w ręce. Jego plan był prosty: móc pozostać w Kanadzie po uprzednim zawarciu porozumienia z Guangbu. Aby to osiągnąć, potrzebował swych cennych filmów.

Na wszelki wypadek zapytał Betty, czy w razie potrzeby mogłaby go hospitalizować w Delta Hospital pod fałszywym nazwiskiem.

Zdenerwowany, wstał z łóżka i zszedł do kuchni napić się herbaty, którą zawsze miał w lodówce. Natychmiast pojawił się „Czarny Duch” Ming. Miał bardzo czuły sen, co uspokoiło Li Shatina. Obaj ochroniarze wydawali się akceptować to dobrowolne zamknięcie z ochotą, ale na jak długo?

Tak czy inaczej, nie mógł się tu dać pogrzebać żywcem na wieczność.

* * *

Od pół godziny zdjęcia wykonane przez kamerę termowizyjną przechodziły z rąk do rąk, a komentował Burt Mc Adam. Trwał przy swoim: w niezamieszkanym domu znajdowały się ubiegłej nocy trzy osoby...

Byłby to więc niebywały zbieg okoliczności, gdyby tymi intruzami nie byli Li Shatin i jego obstawa. A Malko od dawna już utracił wiarę w zbiegi okoliczności.

Przerwał ciszę, panującą od kilku sekund w biurze konsultatu, i zapytał:

- Założmy, że jesteśmy pewni obecności Li Shatina, co robimy?

Zauważył, że od pewnego czasu Simon Levine nerwowo kręci się na krześle, jakby miał do zakomunikowania rewelacyjną wiadomość. Teraz skorzystał z okazji.

- Przed chwilą miałem na zastrzeżonej linii „Buzzy” Krongarda. Podszedł do sprawy formalnie. Musimy się upewnić co do tożsamości Li Shatina. Taka okazja już się nie nadarzy. Ani Kanadyjczycy, ani Guangbu nie znają miejsca jego pobytu, a on sam ma do dyspozycji tylko dwóch goryli.

- Jak zamierza pan postąpić? - spytał Malko uprzejmie, widząc, jak problemy mnożą się z prędkością światła.

Aby dodać sobie animuszu, Simon Levine obracał w palcach swoją zapalniczkę Zippo jak żongler. Posłał Malko kurtuazyjny i pełen hipokryzji uśmiech.

- To nie powinno nam przysporzyć trudności - zaczął. - Klasyczna operacja dla komandosów.

- Jak wtargnąć do tego domu? - wypytywał dalej Malko.

- Najpierw przeciąć zewnętrzne ogrodzenie - oświadczył Amerykanin ze spokojem - a następnie za pomocą materiału wybuchowego sforsować drzwi wejściowe.

- A potem?

Malko poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Było oczywiste, że Simon Levine nie ma żadnego praktycznego doświadczenia w tego rodzaju operacjach.

- Potem schwycimy Li Shatina.
- A obstawa?
- Unieszkodliwimy ich. Mamy gaz łzawiący, no i oczywiście będziemy uzbrojeni.
- „My”, to znaczy kto? - ciągnął Malko.
- Jesus i Manuel Garcia. Jesus mi mówił, że onegdaj w Hondurasie brał udział w podobnych akcjach.
- Nie jesteśmy tu w Hondurasie, lecz w Kanadzie - zwrócił mu uwagę Malko. - Założmy jednak, że Li Shatin znajdzie się w naszych rękach. Co z nim poczniemy?

Simon Levine nie stropił się.

- Przewiezicie go na lądowisko, a ja będę tam już czekał. W ciągu dziesięciu minut Li Shatin znajdzie się w amerykańskiej strefie powietrznej. To scenariusz, który, jak pan sobie zapewne przypomina, uzgodniliśmy, planując porwanie przy wyjściu z więzienia. Jest też plan „zapasowy”. Do granicy przewiezie się go samochodem. Kanadyjczycy nie kontrolują osób, które opuszczają ich kraj, a po drugiej stronie będą na nas już czekać. W nocy nie ma ruchu, dojedziecie w ciągu pół godziny. Wolałbym jednak helikopter.

Zamilkł. Malko nie wierzył własnym uszom.

- Czy to D.D.O. spłodził ten plan?
- Nie - skorygował Simon Levine - ja to zrobiłem i przedstawiłem do zatwierdzenia panu „Buzzy” Krongardowi, a on zaakceptował go z entuzjazmem. Zresztą sprzęt jest w drodze. Nalegał, żeby wszyscy uczestnicy operacji mieli na sobie kamizelki kuloodporne, dla zmniejszenia ryzyka...
- To miło z jego strony - zadrwił Malko. - A propos, jakie role w tym fantastycznym planie przypadły w udziale panu i mnie?

Simon Levine nerwowo bawił się zapalniczką, strzelającą jej wiekiem.

- Ja mam czekać w śmigłowcu gotowym do odlotu. Pan będzie kierował land cruiserem, nie wchodząc do domu. Tylko Jesus i Manuel zostaną obarczeni „aktywną” stroną operacji.

A jeśli „Czarny Duch” Ming i „Głupi Ricky” stawią opór?

- Jesus zapewnił mnie, że nie będą mieli na to czasu. Granaty z gazem łzawiącym unieszkodliwią ich na czas potrzebny do schwytania Li Shatina.

- A jeśli on z kolei będzie się bronił?

- W wyposażeniu jest też silnie skoncentrowany gaz paraliżujący.

- Co będzie, jeśli Li Shatin przez przypadek zginie?

Simon Levine nie odzywał się przez chwilę, po czym jedynym zdaniem rozwiał wszelkie wątpliwości:

- Jesus i Manuel mają zabronione podjęcie jakiegokolwiek ryzyka w tym względzie.

Miał na wszystko odpowiedź. Malko popatrzył mu prosto w oczy. Często ryzykował życiem dla CIA i było to zgodne z regułami gry. Tutaj chodziło jednak o coś innego.

- Jaką karą, według pana, jest zagrożone w Kanadzie porwanie z użyciem przemocy? Dwudziestu czy trzydziestu lat?

- Tu chodzi o sprawę polityczną - bronił się Amerykanin.

- Kiedy Kanadyjczycy zorientują się, co się dzieje, my będziemy już bezpieczni. W każdym razie pan niczego nie ryzykuje, będzie pan na zewnątrz za kierownicą auta. Jesus i Manuel są zawodowcami. Ponadto przypominam, że ta koncepcja została zatwierdzona przez pana Krongarda.

Malko naszła ochota, żeby sporządzić i przedstawić mu listę genialnych, „zatwierdzonych” przez sztab planów, których realizacja zakończyła się katastrofą.

- Dobra - powiedział. - Ale uprzedzam, że jeśli pojawi się najmniejszy problem, ja zwiewam, z Li Shatinem czy bez.

Nie miał ochoty wylądować w kanadyjskim więzieniu, z dala od swego zamku i Aleksandry.

Ulga, jaką odczuł Simon Levine była wyraźnie wyczuwalna.

- Brawo! Wiedziałem, że pan się zgodzi.

- Na kiedy przewiduje pan termin operacji?

- Na dzisiejszą noc. Sprzęt powinien tu dotrzeć z Seattle około piątej. Nie wiemy, jak długo Li Shatin ma zamiar kryć się w tym domu, nie ma czasu do stracenia.

Amerykanin posłał mu ciepły uśmiech.

- Chodźmy, oblejemy to szampanem razem z Isis.

* * *

- Brian czeka na was u swego doktora o drugiej - oświadczyła Isis, niepocieszona, że nie weźmie udziału w tym spotkaniu.

Simon Levine zbladł.

- Żeby tylko nie było problemów...

Niewiele zjadł i ledwie umoczył usta w szampanie. Malko, wychodząc z założenia, że nigdy nie należy rezygnować z dobrych rzeczy, zamówił butelkę Taittingera Blanc de Blancs 1995, którą osuszili wspólnie z Isis.

Papieros dla skazanego na śmierć.

Zaledwie wypili ostatni łyk, on i Simon Levine udali się w kierunku 750, West Broadway. Amerykanin, spięty, milczał przez całą drogę. Kiedy przybyli do gabinetu, Brian Murray już tam był w swojej wielkiej panamie, anielsko uśmiechnięty.

- Chciałem się z panami zobaczyć - powiedział od progu, ponieważ mam potwierdzenie, że Li Shatin nadal znajduje się w Vancouverze. Dwa dni temu odwiedził burdel na Richards Street wraz ze swoimi gorylami. Niestety, Kanadyjczycy zbyt późno się o tym dowiedzieli i nie zdążyli ustalić, gdzie przebywa. Vancouver jest rozległym miastem.

Malko wymienił spojrzenia z Simonem Levinem. Ten ostatni miał widoczne trudności z zatrzymaniem dla siebie wiadomości o kryjówce Li Shatina.

- Bardzo ciekawe - powiedział obojętnym tonem. - Lecz niewystarczające. Mimo to, dziękujemy. Nigdy nie zapomniemy tego, co pan dla nas zrobił.

- Wykonuję tylko swoje obowiązki - zapewnił Kanadyjczyk. - Nie znoszę niesprawiedliwości, zwłaszcza odkąd sam jej doznałem.

Simon Levine popatrzył ostentacyjnie na zegarek.

- Musimy już iść, mamy mnóstwo pracy aż do wieczora...

Był w stanie takiej euforii, że o mało nie pocałował Briana w usta. Kiedy wsiadli do land cruisera, Malko pomodlił się w duchu, żeby „sprzęt” doszedł na czas.

Nie lubił, kiedy sprawy przybierały taki obrót.

* * *

Na Pięćdziesiątej Siódmej zachodniej Alei, poza krzykami nocnych ptaków, panowała cisza. Było ciemno. Malko prowadził land cruisera, jadąc za „oddziałem komandosów”, złożonym z Jesusa i Manuela. Siedzieli w toyocie zaparkowanej już pod numerem 1238. Malko zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej z wygaszonymi światłami. Simon Levine trzymał wartę na lądowisku, mając do dyspozycji helikopter i zezwolenie na nocny przelot, pod pretekstem kręcenia filmu. Według dokumentu śmigłowiec miał lecieć na południowy cypel Vancouver Island; w rzeczywistości lot miał przebiegać prosto w kierunku amerykańskiej przestrzeni powietrznej. Pasażerami mieli być: Malko, Isis i Li Shatin. Simon Levine nie chciał zostawiać narzeczonej samej.

„Sprzęt” przybył około piątej, wraz z silnym środkiem usypiającym dla Li Shatina, na wypadek, gdyby nie chciał współpracować. Zastryk można mu było zrobić nawet przez ubranie. Jesus i Manuel nie powinni na razie opuszczać Kanady.

Malko otworzył okno i przysłuchiwał się nocnej ciszy. Nagle usłyszał szcęk metalu, który wydał mu się ogłuszający. Jesus uporał się z zamkiem od bramy. Hałas mógł postawić na nogi całą dzielnicę. Spojrzał na świecące wskazówki swego Breitlinga. Operacja rozpoczęła się punkt druga. Trzy minuty

później głuchy odgłos wybuchu zakłócił znowu ciszę. Jesus wysadził drzwi wejściowe. Następnym posunięciem miało być użycie granatów z gazem łzawiącym.

Nie było oślepiających błysków, zamiast tego rozległa się krótka seria z automatu, która z miejsca podniosła Malko poziom adrenaliny w żyłach. Tego nie było w scenariuszu. Na wszelki wypadek położył na kolanach browninga. Następne dwie krótkie serie, potem strzał z pistoletu. Strzelano co najmniej z trzech rodzajów broni. Serce zaczęło mu walić: ta kannonada obudzi całą dzielnicę!

Niepomny swych rozsądnych postanowień, wyskoczył z samochodu i pobiegł w stronę willi. Brama była szeroko otwarta. Rozległy się następne strzały. Z browningiem w dłoni biegł przez ogród, kiedy zauważył zgiętą w pół sylwetkę. To Manuel Garcia, ściskając swój brzuch, zataczał się jak pijany. Malko chwycił go za ramię.

- Co tam się dzieje?

- Materiał wybuchowy nie wysadził drzwi, były opancerzone - wymamrotał ranny. - Trzeba było odstrzelić zamek. To wszystkich obudziło. Zaczęli strzelać. Kurwa, ja chyba umrę...

- A Li Shatin?

- Jest na górze, zamknięty w swoim pokoju, a my nie mamy ich już czym wysadzić. Niech pan mnie zaprowadzi do samochodu, proszę.

Malko pomógł mu dojść do toyoty, zaparkowanej kilka metrów dalej i posadził na tylnym siedzeniu. Trzymając się kurczowo za brzuch, Manuel Garcia jęczał z bólu.

Malko ponownie skierował się do willi, przekraczając bramę z pistoletem w dłoni. To jakieś szaleństwo. Trzeba było interweniować za wszelką cenę. Wbiegł do budynku, w korytarzu leżało rozciągnięte ciało Chińczyka zwanego „Głupim Ricky'm" z kilkoma kulami w głowie.

Rozległ się pojedynczy strzał. To musiał być „Czarny Duch" Ming. Malko wszedł na schody, gdzie niemal zderzył

się z kłębowiskiem ciał, toczącym się po stopniach. Li Shatin w dresie, z wybałuszonymi oczami, ze sterzącą z ramienia strzykawką i Jesus Domingo z nieodłącznym scorpio w dłoni. Poznał Malko w ostatniej chwili i zaklął:

- Kurwa! Ten dupek się zamknął! Dzwonił, kiedy sforso-
wałem zamek. Oby tylko nie wezwał glin.

- Zwiewajmy - odparował zwięźle Malko.

W momencie gdy dochodzili do wyjścia, kula roztrzaskała im szybę przed nosem. Zaczajony w kuchni, „Czarny Duch” Ming trzymał drzwi pod ostrzałem, nie pozwalając im wyjść. To już był szczyt wszystkiego.

Nagle Li Shatin zrobił się strasznie ciężki. Malko zdał sobie sprawę, że stracił przytomność. Środek usypiający. Tego tylko brakowało. Usadowili się na dolnych stopniach schodów, tam „Czarny Duch” Ming nie mógł ich osiągnąć. Malko nie wyczuwał pulsu Li Shatina. Jeśli nie uda się stąd wyjść, policja zgarnie ich bez trudu.

- Gdzie ten palant Manuel? - zaklął Jesus.

- Ranny - odparł Malko. - Nie jest w stanie nam pomóc. Spróbuję wynieść Li Shatina. Połóż mi go na ramionach i osłaniaj mnie.

Jesusowi z trudem udało się załadować Chińczyka na barki Malko. Ważył chyba tonę. Malko wyteżył wszystkie mięśnie.

- Naprzód!

Jesus wysunął się do przodu na tyle, ile mógł, i zaczął strzelać. Pod koniec pierwszej serii Malko rzucił się do przodu, przemierzając hall jak rozpędzona pod ciężarem Li Shatina kula armatnia. Za nim Jesus opróżniał magazynek. Dołączył do niego w ogrodzie, osłaniając ich krótkimi seriami. Malko w każdej chwili spodziewał się ryku syren samochodów policyjnych. W końcu wybiegli na ulicę.

Dokładnie w momencie, gdy przed numerem 1238 zahamował z piskiem opon jakiś pojazd. Była to czarna honda Betty Tun!

Chinka wyskoczyła z niego dzierżąc w dłoni karabin Armalite. Z ciałem Li Shatina na ramionach, Malko nie miał możliwości zareagować. Jak w koszmarze sennym widział, jak Betty Tun opiera broń na ramieniu i celuje mu w pierś. Dźwięk detonacji zlał się z uczuciem gwałtownego bólu, który rozrywał mu pierś na wysokości serca, gdzie trafiła kula.

W jednej chwili stracił przytomność i otoczyła go ciemność.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jesus Domingo wypadł z bramy domu 1238, by ujrzeć walcącą się na jezdnię masę ciał Malko i Li Shatina. Bez zastanowienia zaczął strzelać do Berty Tun, zanim zdążyła wycelować w niego swoją broń. Kilka kul utkwilo w jej brzuchu i klatce piersiowej. Chinka upadła wypuszczając karabin, który z metalicznym szczękiem uderzył o asfalt. Zanim jej ciało dosięgło ziemi, nie żyła.

Zapadła cisza. W uszach jeszcze huczały mu odgłosy strzałów. Zapominając o „Czarnym Duchu” Mingu czającym się gdzieś w willi, pochylił się nad Malko i potrząsnął nim.

- *Madre de Dios!* Hej, Malko?

Żadnej reakcji. Zdjął mu marynarkę i wydał okrzyk radości, widząc pod nią kamizelkę kuloodporną z kevlaru. Przejechał po niej ręką i wyczuł pod palcami szorstkie miejsce. Łuska kuli karabinowej tkwiła w warstwie kevlaru! Jesus rozpiął kamizelkę, rozerwał zrudziałą koszulę i zobaczył na piersi Malko wielką ranę od oparzenia. Energia kinetyczna pocisku przekształciła się w energię cieplną. Latynos potrząsał nim jak jabłonką.

- Malko! Malko! *Todo esta hien!*

Pod wpływem emocji zapomniał angielskiego. Malko otworzył oczy i jęknął, dotykając rany na piersi. Oszołomio-

ny, lecz przytomny. Omdlenie trwało tylko kilka sekund. Jesus rozejrzał się. Policji jeszcze nie było, to chyba cud. Jak da sobie radę z dwoma inwalidami naraz?

* * *

Malko wydawało się, jakby ktoś ścisnął mu pierś w imadle. Kilka sekund trwało, zanim zdał sobie sprawę, że żyje. Siła uderzenia kuli była straszna, mimo kamizelki. Powaliła go na ziemię, jak silny cios pięści. Lecz bez niej, pocisk rozewałby mu serce. Rana okropnie go piekła. Słyszał niewyraźnie przekleństwa pochylającego się nad nim Jesusa, ale nie był w stanie się ruszyć.

W końcu nadludzkiem wysiłkiem udało mu się podnieść i rozejrzeć się wokół. Zobaczył trupa Betty Lun, leżącego kilka metrów dalej i nieruchome ciało Li Shatina obok siebie. Dostał konwulsyjnych dreszczy, reakcja organizmu na przerażający impet uderzenia.

Powróciła świadomość niebezpieczeństwa, mobilizując resztkę sił, jaka mu jeszcze została. Widząc, że Malko przytomnie, Latynos wziął go pod pachy i pomógł wstać. Z trudem trzymał się na nogach.

- *Vamos! Vamos!* - powtarzał Jesus w panice. - *Se puecle caminar?*¹

- W porządku - wykrztusił Malko.

Kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu do piersi gorące żelazko. Zobaczył land cruisera kilka metrów dalej i ta odległość wydała mu się tak wielka, jak lata świetlne.

- *Vamos al coche!*² rzucił Jesus.

¹ Chodźmy! Chodźmy! Może pan iść?

² Chodźmy do samochodu!

Nie zsuwając automatu z ramienia, pochylił się i udało mu się zarzucić ciało Li Shatina na ramiona. Mimo takiego obciążenia, pierwszy dotarł do land cruisera i rzucił Chińczyka na tylne siedzenie. Strzykawka ciągle sterczała mu z ramienia. Malko dotarł, zataczając się. Padł na siedzenie obok kierowcy. Jesus siedział już za kierownicą. Ruszył gwałtownie, nie oglądając się za siebie i przez kwadrans po wariacku prowadził auto po uśpionych uliczkach eleganckiej dzielnicy. Kiedy napotkał zamkniętą stację benzynową, zatrzymał się.

Wyłączył silnik, pogasił światła i przez chwilę trwał nieruchomo, z dłońmi płasko ułożonymi na kierownicy, aż przestały drżeć. Później wyjął z paczki papierosa i zapalił go zapalniczką Zippo, z którą nie rozstawał się od momentu opuszczenia Hondurasu. Nosła inicjały 316. batalionu. Gdyby ją przy nim znaleźiono w jego ojczyźnie, roznieśliby go na strzępy.

Odwrócił się: Li Shatin leżał z tyłu, nadal nieprzytomny. Zdał sobie sprawę, że w samochodzie dzwoni telefon; była to komórka Malko, lecz on wydawał się jej nie słyszeć. Jesus machinalnie nakreślił znak krzyża, zastanawiając się, jak udało im się ująć cało. Nagle przypomniał sobie o Manuelu Garcii!

W pierwszym odruchu chciał zawrócić na Pięćdziesiątą Siódmą Aleję, potem zreflektował się. To byłoby szaleństwo. Policja z pewnością już tam była i zajęła się nim. Zamknął oczy, serce waliło mu jak młot, próbował się uspokoić. Przestał nawet słyszeć komórkę Malko, która dzwoniła bez przerwy.

. * * *

Malko otworzył oczy i zastanawiał się, gdzie jest. Kiedy dowlókł się do land cruisera, ponownie stracił przytomność. Stopniowo przypominał sobie, co się stało. Nigdy nie był tak bliski śmierci. Odwrócił się i ujrzał ściągniętą twarz Jesusa, który krzyczał. Sens słów docierał do niego z opóźnieniem.

- Dzwoni pański telefon!

Pogrzebał w kieszeniach i wydobyl komórkę. Histeryczny głos Simona Levine'a świdrował mu w uszach.

- Do jasnej cholery! Gdzie jesteście? Dzwonię do was od kwadransa!

Malko spojrzal automatycznie na nienaturalnie duze, świecące wskazówki swego breitlinga crosswind. Druga czterdzieści pięć. Od rozpoczęcia ataku minęły trzy kwadranse, a miał trwać pięć minut. Simon Levine ciągle wrzeszczał do słuchawki. Malko udało się wreszcie przemówić.

- Wszystko źle poszło. Manuel Garcia jest poważnie ranny, ja dostałem kulę w pierś. Gdyby nie kevlar, już bym nie żył. Do wszystkiego wmieszała się Chinka z karabinem.

- A Li Shatin?

Malko odwrócił się i ujrzał bezwładne ciało Chińczyka na tylnym siedzeniu.

- Mamy go tutaj. Śpi.

Simon Levine wydał z siebie jakiś ochryply dźwięk, który można było uznać za okrzyk radości i zapytał:

- Gdzie jesteście?

Malko zwrócił się do Jesusa:

- Gdzie jesteście?

- Nie mam pojęcia - odparł Latynos. - Gdzieś w Vancouverze. Na nieczynnej stacji benzynowej.

- OK! OK! - rzucił Amerykanin. - Spróbujcie dotrzeć do Granville Road i jedźcie na południe. Na lądowisku jest policja, zabroniono wszelkich startów. Przechodzimy do realizacji planu zapasowego. Zrozumieliście? Realizujemy drugą opcję. Czy to rozumiale? Opcja zapasowa!

* * *

Od dwudziestu minut land cruiser jechał na południe drogą 99. Była to pusta autostrada biegnąca przez lasy i pola. Malko

wracał do siebie, a Li Shatin, chociaż wyraźnie otepiały, siedział i patrzył na drogę, nie bardzo rozumiejąc, co tu robi. Znowu rozległ się dźwięk telefonu.

- Gdzie teraz jesteście? - zapytał Simon Levine.

- Przejechaliśmy skrzyżowanie z Sunside Road - odparł Malko.

Droga 99 biegła prosto na południe, w stronę granicy ze Stanami Zjednoczonymi w White Rock.

- Doskonale - stwierdził Amerykanin. - Jadę za wami, jak zobaczycie jakąś stację, zatrzymajcie się tam i dajcie mi znać.

Jesus przejechał jeszcze trzy kilometry, kiedy pojawił się oświetlony budynek Sunroco. Stacja była nieczynna. Zatrzymali się i Malko powiadomił Levina. Amerykanin dołączył do nich w pięć minut później, prowadząc wynajętego forda. Wysiadł i podszedł do Malko.

- Bravo! *Weil donel* Przesiądźcie się z Li Shatinem do mojego wozu, a Jesus niech zawróci tym do Vancouveru. Tak będzie bezpieczniej.

Ujrawszy Li Shatina na tylnym siedzeniu land cruisera, Simon Levine powiedział do niego kilka słów po chińsku. Ten popatrzył na niego w milczeniu. Albo jego kantoński był niezrozumiały, albo Li Shatin nie przyszedł jeszcze do siebie.

Przewożenie go w fordzie nie nastęczyło im żadnych trudności. Malko nie był zaskoczony, widząc na przednim siedzeniu Isis. Usadowił się z tyłu obok wciąż oszołomionego Li Shatina, zostawiając w land cruiserze cenną pamiątkę w postaci kamizelki kuloodpornej, lecz zabierając browninga. Policja nigdy nie ustali, skąd pochodzi. Po jakimś czasie oba pojazdy rozdzieliły się. Jesus przekroczył pasmo ziemi oddzielające dwie jezdnie autostrady i zawrócił do Vancouveru, podczas gdy Simon Levine kontynuował jazdę w stronę granicy, odległej o dwadzieścia kilometrów.

Amerykanin ponowił próbę nawiązania dialogu z Li Shatinem, wyjaśniając mu swoim „kuchennym” chińskim, że

reprezentuje amerykański rząd i pragnie mu zaofiarować azyl polityczny. W odpowiedzi otrzymał tylko zamglone spojrzenie.

Co było może najlepszym wyjściem.

Malko zerkał co chwila w tył, obserwując pustą autostradę. O tej godzinie policja kanadyjska z pewnością była już na miejscu zdarzenia, znalazła zwłoki „Głupiego Ricky'ego” i Betty Tun oraz rannego lub martwego Manuela Garcję. Interwencja Kanadyjczyków na lądowisku stanowiła dowód, że wiedzieli o podjętej akcji. Może tylko nie wiedzieli wszystkiego, skoro nie interweniowali wcześniej w willi na Pięćdziesiątej Siódmej Alei. Teraz na pewno już tam byli, zaalarmowani przez sąsiadów.

Jeżeli Manuel Garcia przeżył, szybko dowiedzą się wszystkiego.

W każdym razie zwłoki „Głupiego Ricky'ego” będą świadczyły o powiązaniach z Li Shatinem. Nawet jeśli „Czarnemu Duchowi” Mingowi udało się wymknąć.

Widząc, że Li Shatin wyparował, na pewno pomyślał o granicy ze Stanami. To, że land cruiser nie został do tej pory zatrzymany przez policję, zakrawało na cud.

Zapewne rozumując podobnie, Simon Levine zaczął szukać na częstotliwościach policyjnych. Nie znalazł nic niepokojącego. Odwrócił się do Malko.

- Chyba nam się uda!

Isis także się odwróciła z niespotykanym u niej wyrazem twarzy. Chciałoby się powiedzieć, mała dziewczynka, przyłapaną na kradzieży konfitur.

- Bardzo się pan bał? - zapytała. - Simon mi powiedział, że jest pan ranny.

- Bardzo! - powiedział Malko niewesoło. - Wydawało mi się nawet, że już nie żyję.

Skóra piekła go niemiłosiernie tam, gdzie został oparzony kamizelką z kevlaru. Miał w tym miejscu wielką wybroczynę

i czuł się nadal nieswojo, widząc w wyobraźni spokój, z jakim Berty Tun mierzyła do niego. Była nie tylko lichwiarką, lecz

i zabójczynią. A teraz sama była martwa. Liczba ofiar rosła. Simon Levine przyśpieszył.

- Na granicy będziemy za dziesięć minut - powiedział. - Przyślą nam śmigłowiec. Prześpiemy się w Seattle.

Było już po trzeciej nad ranem...

- Z jakiej przyczyny zablokowano lądowisko?

Amerikanin spochmurniał.

- Nie wiem. Najpierw wezwali wieżę kontrolną i zabronili w s z e l k i c h startów. Później przyjechały dwa wozy policyjne. Minąłem się z nimi.

- A więc musieli wiedzieć - stwierdził Malko.

- Nie przestaję o tym myśleć! - powiedział Amerikanin napiętym głosem. - Nie załatwiałem tego przez telefon i nie mówiłem nikomu.

- Nikomu? - nalegał Malko.

W głowie zaczęła mu świtać pewna myśl, na razie jeszcze niejasna. Simon Levine nie miał czasu na wyjaśnienia. Obok rozległ się przerywany łkaniem głos:

- To ja, ja powiedziałam Brianowi!

Malko zdumiał się. Twarz Isis tonęła we łzach, broda jej się trzęsła, miała wygląd dziecka, przyłapanego na gorącym uczynku. Simon Levine odwrócił się do Malko, prawie tak samo nieszczęśliwy, jak ona.

- Powiedziałem Isis o wszystkim! - wyznał. - Byłem taki dumny z pięknego zakończenia tej sprawy...

Malko nic nie powiedział. Po co? Zwierzenia do poduszki spowodowały więcej katastrof niż bomba atomowa. A w tym przypadku w grę wchodziły dwie poduszki. Z zapłakanej twarzy Isis jego wzrok prześliznął się na wsteczne lustro i serce podskoczyło mu w piersi. Ktoś jechał za nimi. Kogut na dachu wskazywał, że był to wóz patrolowy kanadyjskiej policji drogowej. Wszelkie tłumaczenia okazały się zbędne.

- Za nami jedzie policja - oświadczył ze spokojem.

Simon Levine dosłownie podskoczył do sufitu, zanim to sprawdził. Zwolnił i Malko zauważył jego przerażone spojrzenie odbite w lusterku, słysząc jednocześnie półgłosem wypowiedziane przekleństwa.

- *God damn UI* - mówił. - A to co znowu?

Przez kilka minut obserwował samochód policji, jadący z nimi w odległości około stu metrów, nie próbując ich zatrzymać. To go uspokoiło.

- To nic takiego, jakiś patrol wraca po służbie. W przeciwnym razie, już by nam zajechali drogę.

Malko zerknął na Li Shatina. Chińczyk wydawał się drzeć. CIA dostarczyło środka wysokiej jakości. Odwrócił się, by stwierdzić, że policyjne auto nadal tam było.

- Daleko jeszcze do granicy?

- Zaledwie dziesięć minut - odparł Amerykanin.

Znowu zapadła cisza. Droga biegła prosto jak strzeł, przecinając ponury krajobraz. Malko nie mógł się odprężyć. Tak czy inaczej dokonali porwania chińskiego obywatela, aby go wywieźć za granicę. Nawet tu, w Kanadzie, było to uznawane za przestępstwo. Dojechali do szczytu wzgórza. Po drugiej stronie widać było dolinę, a autostrada rozdzielała się, otaczając z dwóch stron wielką połą ziemi, na której rosły drzewa. Nad nią wznosił się biały łuk, Peace Arch, a powyżej powiewała amerykańska flaga olbrzymich rozmiarów. Na dnie doliny znajdował się posterunek graniczny.

Simon Levine skręcił w prawą odnogę, przeznaczoną dla osób mających zezwolenie na przekroczenie granicy.

- Jesteśmy - rzucił. - Po kanadyjskiej stronie nie ma kontroli. Dalej, to już stanowisko n a s z y c h służb imigracyjnych.

- Policyjny samochód trzyma się za nami i nawet nieco się zbliżył... - zauważył Malko. - Ciekawe, czy oni też jadą do Stanów?

Simon Levine nie odpowiedział, skupiony na manewrze hamowania. Trzy pasma autostrady były zablokowane przez stojące w poprzek wozy kanadyjskiej policji, z włączonymi migającymi światłami i rozciągniętą kolczatką. W tej samej chwili jadący za nimi wóz włączył koguta i syrenę alarmową! Malko poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zastawiono na nich klasyczną pułapkę. Simon Levine wahał się, jak postąpić. Malko pochylił się za jego plecami.

- Żadnych głupstw, Simon! Proszę się zatrzymać!

Poblady Amerykanin mamrotał coś pod nosem, ale posłuchał. Sto metrów dalej widać było amerykańskie *immigration officers*. Ziemia obiecana... lecz nieosiągalna. Zaledwie się zatrzymali, gdy kilku kanadyjskich policjantów otoczyło wóz. Simon Levine opuścił szybę i jeden z *mounties* pozdroził go z szacunkiem.

- Kontrola imigracyjna, *sir*. Ma pan dokumenty?

Amerykanin podał paszporty: swój i Isis. Policjant ledwie rzucił na nie okiem. Malko podał z kolei swój, austriacki, ale i on nie wzbudził większego zainteresowania. Policjant wskazał Li Shatina.

- A ten dzentelmen?

- Nie mówi po angielsku - odrzekł Simon Levine. - Przyjaciele prosili nas, żeby go zabrać.

- Nie ma dokumentów?

-- Z pewnością ma.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się policjant azjatyckiego pochodzenia i zadał Li Shatinowi pytanie, a ten odpowiedział coś niezrozumiale. Malko nie wiedział, gdzie się podziać. Dialog był krótki i policjant zawyrokował:

- Ten mężczyzna nie ma prawa opuścić Kanady. Jego paszport został zatrzymany w Biurze Imigracyjnym. Jestem zmuszony go aresztować.

Nie każąc sobie tego dwa razy powtarzać, Li Shatin wysiadł. Natychmiast założono mu kajdanki. Policjant zasalutował i powiedział do Levina:

- Wszystko w porządku, może pan jechać dalej. Nadużyto zapewne pańskiego zaufania. *Have a good day.*

Pieniąc się po cichu ze złości, Simon Levine podjechał i zatrzymał się sto metrów dalej, po amerykańskiej stronie. Obok budynku *immigrations officers* stała nieduża grupka cywili. Amerykanin wyskoczył z wozu, klnąc jak szewc! Jeden z cywili podszedł do niego i zapytał:

- Co się stało? Nie pozwolili mu wyjechać?

- Sami widzieliście! - wrzeszczał Simon Levine, nie panując nad sobą. - Wydupczyli nas.

Malko przyglądał się, jak kanadyjskie wozy policyjne uwożą Li Shatina.

- Czekali tu na nas. Ktoś ich uprzedził. Nie trzeba było uciekać natychmiast.

- A gdzie mieliśmy się podziąć? - warknął Simon Levine.

- W Sutton Place? Z naćpanym Chińczykiem bez dokumentów?

Isis połykała łzy w milczeniu.

Simon Levine zapalił papierosa i zaczął się przechadzać. Malko wrócił myślami do ich akcji na Pięćdziesiątej Siódmej Alei. Teraz rozumiał, czemu policja nie interweniowała. Wszystko było od początku pod kontrolą i policjanci byli pouczeni, gdzie i jak dostać Li Shatina. Na granicy nie przeszukali nawet samochodu, chcąc uniknąć jakiegokolwiek incydentu. Podszedł do Simona Levme'a.

- Niech pan się uspokoi - powiedział. - Wszystko mogło się skończyć o wiele gorzej.

Amerykanin rzucił mu ponure spojrzenie.

- Ach tak?

- Właśnie tak - odparł po prostu Malko. - Bez kamizelki kuloodpornej miałby pan o jednego nieboszczyka więcej. Po-

licja mogła się pojawić w trakcie porwania. Nieuprzedzona. Niech pan to sobie wyobrazi...

Amerikanin nieco się uspokoił.

- Więc Brian Murray nas wystawił?

- Nie widzę innej możliwości - odparł Malko. - Zwłaszcza że Isis powiedziała mu o wszystkim.

Simon Levine był zdruzgotany.

- Ale dlaczego? Przecież zawsze nam pomagał.

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że poza nami on jeden znał prawdę. Wszystko wskazuje na to, że policja kanadyjska już wczoraj wieczorem była uprzedzona o tym, co się szykuje. A w chwili, gdy zablokowali start helikoptera, spodziewali się, że będzie pan próbował przedostać go przez granicę...

Amerikanin nie odpowiadał, zakłopotany. Podeszła Isis i odezwała się nieśmiało:

- Simon, przebacz mi.

To jakby rozkręciło spiralę i Simon Levine parsknął.

- Nie, dosyć już tego! To moja wina. Nie powinienem n i g d y ci o tym mówić - rzekł. Wracamy do Vancouveru.

Malko nie odniósł się do tego z entuzjazmem.

- W willi znaleziono co najmniej dwa trupy - zauważył. - Może nawet trzy, jeśli „Czarny Duch” Ming tam został. Nie licząc Manuela... Nie boi się pan dostać w paszczę wilka?

Simon Levine potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Gdyby chcieli nas nękać, mogli to zrobić przed chwilą. To nie jest z w y k ł e przestępstwo kryminalne - podkreślił. - Takie mieli rozkazy. Chcieli tylko Li Shatina, nic więcej. Prawdopodobnie zobowiązali się wobec Chińczyków, że nie opuści Kanady.

Nie pozostało im nic więcej, jak na powrót przekroczyć granicę. Malko pomyślał, że w końcu on nikogo nie zabił.

Dziennik „Vancouver Sun” zamieścił w czołówce sprawozdanie z wypadków na Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej Alei, okraszone zdjęciami ciała Betty Tun, rozciągniętego na środku jezdni, i dokładną analizą kryminalnej przeszłości trzech ofiar. Manuel Garcia, którego znaleziono martwego, to nielegalny imigrant, niegdyś żołnierz szwadronu śmierci 316. w Hondurasie, poszukiwany za zbrodnie wojenne. Betty Tun i „Głupi Ricky”, zatwardziali kryminaliści, zamieszani w rozboje i przemyt. Policja przychyliła się do koncepcji gangsterskich porachunków. Ani słowa o Li Shatinie czy „Czarnym Duchu” Mingu. Wynikało stąd, że temu ostatniemu udało się uciec przed przybyciem policji. Dom pod numerem 1238 został poddany rewizji, bez rezultatu. Według policji miejsce to służyło za kryjówkę zbiegłym przestępcom.

Co nie było dalekie od prawdy...

Malko złożył gazetę. Był podbudowany. Simon Levine, z workami pod oczyma, był na granicy wytrzymałości.

- Ma pan jakieś wiadomości o Li Shatinie? - zapytał Malko.

- Żadnych! Od rana próbuję się skontaktować z Brianem Murrayem, na próżno. Automat odpowiada, że ten numer do nikogo nie należy.

Malko nie okazał rozgoryczenia. To była klasyczna metoda wywiadowcza. Po zakończeniu akcji znikano się z horyzontu. Bez żadnych wyjaśnień wszystko ulegało zmianie: numer telefonu, adres, zwyczajnie. Nie ujrzą więcej Briana Murraya, co stanowiło zresztą dowód zdrady.

- To jego sprawka - podsumował Malko. - Dlaczego tak zrobił, nigdy się nie dowiemy.

- Nie mogę już dłużej korzystać z usług Jesusa - rzekł Amerykanin. - Trzeba go natychmiast przemyścić do Stanów. Tak było ustalone. Zrobił, co do niego należało.

- Źle zrobił - skorygował Malko. - Lepiej jednak będzie, jeśli znajdzie się po drugiej stronie granicy. Gdyby wpadł w ręce policji kanadyjskiej, z pewnością wszystko by wyśpiewał. Mielibyśmy kłopot.

- Jeszcze dzisiaj tym się zajmę.

- Ja pójdę do kancelarii Sonny Chaia - powiedział Malko - będę próbował odnaleźć jakiś ślad Li Shatina.

* * *

Na West Pender wystrojona sekretarka przyjęła Malko ze zwodniczym uśmiechem.

- Chce się pan widzieć z panem Chai? Przed chwilą przyszedł.

Pięć minut później Malko znalazł się w kancelarii chińskiego adwokata.

- Przychodzi pan w sprawie Li Shatina - stwierdził ten ostatni, zanim Malko zdążył otworzyć usta.

Zdziwiony, przyznał mu rację.

- Owszem, ale skąd pan to wie?

- Dziś rano ogłoszono w jego sprawie komunikat Ministerstwa Sprawiedliwości, stwierdzający, że został ponownie uwięziony, a przesłuchanie wstępne odbędzie się jutro, o godzinie pierwszej. Tam zdecydują o jego losie.

- Pan tam będzie?

- Oczywiście, jestem jego obrońcą.

- Siedzi w więzieniu?

- Tak, ale będę wnosił o pozwolenie na pobyt we własnym mieszkaniu.

Malko czuł się rozczarowany. Wrócili do punktu wyjścia: Li Shatin znajdzie się w mocy kanadyjskiej policji, a Guangbu wznowi polowanie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedząc na ławce naprzeciwko swojego adwokata, Sonny Chaia, z towarzyszącym mu, godnym zaufania tłumaczem obok, mówił cicho napiętym głosem.

- Powinien pan za wszelką cenę uzyskać zwolnienie - przekonywał tłumacz. - To bardzo ważne.

Sonny Chai pokiwał głową.

- Będzie bardzo trudno, Kanadyjczycy twierdzą bowiem, że próbował nielegalnie opuścić kraj. Obawiają się, że nie stawi się na wezwanie, jeśli będzie przebywał na wolności.

Li Shatin długo coś mówił tonem, nie znoszącym sprzeciwu: nalegał, żeby adwokat dokonał rzeczy niemożliwej. Był gotów zapłacić bardzo wysoką kaucję. Pan Sonny Chai obiecał niezwłocznie spotkać się z sędzią, a Li Shatin powrócił do celi z kopertą wręczoną mu przez adwokata. Sonny Chai zachodził w głowę, co też mogła zawierać. Jakiś nieznajomy pozostawił mu ją na biurku, a jej treść popchnęła Li Shatina do podjęcia usilnych starań o uwolnienie, za wszelką cenę.

* * *

Po powrocie do celi Li Shatin otworzył kopertę i przejrzał dokumenty, które zawierała. Były to zdjęcia zrobione niedaw-

no w mieście Xiamen. Tym, które, zgodnie z jego wolą, miało rywalizować z Pekinem... Z obu wieżowców, których okna miały być pozłoczone, pozostały tylko betonowe ruiny, otoczone trzęsawiskiem. Nigdy nie zostaną ukończone. Czerwony Pawilon, w którym przyjmował swych renomowanych gości iście po królewsku - zupą z płetwy rekina w towarzystwie najprzedniejszych ładacznic - był zamknięty, skazany na zapomnienie. Tablica wywieszona na drzwiach głosiła, że stanowi on własność państwa. Najsmutniejszy, dopełniający czary goryczy, był los Zakazanego Miasta w miniaturze, które zamierzał wznieść nieopodal Xiamen.

Zdjęcia ukazywały Komnatę Najwyższej Harmonii, lwy z brązu i Rzekę o Złoty Wodach. Wszystko stało opuszczone, pupura z kolumn odłaziła płatami, schody były połamane. Nikt nie odwiedzał tego miejsca. Stało się odpychające. Makieta umieszczona u stóp Wrót Niebiańskiego Spokoju była w strzępach. Przedstawiała park wypoczynku i rozrywki, którym Li Shatin pragnął otoczyć Zakazane Miasto. To było jego marzenie: baseny, tobogany i górskie kolejki.

Odłożył zdjęcia ze łzami w oczach. To załamanie się realizacji marzeń dziecka z ludu, dotknęło go bardziej, niż drażniąca nagonka, której był ofiarą i wisząca nad nim groźba kary śmierci. Tak bardzo chciał być dobroczyńcą swojego miasta! Zdefraudował olbrzymie sumy, ale dużą ich część przeznaczył na rozpoczęcie prac budowlanych, godnych przedsięwzięć faraona.

Jednakże te same, budzące w nim szczery żal fotografie, były jednocześnie zwiastunem dobrej nowiny - oznaczały, że pakiet, który powierzył kilka miesięcy temu pani Lin, dawnej swej kochance i współpracownicy, dotarł, po odbyciu skomplikowanej podróży z Xiamen, przez Hongkong i Toronto, do Vancouveru. Kasety video. Dwadzieścia sztuk. Marnej jakości, ale ich wartość była nieoceniona: filmy, których bohaterami na przestrzeni kilku ostatnich lat byli jego wspólnicy, pracują-

cy na różnych szczeblach administracji. Obrazki z przyjęć, jakie organizował w Czerwonym Pawilonie w towarzystwie *call-girls*.

Niektóre miały wartość wyłącznie dokumentalną, ich bohaterowie bowiem zostali już rozstrzelani. Pozostałe - to był dynamit. Wspaniały środek nacisku w szantażowaniu członków hierarchii partyjnej i wojskowej. Jedni byli już podejrzani, inni na razie nie. Li Shatin wiedział, że Amerykanie daliby wszystko, żeby uzyskać dostęp do tych dokumentów, gdyż pozwoliłyby im one zachwiać równowagą części chińskiego aparatu partyjnego. Chińczycy zaś nie byli głupi, wiedzieli, że każde narzędzie szantażu po jednorazowym wykorzystaniu traci jakąkolwiek wartość. Toteż był zdecydowany użyć ich tylko w ostateczności. Po burzliwych wydarzeniach ostatnich dni musiał wszystko przemyśleć.

Nie miał żalu do Amerykanów za to porwanie, ale to im zawdzięczał, że wpadł w szpony Kanadyjczyków i znalazł się ponownie w więzieniu! Swoje drogocenne kasety mógł wykorzystać tylko będąc na wolności. Wystarczyło uprzedzić pewną osobę za pomocą umówionego hasła. Kiedy będzie miał już kasety w ręku, spróbuje negocjacji z chińskim rządem. To jego ostatnia szansa. Jeśli Chińczycy zdejmą z niego hipotekę, być może będzie mógł opuścić Kanadę. Zakaz gry w kasynach Kolumbii Brytyjskiej był dotkliwym ciosem, tym bardziej, że wydany pod fałszywym pretekstem: nigdy nie oszukiwał w grze. Grał, by doznawać silnych emocji, a nie dla pieniędzy.

Dzisiaj wyrzucał sobie, że nie wyczuł, skąd wiatr wieje. On, który zawsze chełpił się, że ma nosa. Nastanie nowego ministra ds. bezpieczeństwa, człowieka nieprzekupnego, powinno być dla niego sygnałem ostrzegawczym. Ponadto wiedział, że żądza kary ze strony Pekinu nie była spowodowana jedynie przestępstwami gospodarczymi, które popełnił. Przez niego stracili twarz. Jego nazwisko i czyny stały się wszyst-

kim znane. To było więcej, niż Pekin był w stanie znieść... Nie miał złudzeń: Chińczycy n i g d y nie zostawią go w spokoju. Podobnie jak poszkodowani na Tajwanie. Byli cierpliwi, ale pewnego dnia znajdą się we władaniu Pekinu. I wtedy Li Shatin będzie musiał zapłacić głową również za grzech pychy, jakiego się dupuścił...

Jedyną szansą było trzymać ich na dystans za pomocą środka przymusu, podobnie jak panuje się nad dzikimi zwierzętami na arenie cyrkowej. Jeśli okaże jakkolwiek słabość, rozszarpią go na strzępy...

Musi za wszelką cenę odzyskać ów filmowy dokument i umieścić go w bezpiecznym miejscu. Willa przy Pięćdziesiątej Siódmej Alei była spalona, ale miał jeszcze inne możliwości.

* * *

Konferencja Malko, Simona Levina i „Buzzy” Krongarda z Langley odbywała się w amerykańskim konsulacie drogą telefoniczną, na zastrzeżonej linii. Była to narada wojenna po katastrofie na Pięćdziesiątej Siódmej Alei.

- Koniec z bezpośrednimi akcjami - zdecydował Numer Trzy w Agencji. - Szansą, jaka nam pozostała, jest przekonanie Li Shatina, aby oficjalnie zwrócił się z prośbą o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych. Wtedy Kanadyjczykom trudno będzie odmówić mu prawa do wyjazdu. Czy macie jakiś sposób, żeby się do niego zbliżyć?

- Owszem - odparł Malko. - Za pośrednictwem kancelarii Sonny Chaia. Li Shatin wie już, o co nam chodzi. Jak dotąd nie objawiał chęci emigrowania do USA. Nie wiem, jak go przekonać. Co moglibyśmy mu jeszcze obiecać?

- Po pierwsze, pewność, że otrzyma bezterminowe zezwolenie na pobyt, odpowiedział „Buzzy” Krongard. Ponadto, jeśli będzie współpracował, pomoc Agencji w uzyskaniu nowej

tożsamości i zorganizowaniu sobie nowego życia, pod naszą ochroną.

- Najaki okres?

- Tę kwestię należy potraktować luźno - doradził Numer Trzeci Agencji. - Podejmiemy ten temat, jak już tu będzie.

- Obawiam się, że zechce to wiedzieć teraz - podkreślił Malko. - Nie jest imbecylem.

- OK. - Upewnijcie się, czy ma swoje herbatniki... Same jego słowa nie wystarczą, żeby kogoś skompromitować. Potrzeba nam dokumentów i szczegółów.

- Zgoda - zakończył Simon Levine. - Spróbujemy.

Przerwali naradę i zamówili coś do picia. Podczas tej pauzy, sekretarka przyniosła im faks. Artykuł w „South China Morning Star” informował, iż rząd chiński zablokował wszystkie konta bankowe Li Shatina.

- Myśli pan, że to prawda? - spytał Malko.

- Sprawdzę - odparł Simon Levine. - Mamy listę jego kont *offshore*. Do tych nie mogą mieć dostępu. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jutrzejsza rozprawa może być ineresująca.

* * *

Mała salka na szesnanastym piętrze budynku rządowego była przepełniona. Naprzeciwko siebie siedzieli: sędzina, po prawej prokurator, po lewej Li Shatin w otoczeniu tłumacza, Sonny'ego Chaia i dwóch policjantów. Publiczność stanowili sami dziennikarze, głównie Chińczycy, ze swymi kamerzystami. Simon Levin pochylił się do ucha Malko i rzekł:

- Widzi pan tego wysokiego, krótko ostrzyżonego faceta w jasnym garniturze i ciemnych okularach, w ostatnim rzędzie?

- Widzę.

- To przedstawiciel Guangbu. Występuje pod przykrywką dyplomaty w konsulacie. Dziwne, że tu jest. Normalnie nigdy nie przychodzi...

Kamerzysta chińskiej stacji telewizyjnej Fairchild TV filmował Li Shatina z bliska, zaraz potem weszła sędzina, Daphne Shaw, mająca orzekać w sprawie wniosku Chińczyka o zezwolenie na pobyt.

Wszyscy wstali i zaraz po tym, jak sędzina zajęła miejsce, wystąpił adwokat, Sonny Chai:

- Zawarłem ugodę z prokuraturą - oświadczył. - Wyraziła zgodę na pozostawienie pana Li Shatina na wolności pod warunkiem, że sam będzie opłacał przysięgłych ochroniarzy, którzy będą go pilnowali dzień i noc. Są to pracownicy firmy Intercom Security, z siedzibą w West Pender pod numerem 1820. Pan Li Shatin dokonał już przelewu 20 000 dolarów, stanowiących wynagrodzenie za najbliższy tydzień, na konto N° 10380064715 w Bank of Canada. Będzie więc uwolniony w chwili zakończenia niniejszej rozprawy.

Przedłożył sędzinie kopię czeku. Pod wpływem pytającego spojrzania, podniósł się prokurator.

- Potwierdzam wspomnianą ugodę - oświadczył. - Nie stawiamy przeszkód, aby zatrzymany wrócił do swego mieszkania w Burnaby.

Dwadzieścia tysięcy dolarów, nawet kanadyjskich, stanowiło wysoką cenę. Malko zastanawiał się, co kierowało Li Shatinem.

Prawdziwa rozprawa rozpoczęła się, kiedy poruszono kwestię prośby o azyl polityczny, odczytując obszerne dokumenty, dotyczące tej sprawy oraz już podjętych działań. Zajęło to dobre dwadzieścia minut i miało efekt usypiający. Li Shatin wydawał się być myślą zupełnie gdzie indziej. Wreszcie głos zabrał prokurator, trzymając w ręku jakiś dokument:

- Pani sędzio, mam w rękach dokument najwyższej wagi, który powinien ostatecznie zdecydować o odrzuceniu wniosku o pobyt stały w Kanadzie pana Li Shatina, legitymującego się paszportem N° H 90059154, wydanym w Hongkongu.

- Jaki to dokument? - zapytała Daphne Shaw.

- Pan Li Shatin jest przestępcą, poszukiwanym w swoim kraju, Chińskiej Republice Ludowej - wyjaśnił zapytany. - Grozi mu kara śmierci. Ponieważ w Kanadzie kary takiej nie stosuje się, nasze władze odmawiały wydania zatrzymanego na pewną śmierć. Przeszkoda ta została usunięta. Mam tutaj, przekazany przez Ministerstwo ds. Imigracji, oficjalny dokument wydany przez chiński rząd. Władze w Pekinie zobowiązują się na piśmie, że pan Li Shatin, odesłany do swego kraju, zostanie skazany na karę więzienia porównywalną z tą, jaką by otrzymał w Kanadzie za przestępstwa, których się dopuścił. W konsekwencji, stawiam wniosek, aby sąd odrzucił w całości prośbę o pobyt stały pana Li Shatina i dokonał ekstradycji władzom jego kraju.

Na sali zapadła martwa cisza, tłumacz przekładał treść deklaracji Li Shatinowi. Daphne Shaw wydawała się zaskoczona. Nagle Li Shatin podskoczył jak oparzony i zaczął wykrzykiwać coś w swoim języku. Tłumacz ledwie nadązał z przekładem.

- To są kłamcy! wrzeszczał Li Shatin. - Oczywiście, że nie zglądzą mnie oficjalnie, ale znajdą jakiegoś więźnia i zlecą mu zamordowanie mnie w zamian za zawieszenie mu wykonania kary.

Usiadł, spocony. Dziennikarze notowali gorączkowo. Wszystkie spojrzenia skierowały się na sędzinę.

- Ogłaszam półgodzinną przerwę w rozprawie - oświadczyła.

Rozległ się gwar głosów. Li Shatin, przygnębiony, pozostał na miejscu. Malko przyglądał się przedstawicielowi Guangubu z niezmaconym spokojem. Nagle jakiś Chińczyk zwrócił się do dziennikarzy:

- Jestem konsulem Chińskiej Republiki Ludowej - krzyczał przenikliwym tonem. - Chcę podać do wiadomości prasy pewien dokument. Chodzi o decyzję trybunału w Hongkongu,

na mocy której cały majątek pana Li Shatina zostaje zabezpieczony, włącznie z jego kontami bankowymi. To wyraźny dowód winy.

Stąd artykuł w „South China Morning Star”... Konsul rozdawał hojną ręką dokumenty, a Malko z Simonem Levine wyszli na korytarz.

- To brzydko pachnie - powiedział Amerykanin. - Ci zdrańcy z Pekinu znaleźli słaby punkt. Uporali się z kwestią kary śmierci, która blokowała ekstradycję. Teraz jest już tylko zwykłym przestępcą.

- Co możemy teraz zrobić? - zastanawiał się Malko.

Po nieudanej próbie wywiezienia do Stanów, nie trzeba było długo czekać na reakcję Chińczyków...

- Zobaczmy, co zadecyduje sędzia.

* * *

Daphne Shaw usiadła w kompletnej ciszy. Li Shatin wyprostował się, widać było jak zaciska szczęki. Wszystkie jego nadzieje mogły przepaść. Adwokat szeptał do ucha tłumacza, ten miał już tego dosyć. Sędzina odchrząknęła.

- Decyzja zostanie podana do wiadomości pana Li Shatina w terminie ośmiu dni - oświadczyła słabym głosem. - Następna rozprawa odbędzie się w poniedziałek, 27-ego, o dziewiątej.

Wstała, a na sali zapanował nieopisany zgiełk. Przedstawiciel Guangbu, z zadowoloną miną szedł już w stronę wyjścia. Dziennikarze zasypywali pytaniami Li Shatina, on odpowiadał monosylabami. Malko podszedł do Sonny'ego Chaia.

- Co pan o tym myśli?

Adwokat Li Shatina był załamany.

- To parodia sprawiedliwości - rzucił. Wszyscy wiedzą, że Chińczycy nie dotrzymają słowa, ale honor Kanady będzie uratowany. Pan Li Shatin przepadnie w chińskim gulagu i zostanie tam zamordowany.

- Czy złożył pan oficjalny protest?
- Nie - odpowiedział prawnik, po krótkim wahaniu. - Mam tu do czynienia z racją stanu. O wszystkim decyduje Ottawa. Sędzia postąpi tak, jak jej nakazał. Mogę się jednak udać do Sądu Najwyższego...

- Czy można zawiesić wykonanie postanowienia?

Adwokat spuścił głowę.

- Niestety, nie. To bardzo długa procedura. Natomiast taki nakaz może być wykonany w ciągu kilku dni, zwłaszcza w tych okolicznościach. Zobaczę, co da się zrobić.

Malko wraz z Simonem zjechali na dół. Nie było im wesoło. Chińczyk otrzymał potężny cios. Nie mieli już możliwości przekonania go do azylu w Stanach. Pilnowany w swoim apartamencie, będzie oczekiwał następnej rozprawy. Wrócili do hotelu. Na Simona Levine'a czekała sarta dokumentów. Skomentował je tak:

- Agencja przeprowadziła śledztwo w sprawie kont Li Shatina. Wszystkie zostały przechwycone, poza jednym w Hongkong Bank de Caiman Island, na którym jest około półtora miliona dolarów, jednym w Toronto, w banku Midland, z pół milionem dolarów, i jednym w Bank of Canada, z którego pokrywa bieżące wydatki, z około 300 000 dolarów. Może ma jeszcze gotówkę, ale wątpię w to. Większość jego fortuny jest ulokowana w Chinach, w spółkach, ziemi, nieruchomościach.

- Zaciskają pętlę - podsumował Malko - i dobrze to rozgrywają. Jeszcze zanim zostanie im oficjalnie wydany.

Ten człowiek, który obracał miliardami dolarów, oferował dwa miliardy juanów w zamian za wolność, znalazł się w matni... Lepiej jednak było żyć biednie w Vancouverze, niż stracić życie w Chinach. Poza tym mógł odbudować swoją fortunę, był jeszcze młody. Simon Levine wyjął zapalniczkę, tym razem ozdobioną głową tygrysa - miał ich całą kolekcję - i zapalił papierosa, nie ukrywając zniechęcenia.

- Partia chyba skończona - wyznał. - Teraz to sprawa na szczeblu międzyrządowym. Trójkąt Chiny - Kanada - Stany Zjednoczone. Biały Dom zadecyduje, czy wyrzucić silną presję.

- Dobrze pan wie, że tego nie zrobią - powiedział Malko.
- Dyplomaci nienawidzą otwartej konfrontacji. Liczą, że tacy jak my rozwiążą ich problemy.

Amerykanin wykonał gest rezygnacji.

- Nie mam żadnego pomysłu. A pan?

- Może mam jakiś, ale daleki od wprowadzenia w czyn.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Simon Levine rzucił Malko niespokojne spojrzenie.

- Widzi pan jakiś sposób na zmianę opinii rządu kanadyjskiego, szykującego się do wydania Li Shatina?

- To tylko możliwość - skorygował Malko. - Pod wieloma warunkami. Chodźmy do samochodu.

Trotuar na Hamilton Street zapełnił się tłumem dziennikarzy. Wsiedli do forda Simona Levine'a. Malko usadowił się i kontynuował temat.

- Rząd kanadyjski chce sprawić przyjemność Pekinowi. Jedynym sposobem odwiedzenia ich od tego, jest wywarcie presji.

Simon Levine potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Ale jak? Grożąc im bombą atomową?

- Może uda nam się zdobyć odpowiedni ekwiwalent - wyjaśnił Malko - raport „Sidewinder”.

- Nigdy nie miałem go w rękach.

- Właśnie, ale zna pan kogoś, kto go posiada: Briana Murraya.

- Ten bydlak nas wyrolował! - obruszył się Simon Levine.

- Wierzy pan, że nam go da? Zastanawiałem się nad nim. Musiał przehandlować swoją zdradę za ponowne wcielenie go do RCMP. Był chory z żalu, że nie należał już do swej elitarniej jednostki!

- Mimo wszystko, bardzo nam pomógł - utemperował go Malko. - Bez niego n i g d y nie odnaleźlibyśmy Li Shatina. Nie w tym problem, lecz w raporcie „Sidewinder”. Gdyby udało się panu go uzyskać, moglibyśmy zaproponować Kanadyjczykom wymianę: oni nie odesłaliby Li Shatina do Chin, a my zrezygnowalibyśmy z publikacji raportu. Według mnie taką ofertę będą zmuszeni wziąć p o w a ż n i e pod uwagę.

Simon Levine wzruszył ramionami.

- OK. Ale jest w tym poważny szkopuł. Po pierwsze, Brian Murray ulotnił się, a po drugie, pracuje teraz p r z e c i w k o nam.

- Zgadza się. My jednak dysponujemy tajną bronią.

- Tajną bronią?

- Isis.

Simon Levine wyglądał tak, jakby piorun w niego strzelił. Malko pojął, że musi to załatwić w rękawiczkach.

- Doskonale pan wie, że oszalał na jej punkcie, nawet jeśli nic jeszcze od niej nie uzyskał. To jedna z przyczyn, dla której udzielił nam tak wydatnej pomocy. Myślę, że z pewnością będzie się chciał z nią zobaczyć, nawet po tym, co się stało, albo co najmniej nawiązać z nią kontakt.

Ponura twarz Simona Levine'a mówiła wyraźnie, że taka możliwość nie wprawia go w zachwyt.

- Proszę kontynuować - powiedział sucho.

- Cały mój plan opiera się na założeniu - przyznał Malko - że Brian Murray będzie próbował się z nią spotkać. Jeśli to się nie zdarzy, pozostaje nam modlić się za duszę Li Shatina. Jest jednak pewna nikła szansa.

- Co potem? - warknął Amerykanin. - Chyba nie położysz pan Isis do łóżka z tym łajdakiem tylko po to, żeby dostać raport „Sidewinder”?

- Rzecz jasna, że nie - odparł Malko uspokajająco. - Lecz w momencie, gdy nawiążemy z nim kontakt, będzie można

próbować pewnej manipulacji. Ma bowiem coś, dzięki czemu będzie mógł uzyskać nasze przebaczenie.

Nie mógł wyjaśnić Levine'owi zasadniczej idei swego rozumowania: Brian Murray będąc już kochankiem Isis, rozpaczliwie zapagnie ją odzyskać.

Simon Levine, kipiąc skrywaną złością, ruszył tak gwałtownie, że o mało nie potrafiła go ciężarówka.

- OK, OK - wymamrotał. Niech jej pan to powie. Ale niech pan będzie ostrożny, w pana własnym interesie.

Malko uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. Jego plan był pokretny i trudny do zrealizowania: polegał na podwójnym szantażu. Najpierw Briana Murraya, potem rządu kanadyjskiego, przy czym ten drugi był łatwiejszy. Nie wiedział jeszcze, jak „wykręcić ramię” kanadyjskiemu policjantowi. Miał tylko jeden, perwersyjny i delikatny atut do rozegrania: Isis. Ogólny zarys planu polegał na wymianie Isis za raport „Sidewinder”. Nie mógł tego jednak powiedzieć Simonowi Levine.

* * *

Isis, zagłębiona w fotelu, z nogami na niskim stoliku przed telewizorem z wyłączonym dźwiękiem, pogrążona była w lekturze katalogu, skradzionego w magazynie dekoracji wnętrz. Widząc Malko, odłożyła pismo i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. Wyglądało na to, że zupełnie już zapomniała o nieudanej akcji.

- Patrzcie! Powracający! A gdzie Simon?

- Pojechał zatelefonować z konsulatu - odparł Malko.

Usiadł na niskim stoliku. Isis, wystrojona w białą bluzeczkę na ramiączkach i spodnie z lateksu, była jak zawsze szalenie ponętna. Przeciągnęła się, celowo uwydatniając biust.

- Ma pan ochotę na seks? - zapytała zmysłowym i prowokującym tonem... - Skoro Simon jest w konsulacie, mamy czas. Na ogół spędza tam długie godziny.

Rozbawiona, wyciągnęła do niego ramiona. Malko podniósł się, podszedł do niej z tyłu, pochylił się tak, żeby mogła go złapać, przybliżając twarz do jej twarzy. Połączyli się w gwałtownym pocałunku. Isis skręcała się na fotelu. Ode-rwała się od Malko, dysząc.

- Chodźmy! Chcę się kochać!

Machinalnie położyła mu rękę pieśczeniście na brzuchu. Malko uśmiechnął się, zadowolony. Osiągnęła zamierzony efekt.

- Czemu nie uprawia pani miłości ze swym tytularnym ko-chankiem? - zapytał.

- Z Simonem? - odparła Isis, sznurując usta w grymasie odrazy.

- Nie, z Brianem.

Młoda kobieta nachmurzyła się.

- Ta świnią, Brian. Po tym, co zrobił, nie chcę go już nigdy więcej widzieć!

Malko zatopił wzrok w jej w oczach.

- Nie miała pani od niego wiadomości?

-Nie.

Odwróciła wzrok, a jej zaprzeczenie było wypowiedziane bez przekonania.

- Pani kłamie - powiedział Malko wprost. - Brianowi bar-dzo na pani zależy i z pewnością dzwonił.

- Tak, to prawda - przyznała Isis, rezygnując z dyskrecji. - Ale nie chciałam z nim rozmawiać.

- Nie zostawił pani swojego numeru?

- To był numer zastrzeżony.

Brian Murray był zawodowcem, nawet w życiu prywatnym. Tym razem mówiła prawdę.

- Będzie z pewnością znowu dzwonił i wyznaczy pani spotkanie. Powinna się pani zgodzić.

Isis nie odzywała się przez chwilę. Było oczywiste, że ma na to wielką ochotę. Nie dlatego, że była zakochana, lecz na samą myśl, że Brian Murray szaleje za nią.

- Z jakiego powodu?
- Żeby naprawić swoją nieostrożność - odrzekł.
- Jeśli to zrobię, Simon mnie zostawi. Tymczasem bez niego nie mam czego szukać w Hollywood.

- Simon nie będzie o tym wiedział - obiecał Malko. - Byłby wściekły, wiedząc, że pani to proponuje. Muszę jednak bezwzględnie pomówić z Brianem, żeby ratować Li Shatina. Kiedy będzie pani znała termin randki, proszę mnie uprzedzić.

Posłała mu długie, dwuznaczne spojrzenie.

- Zgoda, ale potrzebuję trochę uczucia t e r a z .

Podjęli uścisk w miejscu, w którym go przerwali. Isis ujęła Malko za rękę i wsunęła ją pod pasek spodni. Nie należało jej teraz irytować. Malko przesunął rękę głębiej i odciągając koronkę majteczek, dotknął jej seksu. Kiedy zaczął go pieścić, Isis jęknęła i zaczęła się wić na wszystkie strony. W rekordowym czasie doznała gwałtownego orgazmu i padła na fotel z zamglonym spojrzeniem.

- Liczę na panią - powiedział Malko - wycofując się na palcach.

* * *

Simon Levine był w fatalnym humorze. Wieść o podstępie Kanadyjczyków przyjęto w Langley jako nieodwracalną katastrofę. W ciągu dnia Amerykanin podjął wielkie ryzyko przemycenia Jesusa Domingo do Stanów. Policja odnalazła zwłoki Manuela Garcii i teraz prowadziła energiczne poszukiwania drugiego obywatela Hondurasu. Ze względów bezpieczeństwa zgłoszono, że land cruiser firmy producenckiej Adventure Productions został skradziny. Isis ubrana była w czerwoną sukienkę mini, tak krótką, że przy każdym ruchu widać było dobrane do niej majteczki. Sala restauracyjna w Sutton Place tętniła życiem, tylko przy ich stoliku panowała atmosfera przygnębienia.

Korzystając z nieobecności Simona Levine'a, który udał się do toalety, Isis szepnęła Malko, podniecona:

- Mam umówioną randkę!

- Gdzie i kiedy?

- W motelu Kingcrest przy 3212 Kingsway. Jutro o wpół do pierwszej.

- A co z Simonem?

- Powiem, że mam wizytę u fryzjera, a potem będę robić zakupy. Jak mam postąpić z Brianem?

- Trzeba tam pojechać. W ł a s n y m samochodem.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Mam się z nim tylko przespać? I to wszystko?

- Nie, odparł Malko. Później ja z nim pogadam.

Oczy Isis rozbłyły.

- Zabije go pan?

Nie była taka naiwna, na jaką chciała wyglądać.

- Nie, tylko z nim porozmawiam.

Wrócił Simon Levine i oboje zamilkli.

* * *

Nazwa Kingsway nie pasowała do otoczenia, które przecinała ulica. Była to zaniedbana dzielnica. Pełno w niej było zakurzonych sklepików, warsztatów samochodowych i starych, źle utrzymanych drewnianych domków. Malko zwolnił; pod numerem 3212 znajdował się tani motel z kruszącym się, różowawym tynkiem, ogłaszający, że najniższa cena za pokój wynosi 37 dolarów. Samochody parkowały na wewnętrznym patio, naprzeciwko poszczególnych pokoi. Malko zaparkował po drugiej stronie ulicy i zbliżył się do wejścia. Browning ciążył mu u pasa. Nie podobało mu się to, co zamierzał zrobić, lecz był to jedyny sposób na uratowanie życia Li Shatinowi.

Spojrzał na patio i od razu zobaczył kabriolet Mustang, należący do Isis. Naprzeciwko pokoju numer 24.

Olśniony, z bijącym sercem, Brian Murray przyglądał się Isis, wchodzącej do nędznego pokoiku. Jeszcze piękniejszej niż ją pamiętał. Nie mógł się powstrzymać od telefonu do niej, mimo zerwania mostów z CIA. Na samą myśl o Isis czuł podniecenie. Nie sądził, że zechce się jeszcze z nim zobaczyć.

Taksowała go wzrokiem, diabelnie powabna w białej bluzeczce na ramiączkach, noszonej bez stanika i krótkiej, rozciętej z boku spódnicy. Posłała mu drapieżny i łakomy uśmiech.

- Jestem chyba szalona, że tu przyszedłem. Po co chciał mnie pan widzieć?

Brian Murray bał się, że pękną mu spodnie, tak mocno jej pragnął. Podeszedł i objął ją w pasie, przyciągając do siebie i napawając się jej zapachem. Westchnął:

- Nigdy nie pragnąłem tak zadnej kobiety!

Isis przywarła do niego. Pomyślała, że w końcu ma dużo wdzięku, piękne niebieskie oczy, ładnie przystryżone wąsy i trochę żartobliwy uśmiech. W sumie przystojny facet.

- Czego więc pan oczekuje?

Wygłodniały Brian Murray zaczął ją całować i pieścić, podnosząc spódnice, dotarł do jedwabnych, wilgotnych już majteczek. Oparta o ścianę, Isis pozwalała mu na to, badając dłonią autentyczność jego pożądania.

Brian Murray, nie panując nad sobą, odsunął ją na kilka sekund.

- Nie wie pani nawet, ile ryzykuję dla tego spotkania. Oni z pewnością chcą mnie wykończyć. Ale za bardzo pani pragnęłam. Nikomu pani nie powiedziała?

- Nikomu - przysięgła Isis.

Brian Murray gorączkowo zdzierał z siebie ubranie. Drżał z podniecenia. Z wystudiowanym spokojem Isis powoli zdję-

ła bluzkę i spódnicę, pozostając w pantoflach. Potem rzuciła się na łóżko, rozsuwając nogi.

- Jesteśmy w motelu. Traktuj mnie jak dziwkę.

Płonąc z miłości, Brian Murray podziwiał ją, zapominając o własnej triumfalnej erekcji. Pragnął ją objąć i okryć pocałunkami, a nie traktować grubiańsko.

- No chodź: - rzuciła zniecierpliwiona Isis.

Położył się delikatnie obok niej i zaczął całować brzuch, schodząc stopniowo w dół. Isis złapała go za włosy, wciągając na siebie.

- Kochaj mnie!

W pozycji, w jakiej się znajdował, wystarczył mu jeden ruch bioder, aby dokonać penetracji. Była na to gotowa. Załedwie zaczął, Isis poczęła się wić pod nim na wszystkie strony, kalecząc mu plecy ostrymi obcasami. Białka oczu wywróciły się i była już na skraju orgazmu. Paznokciami rozorała mu kark, a on, doprowadzony do szaleństwa tym rozpasaniem, uderzał jak drwał, chcąc rozszczępić ją na pół.

Isis mdlała z rozkoszy, jej biodra wstrząsały spazmy. Brian osiągnął szczyt z dzikim okrzykiem i upadł na nią. Kiedy tylko Isis przyszła do siebie, odepchnęła go i wstała.

- Muszę już iść, w przeciwnym razie Simon będzie mnie wszędzie szukał.

Poszła do łazienki, a on w tym czasie kontemplował swój orgazm. Nie mógł się otrząsnąć z miłosnej gorączki. Może jednak Isis była w nim zakochana? Wróciła do pokoju. Poprawiła makijaż, wyglądała promiennie z ciemnymi okularami na bujnych, splecionych włosach. Znow jej zapragnął. Wskoczył z łóżka, przyciągnął do siebie i wsunął rękę pomiędzy uda.

- Nie odchodź!

Isis uwolniła się z jego objąć.

- Jeszcze się zobaczymy.

Otworzyła drzwi. Brian Murray chciał podążyć za nią i nagle znieruchomiał, jak rażony piorunem, widząc Malko pojawiające-

go się w korytarzyku. Isis skorzystała z okazji i, żeby się wymknąć i dojechać do swego samochodu. Nagi, zdeorientowany policjant miał uczucie, jakby ktoś przeszył mu serce. Najbardziej zaboląło go zdrada Isis. Cały się skurczył pod zimnym spojrzeniem Malko.

- Mamy sobie chyba coś niecoś do powiedzenia, Brian - zaatakował Malko.

W tym momencie Kanadyjczyk zauważył u niego potężny pistolet i zrozumiał, że Isis jest zwykłą dziwką. Najgorsze było to, że nie potrafił nawet żywić do niej o to pretensji.

- Niech się pan ubierze - polecił Malko obojętnym tonem.

Brian Murray pośpiesznie się ubrał, zastanawiając się w duchu, co teraz nastąpi. Kiedy doprowadził się do porządku, stanął naprzeciw Malko.

- Po co pan tu przyszedł?

- Aby wyrównać rachunki - odparł Malko lodowatym tonem. - Jest pan winien śmierci trzech osób, Li Shatin znalazł się ponownie w rękach Kanadyjczyków, ja zaś o mało co nie wpadłem.

- Z mojego powodu?

- Pośrednio tak - stwierdził Malko. - To pan uprzedził RCMP o planowanym porwaniu.

Ponieważ Kanadyjczyk milczał, Malko nalegał:

- Czemu pan to zrobił?

Brian Murray złapał się za głowę i padł na łóżko.

- Zaoferowano mi ponowne przyjęcie do służby - wyznał - a także awans. To straszne być na wygnaniu, odsuniętym od wszystkiego.

Malko popatrzył na niego z lekkim obrzydzeniem.

- Czy raport „Sidewinder” zawiera prawdę?

Policjant podskoczył.

- Oczywiście, to wszystko prawda.

- Tak więc, zdecydował się pan pracować dla ludzi zepsutych do szpiku kości, wysługujących się chińskiej zorganizowanej przestępczości.

Kanadyjczyk spuścił głowę i nie odezwał się. Malko kuł żelazo, póki gorące.

- Wie pan bardzo dobrze, że rząd kanadyjski, chcąc się przypodobać Chińczykom, poświęcił Li Shatina. Jeśli znajdzie się w Chinach, zginie. To jednak pana nie powstrzymało. Dziś Chińczycy zobowiązali się, że go nie rozstrzelają. To kłamstwo, ale Ottawie to wystarczy, aby usprawiedliwić eks-tradycję.

- Tego nie wiedziałem - zaprotestował słabym głosem Kanadyjczyk.

Wyglądał na całkiem zdezorientowanego, co podsunęło Malko pewien pomysł. Przyszedł tutaj, zamierzając wymusić •groźbą wydanie raportu „Sidewinder”. Nagle dostrzegł inną możliwość.

- Myślałem, że nienawidzi pan niesprawiedliwości - powiedział surowym tonem.

- To prawda.

- Nie uważa pan, że „odstawienie” Li Shatina do Chin właśnie nią jest?

- Tak, ale cóż ja mogę na to poradzić?

- Może je pan wstrzymać.

Błękitne oczy Briana Murraya napęłniły się zdumieniem.

- Jakim sposobem?

Nadeszła chwila prawdy.

- Przekazując mi pański raport. Przehandluję go rządowi kanadyjskiemu za życie Li Shatina. Równocześnie wizerunek Kanady nie ucierpi.

Brian Murray nie odpowiadał, jakby niczego nie usłyszał. Malko wyczuł, że jego duch słabnie i natarł ponownie.

- Byłby to jedyny sposób na odzyskanie szacunku Isis. Pogardza panem za zdradę, jakiej się pan dopuścił.

Brian Murray podniósł głowę.

- Tak pan sądzi?

- Absolutnie.

Kanadyjczyk zastanawiał się przez dobry moment.

- Będą mnie ścigać i aresztują.

- Nikt nie będzie wiedział, że to pan. Przecież są jeszcze inne egzemplarze tego raportu.

- Owszem, jeszcze dwa.

- A więc?

- Myśli pan, że Isis mi przebaczy?

- Z pewnością - obiecał Malko.

Brian Murray milczał przez długie, niekończące się sekundy. Wreszcie niepewnym głosem powiedział:

-- Dobrze, wręczę go panu.

Na jego decyzji z pewnością silniej zaważyła miłość do Isis niż chęć ratowania życia Li Shatina.

- Gdzie go pan ma?

- W skrytce depozytowej mojej siostry, mam pełnomocnictwo.

- Pojedziemy tam.

Brian Murray wstał bez słowa i skierował się do drzwi. Malko eskortował go aż do auta, zaparkowanego dalej na Kingsway. Brian ścisnął kierownicę drżącymi rękami. Wielki kapelusz nadawał mu wygląd niefortunnego łowcy przygód. Dojechali do centrum, nie zamieniwszy słowa. W końcu zatrzymali się przed niewielką filią Bank of Canada, na Cardero Street. Weszli razem i udali się do skarbca w towarzystwie urzędnika bankowego.

Z duszą na ramieniu Malko obserwował czynności związane z otwarciem skrytki, modląc się, aby nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego.

Brian Murray wyjął dużą brązową kopertę i podał mu.

- Proszę.

- Dziękuję - odrzekł Malko. - Robi pan dobry uczynek. Jesteśmy kwita.

Brian Murray westchnął z rezygnacją:

- Myślę, że przyjdzie mi drogo za to zapłacić.

Rozstali się przy wyjściu i Malko wezwał taksówkę. Kanaadyjski policjant rzeczywiście ryzykował, że zapłaci wysoką cenę za szalone uczucie do pulchnej Isis. Jak to na wojnie. Należało ratować Li Shatina. Teraz Malko mógł już tylko żywić nadzieję, że jego kalkulacja okaże się prawidłowa i Kanaadyjczycy ustąpią pod presją szantażu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W siedzibie kanadyjskiej policji, na pierwszym piętrze w dziale „Intelligence” przy Heather Street siedziało czterech mężczyzn. Panowała ciężka atmosfera. Spotkanie to było poprzedzone kilkoma oficjalnymi naradami przygotowawczymi, pomiędzy Simonem Levine i jego kanadyjskimi kolegami po fachu. Nie trzeba dodawać, że sytuacja była napięta. Kanadyjczycy z początku potraktowali ofertę CIA z góry. Simon Levine przedstawił ją szefowi RCMP, a ten natychmiast wysłał sprawozdanie do Ottawy. Policja stwierdziła, że raport „Sidewinder” stanowi jedynie stek kłamstw. Przewidując taką reakcję, Simon Levine uaktywnił swoje służby. Następnego dnia gazeta „The Province” opublikowała fragment raportu, zapowiadając czytelnikom dalszy ciąg... Reakcja Kanadyjczyków była natychmiastowa: propozycja spotkania na wyższym szczeblu. Przyjęta. W zawieraniu umowy wziął udział sam Dyrektor Działu Operacyjnego CIA: amerykańska agencja federalna zobowiązała się nigdy nie publikować raportu w całości lub fragmentach, pod warunkiem, że rząd kanadyjski z kolei zobowiąże się oficjalnie do powstrzymania się od ekstradycji Li Shatina do Chin. Niezależnie od tego, iż odmówiono mu zezwolenia na stały pobyt.

Projekt został przesłany do Ottawy, która debatowała nad nim czterdzieści osiem godzin. Następny artykuł w piśmie „The Province” przyspieszył sprawę. To ostateczne spotkanie miało na celu „wyglądzenie” stosunków pomiędzy Amerykanami i Kanadyjkami.

Bougon, szef RCMP, pchnął w stronę Simona Levine’a komunikat rządu kanadyjskiego, opracowany przez Ministerstwo ds. Imigracji.

- Zostanie rozpowszechniony w redakcjach dzienników pod koniec dnia, po oficjalnym przedłożeniu go ambasadorowi Chin.

Simon Levine podał go Malko. Tekst był sprecyzowany jasno i wyraźnie: „Rząd Kanady, z uwagi na potencjalne zagrożenia, które ciążą na obywatelu chińskim, panu Li Shatinie, gdyby został wydalony do swojego kraju, podjął nieodwołalną decyzję, że osobnik ten, któremu odmówiono statusu imigranta i skazano na wydalenie z terytorium Kanady, będzie sam mógł dokonać wyboru kraju, który zechce go przyjąć.”

Nie było tu żadnej wzmianki czy choćby aluzji do zobowiązania rządu chińskiego, dotyczącego złagodzenia kary Li Shatinowi. Nie należało ich dodatkowo drażnić, skoro i tak będą oburzeni. Simon Levine wsunął dokument do teczki i posłał niewinny uśmiech osobie z naprzeciwka.

- Czy zależy panom na tym, żeby pan Li Shatin pozostał na terytorium waszego kraju?

Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie! To zwykły kryminalista! Na razie jednak nie możemy go wydalić, dopóki procedura związana z prośbą o azyl nie dobiegnie końca. Może ona ciągnąć się miesiącami, a nawet latami.

- Jeśli pan Li Shatin zechce zgodnie ze swoją wolą opuścić Kanadę, nie napotka żadnych przeszkód? - nalegał Simon Levine.

- W zasadzie nie.
- Amerikanin podniósł się, Malko również.
- Dziękuję panom.

Opuścili salę w lodowatej ciszy. Kanadyjczycy nieprędko zapomną w jaki sposób zmuszono ich do kapitulacji.

- Pozostało nam tylko przekonanie Li Shatina - podsumował Malko po wyjściu. - Biorę to na siebie. Jutro mam spotkanie z Sonny Chaiem. Musimy działać szybko, żeby Pekin nie wszedł nam w paradę. Nikt nie będzie go już chronił. Byłoby głupio, gdyby właśnie t e r a z dał się zabić.

* * *

Tsang Mingna, przedstawiciel Guangbu w Vancouverze, starannie szyfrował wiadomość, przekazywaną do centrali. Przed chwilą otrzymał komunikat rządu kanadyjskiego. Jak na złość, nie mógł złapać nikogo w Ottawie. Unikano go. Nie żywił złudzeń: to sprawka Amerykanów i nawet najżywsze oburzenie Pekinu tego nie zmieni. Możliwości Chin wywierania nacisku na rząd kanadyjski były ograniczone.

Teraz Pekin powinien mu przysłać instrukcje dotyczące nowej, całkowicie tajnej operacji... Dysponował w Vancouverze pewnymi ludźmi - tymi samymi, którzy rozprawili się z Victorem Changiem - potrzebował jednak planu działania. Trudno byłoby dopuścić się frontalnego ataku na ochroniarzy firmy Intercom Security, pilnującej Li Shatina. Chodziło o coś bardziej wyrafinowanego. Z początku Guangbu rozpatrywały możliwość otrucia, ale ten projekt upadł. Teraz można by do niego powrócić.

Po wykonaniu zadania, Tsang Mingna udał się do małej salki szyfrowania kodów, w podziemiach willi, będącej siedzibą konsulatu na Granville Road. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, odpowiedzi nie należało się spodziewać przed dniem jutrzejszym, a czas naglił.

* * *

Od czasu odegrania swej życiowej roli bohaterki, ratującej katastrofalną sytuację, którą sama spowodowała, Isis promieniowała. Czekwała, aż wszystko się wyjaśni na tyle, by móc się spotkać z Brianem Murrayem. Kiedy Malko wszedł do biura Simona Levine'a, przebywającego właśnie w konsulacie, Isis podeszła do niego.

- Zaraz zobaczę się z Brianem - oświadczyła. - Zostawiłam mu wiadomość.

- Gdzie? W motelu Kingcrest?

- Nie, u niego. Na kolacji dwojga zakochanych.

Była rozpromieniona.

- Zakochanych? - zakpił rozbawiony Malko.

- To pierwszy mężczyzna, który ryzykował życiem, żeby się ze mną kochać - odparowała Isis. - Bardzo mi to pochlebia. Zrobię się na bóstwo.

Zdrada Briana Murraya poszła w niepamięć. Po Isis wszystko zdawało się spływać jak woda po gęsi.

* * *

Simon Levine wyglądał jakby napił się octu. Raczył się już trzecim Defenderem i jeszcze się nie rozchmurzył. Malko, znając sytuację, nie chciał go zanadto wypytywać. Lodowatą ciszę przerwał Amerykanin, pytając z pozorną obojętnością:

- Uważa pan, że powinienem jej zabronić tego spotkania?

Z pytania wynikało, że Isis musiała mu powiedzieć o planowanej kolacji. Malko starał się zachować powagę: równie dobrze mógłby chcieć powstrzymać wybuch wulkanu.

- Ależ skąd, Brianowi należy się mała nagroda.

Amerykanin rzekł zduszonym głosem:

- Chce pan powiedzieć, że...

Malko pośpieszył skorygować niezręczne sformułowanie.

- Kolacja to jeszcze nic poważnego.
- Powiedziała panu, gdzie się spotkają?
- Zapewne w jakiejś restauracji...
- Mnie nic nie chciała powiedzieć - przyznał wprost.
- Brian Murray okupił swoją winę - bronił Malko.
- Cholerny zasraniec...

Zamówił następnego Defendera - lepiej było nie wymawiać przy nim pewnych nazwisk. Malko modlił się, żeby Isis nie wróciła nad ranem.

Isis prowadziła swego mustanga w ślimaczym tempie, próbując dojrzeć numery domów przy Marine Drive w północnym Vancouverze. Aleja, przy której stało kilka nowoczesnych bloków mieszkalnych i małe wiejskie domki nad wodą. Na trawnikach uprawiano jogging, a dzieci grały w piłkę. Był to sielski obrazek. W końcu ujrzała zielonego volkswagena należącego do policjanta. Była na miejscu.

Zaparkowała za garbusem i weszła do małego ogródka, otoczonego drewnianym płotem. Dom miał wygląd zabaweczki z pomalowanymi okiennicami i wymuskaną dachówką. W środku paliło się światło. Zapukała do drzwi wejściowych, lecz nikt nie odpowiedział. Zauważyła, że drzwi były uchylone. To właśnie było w stylu Briana, pewnie czeka na nią w szlafroku. Podciągnęła spódnice, żeby sprawdzić, czy pończochy są dobrze naciągnięte. Specjalnie dla niego przebrała się za wampa z lat pięćdziesiątych - mocno dopasowany kostium, głęboki dekol, wulgarny makijaż i czarne pończochy ze szwami.

Niedościgłe marzenie przeciętnego Kanadyjczyka...

- Brian?

Nie było odpowiedzi. Uśmiechając się do siebie, pchnęła drzwi. Nie otworzyły się do końca, coś przeszkadzało. Musia-

ła się precyzyjnie przez szparę, żeby wejść. Pokój był oświetlony przez palące się na stole świece i lampę. Po kilku sekundach zrozumiała, dlaczego nie mogła otworzyć drzwi.

Na podłodze leżało ciało mężczyzny ubranego w czarne spodnie i białą koszulę, która przybrała szkarłatny kolor, tak była nasiąknięta krwią. Isis nie widziała nigdy nieboszczyka, ale poczuła natychmiast, że o to tu chodzi. Nie ośmieliła się spojrzeć na zabitego, ale to musiał być Brian. Przez kilka sekund była jak sparaliżowana ze zgrozy. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Przerażona, rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy mordercy tu nie ma. Kiedy mogła się już poruszać, odwróciła ciało. Nagle chwyciły ją mdłości i zwymiotowała w kuchni, obok półmiska ostryg i pasztetu z gęsich wątróbek. Brian Murray wszystko przygotował. Kiedy poczuła się lepiej, wróciła do salonu i padła na kanapę. Ręce tak jej się trzęsły, że z trudem wybrała numer w swoim telefonie.

-Malko!

Malko poczuł przypływ adrenaliny. Głos Isis nie był tym, jaki znał, zawsze gotów do żartów. Był ochrypły, drżący, słaby.

- To ja - odpowiedział - co się stało?

- On... on nie żyje - wykrztusiła.

- Nie żyje? Jak to?

- Wydaje mi się, że zginął od ciosów noża. Wszędzie jest pełno krwi, to straszne, boję się. Niech pan jak najszybciej przyjedzie!

-Adres?

- 176, Marine Drive w północnym Vancouverze. Przyjedzie pan?

- Tak - obiecał Malko. - Proszę niczego nie ruszać.

Chwycił browninga, wsunął go za pasek i zażądał u portiera podstawienia samochodu. Całe szczęście, że Simon Levine poszedł przeżuwać w samotności swoją zgryzotę. Aby dotrzeć do północnej części miasta, musiał przejechać przez Stanley Park. Gdyby Lion's Bridge nie był zamknięty, wystarczyłby kwadrans... Przecinając olbrzymi park, zastanawiał się, co mogło się stać.

Dwadzieścia minut później zatrzymał się na Marinę Driye pod numerem 176, zaraz za mustangiem Isis. Odbezpieczył broń, przeszedł przez ogród i pchnąwszy drzwi, krzyknął:

- Isis, to ja!

Mdły odór krwi uderzył go w nozdrza. Przed sobą miał Isis, skurczoną na kanapie i zagubioną. Dokładnie naprzeciw leżały zwłoki Briana Murraya. Podniosła się i rzuciła w jego ramiona, drżąc jak liść.

- To strasne, strasne, wyjąkała. Kto mógł to zrobić?

- Nie wiem tego - odrzekł Malko. - Niech pani się uspokoi.

Usiadła, wyjęła papierosa, a on podał jej ogień. Przyjrzał się zwłokom, nie dotykając ich. Brian został zadźgany nożem. Otrzymał około tuzina ciosów, wszystkie w plecy. Nie było śladów walki. Musiał otworzyć drzwi mordercy, sądząc, że to Isis.

Tego morderstwa nie należało raczej przypisywać Kanadyjczykom. Wyglądało to na chińską odpowiedź na komunikat Ottawy. Oznaczało również, że ktoś spośród Kanadyjczyków wyjaśnił Chińczykom, jaką rolę odegrał Brian Murray w zmianie decyzji rządu kanadyjskiego. Nie będąc może świadomym, że dla Briana Murraya oznacza to wyrok śmierci.

Ujął Isis za rękę.

- Chodźmy.

- Nie wezwiemy policji?

- On nie żyje. Lepiej nie być w to zamieszany. Policja i tak go znajdzie. Pokój jego duszy.

Kiedy wychodzili, nagle rzuciła się Malko w objęcia, skarżąc się jak dziecko:

- Mój Boże, jak ja się bałam! Myślałam, że umrę!

Malko poczuł, jak wiotczeje mu w ramionach i bał się, że straci przytomność. Ale ciało Isis nagle zmieniło taktykę i jego ruchy nie miały już nic wspólnego z przerażeniem. Po chwili pojął, że Isis w sposób niedwuznaczny ociera się o niego. Ich spojrzenia się spotkały, oczy młodej kobiety miały dziwny wyraz, daleki, płynny.

- A ja zrobiłam się na bóstwo! - wyszeptła.

- Zawsze pięknie pani wygląda - zapewnił ją Malko. - Chodźmy, lepiej stąd pójść.

Isis nie odrywała się od niego. Powiedziała głębokim głosem:

- Chcę się kochać, tu i teraz. Taka sytuacja nigdy się nie powtórzy.

Ze wzrokiem utkwionym w swym martwym kochanku, Isis ocierała się łagodnie o Malko, balansując zmysłowo ciałem. Przestał już nawet czuć zapach krwi. Teraz i jego ogarnęło podniecenie, a Isis natychmiast perwersyjnie to podchwyciła:

- Ciebie też to podnieca?

Za długo byłoby jej tłumaczyć, że to kontakt z jej ciałem, a nie obecność nieboszczyka wywołuje taki efekt. Odwrócił ją, żeby nie patrzeć na martwego Briana Murraya, i oparł o stół, przygotowany do kolacji zakochanych. Isis zaczęła go całować, jej biodra drgały. Wsunął rękę pod spódnicę i przesuwając ją do góry, aż natrafił na odkryty seks, gotowy na jego przyjęcie. Isis wyszeptła tonem usprawiedliwienia:

- Chciałam mu zrobić niespodziankę i nie włożyłam bielizny.

Kiedy Malko zaatakował ją z wystudiowaną brutalnością, zamknęła oczy. Szybko osiągnęła orgazm, który wstrząsał jej ciałem jak wyładowania elektryczne.

- Poczekaj! -jęknęła. - Poczekaj!

Jak tonący chwytła się deski, zaczęła zdejmować z niego części garderoby, aż pozbyła się tego, czego chciała. Opadła na niebieski wełniany dywan. Przez kilka minut pieściła go oralnie, potem podniosła oczy.

- Kochaj mnie tutaj, na podłodze, obok niego.

Leżała już na plecach z podciągniętą spódnicą, z rozrzuconymi, obciążniętymi czernią nogami. Malko zagłębił się w niej jednym ruchem, wgniatając ją w dywan. Isis, jęcząc, wczepiła się w niego. Malko czuł pod sobą jej gwałtownie poruszające się biodra i sądził, że zaraz osiągnie szczyt. Ale ona odepchnęła go z błagalnym wyrazem twarzy:

- Poczekaj, połóż się!

Wystarczył jeden ruch, Isis otoczyła go kolanami, dosiadła i oparła jego dłonie na swoich biodrach.

- Teraz tak się będziemy kochać! - odpowiedziała.

Wyprostowana, z burzą włosów wokół twarzy, ocierała się o niego w obłądnym tańcu. W oczach miała szaleństwo, usta otwarte. Szybko osiągnęła orgazm, który wyrwał jej z głębi ciała dziki okrzyk. Opadła na Malko ze wzrokim utkwionym w zamordowanym, leżącym kilka centymetrów od nich.

- Nigdy nie doznałam takiej rozkoszy.

Sytuacja była delikatna. W każdej chwili ktoś mógł wejść, Malko odepchnął ją, jeszcze oszołomiony. Jemu także po raz pierwszy zdarzyło się uprawiać miłość obok zmarłego. Pomógł isis wstać, a ona skierowała się do wyjścia. Zatrzymała się w ogrodzie, z głową uniesioną ku nielicznym, widocznym na niebie gwiazdom.

- Nogi mi się trzęsą! - westchnęła oparta o niego. - Simon nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Zapragnęłam tego w chwili, gdy pan tu przyszedł. Wtedy przestałam się bać i przypomniałam sobie, po co tu przyszłam.

- Jest pani w stanie prowadzić? - zapytał Malko.

- Chyba tak.

- Więc tu się rozdzielimy. Lepiej nie mówić o niczym Simonowi. Dowie się o wszystkim z gazet...

Isis zmierzyła go wzrokiem.

- Brzydzisz się mną?

Malko uśmiechnął się dwuznacznie.

- Niestety, nie do końca.

W oczach Isis zapłonęła iskierka gniewu. Przybliżyła twarz do jego twarzy i rzuciła:

- Przed chwilą byłeś szalenie podniecony, kiedy penetrowałeś moje ciało... Wtedy się nie brzydziłeś!

Odwróciła się gwałtownie i oddaliła wielkimi krokami. Malko patrzył, jak wsiada do samochodu. Cierpienia Simona Levine'a nie będą miały końca.

Chińczycy szybko zareagowali. Nawet bardzo szybko. Jeśli w najbliższym czasie nie uda im się wywieźć Li Shatina, skończy jak Brian Murray. Nie ma sekundy do stracenia, zanim ludzie Pekinu nie zastawią ostatecznej, śmiertelnej pułapki.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czołówka „Vancouver Sun” zajmowała osiem kolumn. Była tam kolorowa fotografia ciała Briana Murraya okrytego zielonym płótnem w jego salonie, a także mały portret w ramce.

„RCMP superintendent stabbed to death”¹ - brzmiał tytuł w dzienniku. Morderstwo zostało odkryte około północy przez patrol policyjny, zaintrygowany tym, że drzwi były otwarte. Ofiara otrzymała ponad piętnaście ciosów. Wstępne oględziny wskazywały na to, że zabójców było dwóch. Nikt niczego nie słyszał i gubiono się w domysłach, co mogło być powodem tak brutalnej zbrodni. Oczywiście jeden z dzienników przypomniał sprawę raportu „Sidewinder” i odsunięcia Briana Murraya. Z drugiej strony, podano oficjalny komunikat Ottawy z oświadczeniem, że sprawa raportu została dawno zapomniana, a Brian Murray ponownie wcielony do służby.

Simon Levine odłożył gazetę i skrzywił się.

- Kanadyjczycy muszą się czuć nie najlepiej... Chińczycy przecież nie odgadli sami z siebie roli, jaką Brian odegrał w naszej sprawie.

- To morderstwo jest dowodem, że Chińczycy nie opuścili rąk, pomimo ostatnich porażek. Jest w naszym interesie, aby

Komisarz główny policji konnej zginął od ciosów noża.

dokonać jak najszybciej niemożliwego i wywieźć Li Shatina z Kanady.

Simon Levine wyjął z teczki plik dokumentów i podał go Malko.

- Oto oficjalna zgoda Departamentu Stanu na imigrację Li Shatina do Stanów Zjednoczonych. Niemał zaproszenie! Do tego dołączony został oficjalny list, stwierdzający, że od momentu przekroczenia granicy zapewniamy mu bezpieczeństwo. Ponadto gwarancja, że nikt nie będzie kwestionował pochodzenia kapitałów, które rozmięścił w krajach uchodzących za raje podatkowe.

Racja stanu usprawiedliwiła wszystko. Malko wziął dokumenty i zauważył:

' - Nie ma tu żadnej wzmianki o tym, czego oczekujecie od niego ?

Simon Levine uśmiechnął się chytrze.

- Najpierw trzeba go mieć pod kluczem. Nasi analitycy popracują nad nim, jak już będzie bezpieczny. Kiedy zobaczy się pan z jego adwokatem'

- Dzisiaj jem z nim lunch - powiedział Malko - w Vancouver Hotel. A propos, co dzieje się z Jesusem Domingo? Przerzut się udał?

- Jest w Los Angeles i czeka, aż załatwię mu zieloną kartę. Chce zakupić farmę w Oregonie.

Skuteczne dokonanie zabójstwa może człowieka daleko zaprowadzić.

* * *

W olbrzymiej sali restauracyjnej najszykowniejszego hotelu w Vancouverze panowała uroczysta atmosfera. Sonny Chai i Malko zajmowali stół w kącie najbardziej oddalonym od baru. Nastrój był do tego stopnia pompatyczny, że człowiek miał ochotę mówić szeptem. Trzy stoliki dalej jakiś

samotny klient jadł z roztargnieniem, czytając „New York Timesa”.

Malko, mając się na baczności, położył swojego brownin-ga na krześle obok i przykrył go egzemplarzem „Vancouver Sun”. W zasadzie Chińczycy nie mieli powodu, żeby go zabi-jać, chyba że z zemsty... Pan Chai odłożył plik dokumentów ostemplowanych pieczęcią „State Departament”, odkroił ka-wałek mięsa i zauważył z niewinnym uśmiechem:

- Ta oferta wydaje się być niebywale wspaniałomyślna, wypływająca z wielkiej tradycji demokratycznej Stanów Zjednoczonych.

- Zdecydowanie - potwierdził Malko, zastanawiając się, do czego Chińczyk zmierza.

- A przecież -- ciągnął ten ostatni - Kanadyjczycy uważają Li Shatina za pospolitego przestępcę, podobnie jak władze Pekinu. Czy przyjmując mojego klienta u siebie nie ryzykujecie politycznego skandalu?

Malko nie mógł powstrzymać uśmiechu. Stosunki pomiędzy Chinami i Stanami Zjednoczonymi są zasadniczo różne od tych pomiędzy Kanadą i Chinami. Ani Kongres, ani prasa nie będą się mieszać do tej czysto admini-stracyjnej sprawy. Pan Li Shatin otrzyma z miejsca status uchodźcy politycznego, co stawia go poza zasięgiem jakich-kolwiek zakusów jego rodzinnego kraju, zmierzających do ekstradycji. Dowodzą tego dokumenty, które panu wręczy-łem. To nieodwołalne.

Sonny Chai przeżuwał tak powoli, jakby był bezzębny. Kiedy czekali na kawę, powiedział spokojnym głosem:

- Widzę, że za takie przyjęcie nie oczekujecie od pana Li Shatina niczego w zamian.

- A czego moglibyśmy oczekiwać? Tu chodzi o akcję hu-manitarną, o przyjsście z pomocą człowiekowi prześladowa-nemu przez komunistyczny reżim... Ma pan ochotę na ko-niak?

Znając słabość Chińczyków do francuskiego koniaku, Malko zamówił dla adwokata Otard XO. To ułatwi zakończenie dyskusji.

- Mój klient, zanim przyjmie waszą ofertę, życzyłby sobie złożyć publiczne oświadczenie, iż nie uczyni niczego przeciwko swej ojczyźnie. Czy to nie nastarczy problemów?

- Najmniejszych - zapewnił Malko z niewzruszonym spokojem.

Usatysfakcjonowany pan Chai upił nieco koniaku. Wyścig będzie trudny, a medal zdobędzie sprytniejszy kłamca... Obaj wiedzieli, czego się trzymać, lecz należało zachować pozory. Prowadzili spokojną rozmowę dopóki Chińczyk nie skończył koniaku, potem włożył dokumenty do teczki.

• - Przekażę to memu klientowi - oświadczył. - 1 spróbuję zorganizować spotkanie.

-• Im wcześniej, tym lepiej - sprecyzował Malko.

- Weźmiemy tłumacza - zaproponował pan Chai - żeby nie dopuścić do powstania nieporozumień.

* * *

Isis chciała koniecznie wziąć udział w pogrzebie Briana Murraya, w którym, oprócz matki, uczestniczyli sami policjanci. W śledztwie nie było żadnych postępów. Zabójstwo Briana Murraya pozostanie zagadką, podobnie jak zniknięcie Victora Changa. Lecz nie dla wtajemniczonych. Od spotkania z panem Chai minęły dwa dni i Simon Levine, popędzany przez Waszyngton, czuł się jak na rozżarzonych węglach. Stosunki z Kanadyjczykami zostały całkowicie zerwane. Li Shatina uwolniono i zamieszkał ponownie w swoim mieszkaniu w Burnaby. Jakby cudem pojawił się tam też „Czarny Duch” Ming i nie opuszczał go ani na chwilę. Było jasne, że Kanadyjczycy nie zorientowali się, iż był obecny na miejscu strzelaniny przy Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej Alei. Na miej-

scu było też dwóch goryli z Intercom Security, obarczonych jego ochroną z ramienia rządu, Li Shatin był więc stosunkowo dobrze chroniony przed próbami zabójstwa ze strony Guangbu.

Isis, która odgrywała rolę wdowy z pełnym przekonaniem, cała w czerni, ziewnęła i zapytała Simona Levine'a:

- Czy długo jeszcze zostaniemy w tym mieście, kochanie? Mam przesłuchanie u pewnego producenta w Hollywood, on wierzy we mnie.

- Wkrótce stąd wyjedziemy - uspokoił ją Amerykanin - ale to nie od nas zależy.

Malko nie wiedział, jaką bajeczką poczęstowała go Isis po wieczorze w domu Briana Murraya, ale przeżywali znów miodowy miesiąc...

Zadzwoił telefon Malko. Poznał uprzejmy głos Sonny Chai.

- Mój klient zgadza się na spotkanie dzisiaj o siedemnastej - oświadczył chiński adwokat. - Spotkamy się przy wejściu do Crystal Court.

* * *

Kiedy Malko ujrzał, jak Sonny Chai zatrzymuje się przed Crystal Court, poczuł ogromną ulgę. Obaj z Simonem Levine czekali na niego już od kwadransa. Adwokat przybył w towarzystwie wiekowego tłumacza. Malka podniósł wzrok na elewację budynku, paskudną z powodu zielonych zasłon, upodabniających go do pływackiego basenu.

Tłumacz zapowiedział ich wizytę przez domofon, wjechali na siedemnaste piętro. Nad drzwiami wejściowymi do mieszkania gości filmowała kamera. Sonny Chai zadzwonił, rozległ się głośny szczeł otwieranych zamków i w drzwiach pojawił się osiłek w podkoszulku, z kfirabinem uzi w rękę, przypominający Malko Chrisa Jonesa, z uwagi na potężne bi-

cepsy. Przedpokój był maleńki, szybko więc znaleźli się w niewielkim, źle oświetlonym saloniku.

Uśmiechnięty Li Shatin siedział za biurkiem, ubrany w podkoszulek i spodnie. Podniósł się i długo ścisnął dłonie swoich gości, wymawiające jakieś chińskie słowa.

- To słowa powitania - wyjaśnił adwokat.

W każdym razie Li Shatin nie żywił urazy. Ostatnim razem widział przecież Malko w trakcie próby porwania przez ludzi CIA. Malko ujrzał go oczami wyobraźni ze sterczącą z ramienia strzykawką. Jak widać, incydent poszedł w niepamięć.

Usadowili się naprzeciw biurka i adwokat rozpoczął czytanie dokumentu wydanego przez Departament Stanu, a tłumacz stopniowo go przekładał.

■ Osilek wycofał się do przedpokoju wraz ze swoim uzi. Malko zaczynał wierzyć, że są u progu sukcesu. Odczyty wan ie i tłumaczenie trwało prawie godzinę. Potem głos zabrał Li Shatin.

- Mówi, że nie chce zrywać ze swoim krajem - przekładał tłumacz - że prowadzi tam nadal interesy, zwłaszcza w Hongkongu, i że nie ogłosi publicznie żadnego oświadczenia skierowanego przeciwko Chinom.

- Nigdy nie zażądamy od niego podobnej rzeczy - stwierdził z godnością Simon Levine, niemal z ręką na sercu.

Li Shatin wyglądał jak wielki, drzemiący kocur. Po zakończeniu lektury zapadła cisza. Potem nastąpiła długa rozmowa po chińsku między nim a tłumaczem, który w końcu przetłumaczył:

- Pan Li Shatin pyta, czy w przyszłości będzie mógł sprowadzić do Stanów Zjednoczonych członków swojej rodziny?

Pytanie, którego nikt się nic spodziewał.

- Ta kwestia zostanie przedyskutowana w późniejszym terminie - powiedział Simon Levine. - Oczywiście okazemy przychylnie nastawienie.

Znów niezrozumiały dialog. Li Shatin miał na twarzy wciąż ten sam uśmiech. Tłumacz oświadczył:

~ Pan Li Shatin życzy sobie, by jego prośba i pańska odpowiedź zostały ujęte w protokole.

Malko wydawało się, że Simon Levine skoczy mu do gardła. Amerykaninowi udało się jednak uśmiechnąć i zapytać obojętnym tonem:

- Kogo ma na myśli pan Li Shatin? Żonę i dzieci?

Tłumacz dysponował już gotową odpowiedzią:

- Naturalnie. Lecz pan Li Shatin ma też kilku braci oraz bliską swemu sercu osobę: kobietę, która bardzo pomogła mu w interesach.

Kochanka! Simon Levine zaczynał tracić cierpliwość. Chińczycy miały miliard obywateli, wszyscy w jakimś stopniu połączeni więzami rodzinnymi, to mogło daleko sięgać. W tej kwestii nie mógł więc ustąpić.

- Ten problem muszę przedstawić swojemu rządowi. Pozostawimy ten punkt w zawieszeniu i podpiszemy dokumenty już dzisiaj.

Li Shatin roześmiał się krótko i bardzo sympatycznie. Wyglądał na uradowanego.

- Pan Li Shatin życzy sobie uregulowania wszystkich kwestii r ó w n o c z e ś n i e , oświadczył tłumacz.

Sprawa stała w martwym punkcie. Simon Levine z paczką w sercu musiał uznać swoją porażkę.

- Przedłożę tę kwestię - powiedział. - Możemy spotkać się jutro o tej samej porze? Będę miał definitywną odpowiedź.

Nastąpił angielsko-chiński dialog. Li Shatin wyraził zgodę. Wszyscy wstali, wykonali mnóstwo ukłonów i wyszli pod czujnym okiem osiłka, który zaryglował za nimi drzwi. Simon Levine kipiał ze złości. Zaczepił adwokata:

- Pański klient nie zdaje sobie chyba sprawy z tego, jaką przysługę oddaje mu amerykański rząd! Nie powinien przeciągać struny.

Sonny Chai zaśmiał się bardzo po chińsku, uprzejmie i jednocześnie surowo.

- Sądzę, że rząd amerykański ma w tym swój interes - powiedział ciekim głosem. - Pekin straci twarz. Ponadto we wszystkich krajach praktykuje się łączenie rodzin. To zasada humanitarna...

- A propos, czy wiadomo panu - zapytał Malko - dlaczego pan Li Shatin nigdy nie poprosił o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych? To byłoby w jego interesie.

- Doprawdy, nie wiem tego - odparł adwokat. - Chyba tylko Victor Chang mógłby nam udzielić odpowiedzi. Myślę, że chciał osiąść na stałe w Kanadzie. Mówił o hodowli drobiu. Chciał zostać hodowcą.

Nadzwyczajne było to, że potrafił wypowiedzieć tę monstrualną bzdurę nie mrugnawszy okiem...

Rozstali się przy wyjściu z Crystal Court, umawiając się na dzień następny.

W samochodzie Malko spytał Simona Levine'a:

- Na jakie ustępstwa może pan pójść?

- Dokładnie nie wiem - wyznał Amerykanin - ale niezbyt duże. Jego dzieci - zgoda, żona - także, ale co do reszty... Może nam przedstawić byle kogo jako swego brata. Odnoszę wrażenie, że blefuje. To groźny przeciwnik w negocjacjach. Kandydyżyków nigdy o to nie prosił. Wyczuł nasz „miękki brzuch” i chce to wykorzystać.

- Miejmy nadzieję, że jutro rozegramy ostatnią rundę! - westchnął Malko.

Spieszno mu było opuścić Vancouver pełen deszczu i Chińczyków. Jediną zaletę tego miasta stanowiła Isis, ale

i ona wyjeżdżała. Malko podsumował:

-Jestem tego samego zdania, co pan. Nie można ulegać szantażowi. Li Shatin niema wyjścia: wie, że tutaj, wcześniej czy później. Chińczycy go dopadną i że taka okazja już się nie powtórzy.

- Oby Bóg pana wysłuchał! - odrzekł Simon Levine. - Zaplanowałem uroczystość z okazji zwycięstwa w *Top of Vancouver*. Mimo wszystko pójdziemy. To sprawi przyjemność Isis.

Widok na Vancouver zapierał dech w piersiach, ale smak potraw odbierał apetyt. Restauracja *Top of Vancouver*, usytuowana na dachu wieżowca stojącego na rogu Hastings i Richards Street, była miejscową atrakcją turystyczną. Od dziesięciu minut Isis znęcała się nad swoim stekiem z bizona, który dałby się pokroić chyba tylko piłą mechaniczną. W końcu zrezygnowała i zamówiła u oburzonego *maitre d'hotel* omlet; stek był specjalnością zakładu. W czerwonej sukni z wycięciem w karo, włosami splecionymi w dwa warkocz, przypominała wizerunek Lolitki z piekła rodem, przesadnie afiszującej się swą namiętnością do Simona Levine'a. Ten połykał po omacku niejadalne dania, podawane z komicznym namaszczeniem. Od czasu do czasu Isis rzucała jednak płomiennie spojrzenie Malko, żeby nie wyjść z sprawy. Uściski, jakim oddali się w obecności ciepłych jeszcze zwłok Briana Murraya pozostaną w jego życiu czymś niezwykłym. Krótka trzymana, Isis mogłaby być dla CIA rzecznikiem jeszcze skuteczniejszym od Mandy La Salopę, która od pewnego czasu ustatkowała się. Była kapryśniejsza i trudniejsza do prowadzenia, ale miała w sobie nieskończenie więcej wyobraźni i przewrotności. A tych dwóch cech nie znajduje się na ulicy.

- Pójdziemy potańczyć? - zasugerowała przy deserze.
-Tańczyć!

Simon Levine stracił humor. Jeśli Isis raz wyruszy na polowanie, można spodziewać się najgorszego. Malko pośpieszył rozbroić bombę.

- Najpierw oblejemy nasze quasi-zwycięstwo szampanem - zaproponował.

Zawołał kelnera i zamówił wielką butlę Taittingera Comtes de Champagne Blanc de Blancs 1995. Przyniesiono ją niemal pod honorową eskortą, co wydawało się normalne, zwa-

żywszy zafakturowaną cenę. Kiedy z butli zaczęły ulatywać wesołe bąbelki, Isis zapomniała o zamierzonych tańcach. Podniecona szampanem, pod koniec posiłku pochyliła się ku Simonowi Levine i zagłębiła mu w ustach ostry języczek, prosząc go o wybaczenie wszystkich przykrości przeszłych i przyszłych, na jakie go naraziła.

Pieszcząc jednocześnie pod stołem Malko bosą stopą.

Niepoprawna.

Schłodzony szampan napelnił Malko euforią. Odżył po wszystkich dramatycznych przejściach w tym nudnym mieście. Zaczął się nawet zastanawiać, jakby tu odesłać Simona Levine'a do łóżka i skorzystać z zalotnego nastroju pulchnej Isis. Niestety, nie było to łatwe. Zachęcony śmiałym pocałunkiem młodej kochanki, Simon Levine marzył tylko o jednym: zejść ponownie do piekieł... Kiedy butelka była pusta, podniósł się i pociągnął ją za sobą. Gdyby wypadało, chętnie zostawiłby Malko samego.

Rozstali się w hallu Sutton Place. Tutaj obejmował ją już w pasie, żeby mu przypadkiem nie uciekła. Malko pomyślał, że gdyby to o n a prosiła o zezwolenie na sprowadzenie rodziny Li Shatina, uzyskałby prawo do ściągnięcia kuzynów aż do szesnastego stopnia pokrewieństwa i dalej.

Kiedy znalazł się przed swoim hotelem, zaczął się zastanawiać, czy spokój ostatnich diii nie zapowiadał jakiegoś podstępny ze strony Guangbu. Chińczycy albo zrezygnowali z rozgrywki, albo szykowali jakiś paskudny numer. Kilkakrotnie sprawdził machinalnym ruchem, czy jego browning znajduje się na swoim miejscu.

- Wynegocjowałem dwoje dzieci i legalną żonę - oświadczył Simon Levine, spotykając się z Malko w barze Sutton Place. - Nikogo ponadto, nawet płodu.

Był wesolutki i Malko doszedł do wniosku, że Isis musiała przechodzić kryzys dobroci. Tylko po to, żeby tym boleśniej go potem zranić, ale to stanowiło jej narkotyki. Po otrzymaniu tego dowodu stałości uczuć, Simon zdawał się płynąć na różowej chmurce. Negocjacje z Li Shatinem z pewnością zyskają na tym. Kiedy znaleźli się przy wejściu do Crystal Court, Simon Levine oświadczył adwokatowi:

- Otrzymałem od rządu amerykańskiego poważne ustępstwa, ale kiedy już nie będę się mógł posunąć dalej, powiem wprost, że sprawa jest zamknięta. Możecie to zaakceptować lub nie.

- Ze swej strony zrobię, co będę mógł, żeby przekonać swego klienta - obiecał adwokat ciekim głosem.

Powitał ich inny osilek, jeszcze bardziej „napakowany” i tak samo uzbrojony. Jak mały lotniskowiec. Malko pomyślał w duchu, że Chris Jones i Milton Brabeck mogliby zdziałać cuda w tym mieście. Wszyscy usiedli i adwokat podjął na nowo obszerną lekturę. Li Shatin cicho mruczał. Nie odezwał się, kiedy tłumacz przedstawił mu nowe ustępstwa CIA. Zamienili po chińsku kilka słów, po czym Me Chai zwrócił się do Simona Levine'a:

- Pan Li Shatin dziękuje panom za włożony trud. Od tej chwili zgadza się na przyjęcie złożonej oferty.

Nastąpiło ogólne odprężenie. Li Shatin wymienił uścisk dłoni z Malko i Simonem Levine, później rzucił kilka słów po chińsku.

- Chce wznieść toast za nową przyjaźń! - oświadczył adwokat.

- Świetna myśl - przychylił się Simon Levine, dochodząc do wniosku, że szczęśliwe wydarzenia zawsze chodzą parami.

Li Shatin zawołał i w pokoju pojawiła się nowa osoba, ich stary znajomy: „Czarny Duch” Ming ze swym nieśmiertelnym tatuażem. Popatrzył na gości obojętnym wzrokiem, jakby ich nigdy wcześniej nie widział! Wyszedł, po czym po-

wrócił niosąc pokornie tacę z kilkoma pęczakami kieliszkami i ledwie napoczętą butelką koniaku Otard XO. Chińczycy uwielbiali koniak i produkowali nawet jego imitację pod nazwą brandy, skoro oryginalna była siłą rzeczy zastrzeżona dla francuskiego produktu. Napelnił kieliszki i uniósł swój.

- Pije za swoją przyjaźń, odtąd nierozdzielna, ze Stanami Zjednoczonymi - przełożył adwokat.

Nie mieli czasu, żeby rozsmakować się w trunku. Li Shatin, jak wieśniak, wychylił kieliszek jednym haustem. Chcąc z tym już skończyć, Simon Levine poszedł w jego ślady. Chętnie połknąłby również kieliszek.

Nastąpiło złożenie podpisów i Simon Levine zadał poufne pytanie:

- Kiedy pan Li Shatin jest gotów wyjechać?

- Choćby zaraz, oświadczył Sonny Chai z kwaśnym uśmiechem. Bagaże są już spakowane.

Simon Levine nie wierzył własnym uszom. Wykrztusił:

-Doskonale! Doskonale! Nie polecimy helikopterem.

Upprzedzę tylko Kanadyjczyków, żeby nie czynili przeszkód na granicy.

Rozpływał się ze szczęścia. Li Shatin i tłumacz szeptali coś do siebie, po czym adwokat zapytał nieśmiałym tonem:

- Pan Li Shatin chciałby zabrać ze sobą ochroniarza, przynajmniej na kilka dni. Posiada kanadyjski paszport, byłby więc „legalnym” imigrantem.

Simon Levine był tak uradowany, że nie oponował.

- Damy mu wizę turystyczną na trzy miesiące - zgodził się wspaniałomyślnie. - Idziemy?

- Idziemy - przetłumaczył adwokat.

W kompletnej ciszy „Czarny Duch” Ming podniósł dwie ciężkie walizy i skierował się do wyjścia. Li Shatin włożył marynarkę. Opuszczał swoje mieszkanie, lecz nie wyglądał na nieszczęśliwego. Był już w przedpokojach, gdy zadzwonił telefon. Po krótkim wahaniu wrócił i odebrał połączenie.

Z początku słuchał nie odzywając się, później odpowiadał krótkimi monosylabami. Widząc napięcie, jakie pojawiło się nagle w jego rysach, Malko pojął, że chodzi o coś ważnego.

Rozmowa się przedłużała...

Jak na rozżarzonych węglach, Simon Levine szepnął adwokatowi:

- Proszę mu powiedzieć, żeby się pośpieszył...

Sonny Chai, po przeprowadzonej szeptem naradzie z tłumaczem, sprecyzował:

- To byłoby trudne. Telefonują do niego z Chin...

Malko doznał nieprzyjemnego uczucia niepokoju. Nie podobało mu się to. Rozmowa trwała w nieskończoność. Wszyscy zastygli w bezruchu. Malko obserwował tłumacza. Zmarszczył brwi i wyglądał na zatroskanego. On przecież rozumiał, co mówi Li Shatin... Tylko siedzący w przedpokoju „osilek” spokojnie przewracał poślinionymi palcami kartki pornograficznego magazynu „Hustler”... Atmosfera była napięta. Wreszcie Li Shatin odłożył słuchawkę.

- Teraz już chodźmy! - rzucił Simon Levine bliski wybuchu.

Li Shatin powiedział kilka słów po chińsku i „Czarny Duch” Ming podjął walizki, by wnieść je na powrót do salonu.

* * *

Malko przestraszył się, że Simon Levine dostanie zawału.

- Co to ma znaczyć? - zaczerwienił się ze złości Amerykanin.

Li Shatin wypowiedział długie zdanie, które tłumacz przełożył natychmiast niepewnym głosem:

- Pan Li Shatin zdecydował, że na razie nie opuści granic Kanady.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Simon Levine zrobił się fioletowy na twarzy. Jego i tak już duży nos wydawał się dwa razy większy.

- Co on powiedział? - zgrzytnął zębami. - Nie chce już wyjeżdżać? Kiedy wszystko zostało przygotowane? Więc czego chce? Gwiazdki z nieba?

Pienił się z wściekłości. Adwokat próbował go uspokoić cieniutkim głosem:

- Nie, pan Li Shatin nie chce gwiazdki z nieba. Po prostu potrzeba mu czasu. Jeden z jego braci, Sui Cjuianglai, otrzymał od władz chińskich zezwolenie na złożenie mu wizyty w Vancouverze. Ma przybyć pojutrze. Li Shatin musi się koniecznie z nim zobaczyć.

- Co potem?

- Potem - stwierdził adwokat - pan Li Shatin uda się do Stanów Zjednoczonych, jak to zostało uzgodnione. Chodzi tylko o niewielkie przesunięcie w czasie.

„Króciutkie przerwy zazwyczaj się przeciągają” pomyślał nieufnie Malko... Zagłębiony w fotelu Li Shatin był myślami gdzie indziej. Simon Levine czekał na cud.

- Czemu ten brat nie odwiedzi go już w Stanach Zjednoczonych? - zapytał. - Tak byłoby prościej.

Widać jednak tak nie było, ponieważ po przetłumaczeniu pytania, adwokat odpowiedział krótko, że to nie będzie możliwe.

- Jaki jest powód tej wizyty? - nalegał Amerykanin.

Nastąpił niezrozumiały dialog i tłumacz wyjaśnił:

- To sprawa rodzinna. Wszystko zostanie szybko załatwione i pan Li Shatin wyjedzie razem z wami.

Nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z sytuacją. Malko zadał ostatnie pytanie:

- Kiedy dokładnie przybędzie brat pana Li Shatina?

•- Pojutrze, lotem z Hongkongu - odrzekł adwokat. - Teraz mój klient pragnie zostać sam, żeby zadzwonić do brata i ustalić szczegóły wizyty. Pozostanę z panami w kontakcie. Za trzy dni będziemy mogli wyjechać - dorzucił uspokajającym tonem.

Nie pozostawało im nic innego, jak wycofać się. „Osilek” skończył już prawie przeglądać „Hustlera”, obojętny wobec dramatu, który rozgrywał się obok. „Czarny Duch” Ming zaniósł walizki do sypialni i Li Shatin powiedział mu w roztargnieniu „do widzenia”. Był mocno zaszępiony po tej nieoczekiwanej rozmowie. W windzie Simon Levine wybuchnął na dobre.

- To zdrada! Robi nas w konia! Trzeba go było zabrać siłą!

- Raz już próbowaliśmy - przypomniał Malko - bez powodzenia. Obserwowałem Li Shatina w trakcie rozmowy. Nie odgrywał komedii, był zbulwersowany. Zastanawiające, co może się kryć za tym „gestem” chińskich władz. Przecież kiedy ten brat znajdzie się w Vancouverze, może także poprosić o azyl polityczny. To z całą pewnością jakiś podstęp Guangbu. Ale jaki? Najpierw trzeba się dowiedzieć, o której przylatuje i nie spuszczać go z oka. To będzie pewniejsze niż pozostawienie sprawy w gestii Sonny Chaia.

- Dowiem się czegoś w Hongkongu - obiecał Simon Levine. - Mamy jego nazwisko. To już coś. Spotkamy się w Sutton Place.

Nad Vancouverem wyjątkowo świeciło piękne słońce i Malko był w doskonałym humorze. Myśl o wyjeździe z Kanady do Stanów w towarzystwie Isis była całkiem przyjemna.

Kiedy wszedł do restauracji w Sutton Place, zobaczył Simona Levine'a przy stoliku obok bufetu i po jego minie zaraz poznał, że coś nie gra. Amerykanin uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

- Isis nie chciała czekać. Pojechała do Los Angeles zobaczyć się z producentem - oświadczył ponurym głosem.

Malko poczuł ulgę, lecz powstrzymał uśmiech. Chodziło więc tylko o kłopoty sercowe szefa misji CIA.

- To normalne, że troszczy się o swoją karierę - zauważył.
- Tam się spotkacie...

Simon Levine rzucił mu wymowne spojrzenie.

- Znam tego producenta. Ostatnim razem, kiedy się z nim widziała, o mało co nie przeleciał jej na własnym biurku. Spotkania wyznacza oczywiście u s i e b i e .

- Isis przekroczyła już wiek, w którym dziewczęta pozwalają się gwałcić. Nie ma się czego obawiać.

Prawdopodobnie sama ułożyła się na tym biurku. Simon Levine utopił część swych smutków w podwójnym, pięcioletnim Defenderze i ciągnął jeszcze bardziej ponuro:

- Co do Chińczyków, miał pan rację! Ludzie z Hongkongu wykonali dobrą robotę. Brat Li Shatina przylatuje linią Cathay Airlines, lot 654, pojutrze o 11.45. Sęk w tym, że nie sam...

- To znaczy?

- Leci także dwóch agentów Guangbu z Hongkongu... To z pewnością nie jest zbieg okoliczności. Mają paszporty wystawione w Hongkongu i papiery handlowców, mogą więc bez trudu dostać się do Kanady.

-- Trzeba ich śledzić od momentu przylotu - doradził Malko. - Ale jak ich rozpoznać, skoro Li Shatin nie wyjdzie na spotkanie?

- Znajdzie się jakiś sposób - obiecał Amerykanin. - Jak na przykład wezwanie przez megafon. Nie mogę powiadomić Kanadyjczyków o istnieniu tych agentów, o których widocznie nic nie wiedzą. Wszystko musi zostać w rodzinie.

- To normalne, że mu towarzyszą - zauważył Malko. - W ten sposób mają pewność, że wróci.

Amerykanin pokiwał głową.

- Mają na to inne sposoby. To nie to. Tym bardziej, że obaj są bardzo wysoko postawieni w hierarchii tajnych służb chińskich. To nie są żołnierze. Jeden z nich jest numerem dwa w swojej prowincji, a drugi kurierem Pekinu. Grube ryby, które nie pokonują oceanu, żeby napić się herbaty. Ciekawym, jaki podstęp szykują.

- Niebawem się dowiemy.

* * *

Samolot Cathay Airlines wylądował i podkołował do wyjścia C 27. Prawie punktualnie, chociaż lot trwał piętnaście godzin. Po dwudziestu minutach pojawili się pasażerowie. Simon Levine i Malko zajęli stanowiska przy taśmie bagażowej, obok rezerwacji hotelowej. Malko wytłumaczył hostessie, że czekają na kogoś, kto ich nie zna i zgodziła się na ogłoszenie przez megafon. Nagle Malko poskoczył, widząc w tłumie znajomą twarz.

„Czarny Duch" Ming, łatwo rozpoznawalny dzięki tatuażom, czytał gazetę, stojąc dwadzieścia metrów dalej. Nie zauważył ich... On z pewnością rozpozna bez trudu brata Li Shatina, skoro jest tak pewny siebie. Simon Levine i Malko wycofali się z ogłoszenia przez megafon. Pół godziny później zaczęli wychodzić pasażerowie lotu z Hongkongu.

Prawie wyłącznie Chińczycy. „Czarny Duch” Ming złożył gazetę. Zobaczyli, że kieruje się w stronę, młodego, uczesanego najeża Chińczyka, ubranego w ciemny garnitur, o mięsistej twarzy. Obaj mężczyźni zamienili kilka słów i odeszli na bok. Podróżny miał tylko niewielką walizkę, przeznaczoną na krótki pobyt. Pod tym względem Li Shatin miał rację-

Czekali, nie odchodząc. Kilka minut później podeszło do nich dwóch bardzo szczupłych Chińczyków około pięćdziesiątki, w okularach, o surowych rysach. Oni też nie mieli dużych bagaży.

- To faceci z Guangbu - szepnął Simon Levine.

Krótką wymiana zdań szeptem i „Czarny Duch” Ming odszedł. Dwóch agentów i brat Li Shatina skierowali się do postoju taksówek. Simon Levine pobiegł wyprowadzić samochód z parkingu. Na szczęście przed postojem ustawiła się kolejka. Malko siedł za Chińczykami. Nie rozmawiali ze sobą i nikt nie zwracał na nich uwagi. Służby kanadyjskie nie wiedziały więc o ich przybyciu. Kiedy wsiadali do taksówki. Simon czekał już na sąsiednim pasie. Oba pojazdy wjechały *na freeway*, prowadzącą do lotnisko, łączącą się z drogą 99. Po wjeździe na skrzyżowanie autostrad, z którego można było opuścić Sea Island, na której znajdował się port lotniczy, taksówka pojechała w kierunku Moray Bridge, na południe zamiast na północ. Nie jechali więc do Vancouveru.

N&freeway ruch odbywał się bez przeszkód. Nie jechali nią długo, taksówka skręciła w prawo. Pięć minut później pojazd z trzema Chińczykami zatrzymał się przed zbudowanym na łonie natury hotelem Delta. Malko ujrzał ich ponownie jak kierowali się do recepcji. Pokoje musiały być zarezerwowane, bo bardzo szybko poszli do windy. Podejmując umiarkowane ryzyko, Malko wsiadł razem z nimi.

Trzy minuty później wiedział już wszystko, co chciał. Brat Li Shatina miał pokój 808, a dwaj pozostali Chińczycy 806

i 810. Był otoczony. Podbudowany, Malko zszedł na dół, gdzie Simon Levine gryzł już palce z niecierpliwości.

- Wezmę tu chyba pokój - zasugerował Malko. - Tak będzie najwygodniej. Proszę zostać, a pojedę do Hyatta po swój bagaż. Musimy być świadkami braterskiego spotkania...

Odjechał taksówka, zostawiając Amerykaninowi samochód i za czterdzieści minut był już z powrotem, dokonawszy uprzednio rezerwacji. Poprosił o pokój na ósmym piętrze i dostał numer 829. Świetnie się składało. Teraz wystarczyło czekać. Zdecydowali, że na zmianę będą pilnowali barn.

* * *

Około piątej pojawił się brat Li Shatina wraz z dwoma agentami Guangbu. Od momentu przybycia, po raz pierwszy opuścili pokoje. Trzeba przyznać, że piętnastogodzinny lot w klasie ekonomicznej może dać się we znaki. Usadowili się w salce przy barze i zamówili herbatę.

Malko i Simon Levine pełnili wartę na zmianę, bardzo dyskretnie. Kiedy Amerykanin trzymał straż na parkingu, zajęła tam długa, czarna limuzyna, z której wysiadł Li Shatin

i jego nieodłączny goryl „Czarny Duch” Ming. Obaj mężczyźni dołączyli do pozostałych w małej salce. Zaczęła się rozmowa. Pojawił się Simon Levine. Widzieli z daleka, że spotkanie było bardzo ożywione. Nawet gdyby usiedli bliżej, nic by to nie dało: konwersacja toczyła się po chińsku.

Po godzinie sytuacja nie uległa zmianie. Li Shatin był bardzo spięty i nerwowy, co chwila przesuwał ręką po króciutkich włosach.

W pewnej chwili Malko ujrzał, jak jeden z agentów Guangbu wyjmuje z teczki dokument i podaje go Li Shatinowi. Wtedy tamten wstał, by zadzwonić z telefonu komórkowego.

Brat Li Shatina milcząco siedział w kącie i wyglądał na zupełnie nie zainteresowanego dyskusją. Czy chodziło tu o zwykłe zmęczenie czy o coś innego?

Malko przeszedł przez salę, żeby udać się do toalety. Wtedy jego wzrok padł na kobietę, wchodzącą przez drzwi obrotowe. Smukła Chinka krótko ostrzyżona, w ciemnych okularach, ubrana w skórzaną marynarkę i spodnie, przepasana szerokim pasem.

Malko przyjrzał się jej, jak każdej innej ładnej kobiecie, kiedy coś go uderzyło i stanął jak wryty. Była to Ling Sima, zachwycająca dziewczyna będąca agentem Guangbu, którą spotkał niegdyś w Hongkongu! Ta sama, która pomogła mu w uwolnieniu Jeffreya Coxa, amerykańskiego zakładnika Jolo i z którą przeżył krótką przygodę miłosną.

Co mogła tu robić?

Ona również go zauważyła. W naturalny sposób podeszła i wyciągnęła długą, szczupłą dłoń.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedziała, jakby rozstali się wczoraj.

Malko zatrzymał jej dłoń w swojej nieco dłużej niż należało. Miał mieszane uczucia. Z jednej strony miło było spotkać kobietę, z którą kiedyś cudownie się kochał, a także dzielił niebezpieczeństwo. Znał niepoślednią rolę, jaką pełniła w tajnych operacjach Guangbu. Jej obecność tutaj z pewnością nie była przypadkowa.

- Nie spodziewał się pan mnie tu zobaczyć - uśmiechnęła się.

- W istocie - przyznał Malko. - Od dawna jest pani w Vancouverze?

- Od kilku godzin. Musiałam odpocząć, bo podróż z Bangkoku jest bardzo męcząca.

- Przyleciała pani liniami Cathway? - Nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Nie. American Airlines, wczoraj wieczorem. J a wiedziałam, że pana tu spotkam.

Jej oczy błyszczały sprytem. Pomyślał, że jest ciągle tak samo podniecająca, pomimo metalicznego brzmienia głosu. Usadowiony w kącie Simon Levine przyglądał się, zaskoczony, temu nieoczekiwanemu powitaniu. Malko otrząsnął się.

- Podejrzewam, że teraz ma pani coś do zrobienia powiedział z uśmiechem. - Ale wieczorem możemy razem zjeść kolację.

Ling Sima nie udawała nawet, że się zastanawia.

- Z wielką przyjemnością. Gdzie?

- Czy odpowiadałoby pani o dziewiątej w barze Gerard hotelu Sutton Place przy Burard Street?

- Chętnie. Do zahaczenia.

Malko patrzył jak wchodzi do salki, w której czekało na nią pięciu Chińczyków. Wszyscy wstali, a dwaj agenci Guangubu zgięli się wpół w ukłonie. Malko był zmuszony przebrać obserwację. Simon Levine wystrzelił jak z procy:

- Zna pan tę Chinę? - zapytał ciągle zdumiony. - Kim ona jest?

Malko pozwolił sobie na sarkastyczny uśmiech.

- Jednym z najwartościowszych agentów Guangubu... Przyjechała prosto z Bangkoku. Najprawdopodobniej by zamknąć sprawę Li Shatina. Pozostali dwaj są jej podwładnymi. Ona rozmawia bezpośrednio z Pekinem. Wkrótce będę wiedział coś więcej: wieczorem jem z nią kolację.

Jego życie prywatne należało do niego. W oczach Amerykanina wyczytał zwątpienie w istnienie Boga.

- Je pan z nią kolację! - powtórzył jak papuga. - Czy ona wie, że zajmuje się pan sprawą Li Shatina?

- Wiedziała to już zanim tu przybyła. Chińczycy też potrafią posługiwać się radiem.

- Cholera! - wykrztusił Amerykanin. - A co ja mam zrobić?

- Zatelefonuje pan do Isis - poradził Malko. - To sprawi jej przyjemność, a panu przyniesie ulgę. Rozmawiając z panem nie będzie mogła broić.

- I pan w to wierzy! - odparł ironicznie Amerykanin, pozbawiony złudzeń...

Malko znowu spojrzął w stronę salki przy barze. Ling Sima, z nogą założoną na nogę, mówiła nieprzerwanie swym metalicznym głosem. Brat Li Shatina siedział skulony na krześle, a Li Shatin z głową schowaną w ramiona, jak bokser przygotowujący się na przyjęcie ciosu. To nie była łatwa rozmowa.

- Chodźmy stąd! - powiedział Simon Levine - nie ośmieszajmy się. Za dwie godziny będę wiedział o wiele więcej.

Malko zastanawiał się, czego dowie się od Ling Simy. Potrafiła być bardzo niebezpieczna i jeśli umówiła się z nim na kolację, to z pewnością nie dla przyjemności.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ling Sima rozgarniała tłum wokół baru z pewnością siebie, godną księżniczki. Malko podniósł się na powitanie. Błada cera, szkarłatne jak owoc usta, gładkie, błyszczące na kształt kasu włosy, złoty top obciskający drobne piersi i jedwabne, dopasowane spodnie, dzięki którym zdawała się mieć cztery metry wzrostu. Skropiła się perfumami i Malko poczuł ich zapach, kiedy schylił się, żeby pocałować ją w rękę.

- Szampana? - zapytał.

- Świetna myśl! - zgodziła się Ling Sima. - W Bangkoku jest na to za gorąco, ale tutaj wypiję z przyjemnością.

Zamówił u barmana butelkę Taittingera Comtes de Champagne Rosę 1995 i wznieśli kieliszki.

- Za nasze spotkanie! - rzuciła Chinka. - Wolałabym, aby odbywało się w innych okolicznościach, ale w końcu...

- A to czemu? - spytał Malko, udając zaskoczenie. - Dlatego, że tym razem nie jesteśmy po tej samej stronie barykady?...

Ling Sima odsunęła tę hipotezę niefrasobliwym gestem.

- Nie, to nie ma znaczenia. To przecież tylko gra, tyle że ja nie lubię przegrywać. Zwłaszcza za sprawą mężczyzny, który mi się podoba.

Patrzyła mu w oczy, a on widział w wyobraźni ich akt miłosny w małym saloniku na zapleczu jej sklepu jubilerskiego w Bangkoku. Wyjąwszy mataliczny głos, roztaczała wokół siebie silną aurę erotyzmu. Wrócili do szampana. Co chciała mu powiedzieć?

- Gdzie zjemy kolację? - zagadnęła.

- Jest tu doskonała francuska restauracja, po przeciwnej stronie ulicy w Vancouver Hotel. Bardzo zaciszna.

- Chodźmy więc tam, tu jest za głośno.

Kiedy szła, mężczyźni przyglądali się jej z zainteresowaniem. Miała wspaniałe tyłeczki, wysoko osadzone i krągłe pośladki stanowiły ukoronowanie nieskończenie długich nóg. W restauracji wyjęła papierosa i zapalniczkę Zippo „Slim” ozdobioną sercem. Malko wyjął ją z jej rąk i podał ogień. Złożyli zamówienie i przez kilka chwil patrzyli na siebie. On zaatakował pierwszy.

- Nie spodziewałem się, że weźmie pani udział w tej sprawie. Jesteśmy tu daleko od Bangkoku.

Ling Sima uśmiechnęła się.

- Ta sprawa jest dla nas bardzo ważna. Partia zwróciła się do mnie, abym się w nią zaangażowała. Źle się do tego zabrano.

- Dlaczego?

Wciągnęła dym.

- Li Shatin to bandyta. Zarobił mnóstwo pieniędzy dzięki skorumpowanym urzędnikom... Zamiast go straszyć, co spowodowało go do ucieczki, należało wejść z nim w układy. Gdyby publicznie zadenuncjował swoich współników i oddał część zagrabionych pieniędzy, wszystko byłoby dzisiaj w porządku. Ale nowy minister spraw wewnętrznych chciał się podpisać przed Jiang Zeminem. W rezultacie - dorzuciła z gorzkim uśmiechem - na Li Shatina czyhają dziś ludzie z CIA...

Malko pochylił twarz. To brzmiało zbyt pięknie. Z Ling Simą należało się mieć na baczności.

- Skoro jest pani w Vancouverze, to z pewnością nie po to, żeby przyjąć akt jego odstępstwa.

-- Nie, odparła Chinka, krojąc mięso. Przyjechałam obarczona konkretną misją: zmienić nastawienie Li Shatina, udowodnić mu, że nie marny wobec niego złych intencji. Jego brat, wcześniej aresztowany obecnie przebywa na wolności. Li Shatin mógłby więc powrócić, oczywiście po uiszczeniu stosownego zadośćuczynienia. Tyle że przybyłam nieco za późno...

- To znaczy?

- Przeprowadziłam z Li Shatinem długą rozmowę. Wyjaśniłam, że moje przybycie do Vancouveru ma pięć przyczyn: zobaczyć się z nim, przekazać, czego oczekuje od niego rząd, doradzić powrót do Chin i przekazanie nam informacji dotyczących niektórych prominentów, skompromitowanych udziałem w aferze przemytniczej tak, by można było ich postawić w stan oskarżenia, wreszcie - przekazać wspaniałomyślną propozycję.

- Jaką?

- Zostałam upoważniona przez Pekin do zapewnienia go, iż będzie mógł zachować część swego majątku, jeśli wróci do Chin. I że będzie dysponował, podobnie jak cała jego rodzina, paszportem uprawniającym do opuszczenia kraju, kiedy zechce.

Malko patrzył na nią uporczywie, osłupiały.

-To n i e z y k l e interesująca propozycja. Czyżby nie wyraził zgody?

Ling Sima kopnęła go pod stołem. Nieprzenikniona.

- Przybyłam po tym, jak otrzymał już propozycję od was. Wy tłumaczył mi, że nie żywi do nas zaufania. Ci imbecyle z Pekinu próbowali go zamordować, potem porwać, a w końcu nakłonić Kanadyjczyków, aby go wydali naszemu rządowi. To jasne, że jest teraz nieufny! A wam udało się go przekonać... Przysięga teraz tylko na Stany Zjednoczone. Ja osobiście wiem, czego od niego chcecie. On nie zdaje sobie

w pełni z tego sprawy. Mam tylko nadzieję, że nie wykorzystacie wszystkich atutów.

Malko potrzęsła głową.

- Dobrze pani wie, że nie mogę tego obiecać. Zresztą to nie zależy ode mnie.

Chwilę się zastanowiła, potem kiwnęła głową.

- Doprawdy? Tym razem nie jesteśmy w tym samym obozie, a pan jest niewdzięczny.

- To nie zmienia faktu, że pani jest nadal równie pociągająca - rzekł pośpiesznie Malko.

Ling Sima posłała mu drapieżny uśmiech.

- Mimo to sprawi pan, że stracę twarz...

- Przykro mi z tego powodu - zaprotestował Malko. - Czy r z e c z y w i ś c i e niczego pani nie uzyskała?

Zesznurowała usta.

- Owszem. Zgodził się przekazać mi pewne nazwiska. W zamian za odblokowanie części swojego majątku i gwarancję, że jego rodzina nie będzie prześladowana... Odmówił jednak zgody na zasadniczą propozycję. Jeśli dobrze zrozumiałam, zabieracie go pojutrze do Stanów?

Malko poczuł przyływ adrenaliny. A więc odniósł zwycięstwo. Przeciwnik to potwierdził...

- To są ustalenia poczynione przed pani przyjazdem - powiedział ostrożnie.

- Moje przybycie niczego nie zmieniło - odparowała sucho Ling Sima. - Odbylam długą i męczącą podróż na próżno. Ci dwaj imbecyle, którzy konwojowali jego brata, mogli uzyskać dokładnie tyle samo. Li Shatin nie jest wariatem i nie przestrzega żadnych zasad moralnych. Z ochotą sprzedał nazwiska swych wspólników za pieniądze. A ja marzyłam, że dostarczę go do Hongkongu. Po to tu przyjechałam.

Przerwała, jakby zła na siebie, że się odkryła.

Malko był rozdarty pomiędzy żądzą sukcesu i przykrością sprawioną Ling Simie, która onegdaj była mu tak pomocna.

Otrząsnęła się, po czym powiedziała, tłumiąc ziewanie:

- No cóż, jestem zmęczona. Czy mógłby mnie pan odwiedzić? Podejrzewam, że zna pan adres konsulatu. Tam właśnie mieszkam.

- Oczywiście - odparł Malko z uśmiechem.

Począł, aż znaleźli się w samochodzie, by zaproponować:

- Ma pani czas na drinka?

Ling Sima popatrzyła mu prosto w oczy.

- Mam czas, ale nie mam ochoty.

- Czemu?

- Do nie chcę powtarzać przygody z Bangkoku. Pozwalać sobie na zbyt wiele.

- Zachowałem i oparłem pani rycinę - podkreślił Malko z perfidią, gestem posiadacza kładąc rękę na jej udzie obleczonym w jedwab.

Ling Sima nie drgnęła, ale ujęła jego dłoń i odsunęła.

- Nie - powiedziała ze spokojem. - Dziś wieczór nie będziemy się kochać. Po pierwsze dlatego, że nie osiągnę orgazmu...

- Dlaczego?

- Z pańskiej winy odniosłam straszliwie upokarzającą klęskę zawodową. Stracę twarz wobec ludzi z Pekinu.

- Po cóż więc te spodnie, prowokujące do gwałtu, ten seksowny strój?

Posłała mu okrutny uśmiech.

- Aby pan wiedział, co traci.

Przez kilka chwil nie odzywali się do siebie. To była z pewnością próba zachwiania równowagi. Malko pomyślał, że gdyby taka kobieta jak Ling Sima była zmuszona kupczyć swoim ciałem, oznaczałoby to, że Chińczycy rzeczywiście przegrali. Powiedziała nieco mniej metalicznym tonem:

- Proszę mnie odwiedzić.

Uległ jej prośbie. Po co kręcić; mógł ją okłamać, ale to nie rozwiązałoby sytuacji. Kiedy zatrzymał się na Granville

Road, naprzeciw alei prowadzącej do konsulatu, Ling Sima pochyliła się i musnęła palcami jego wargi.

- Dobrej nocy - powiedziała schrypniętym, rozkazującym głosem. - Cieszę się, że pana spotkałam.

Wyskoczyła z samochodu, przeszła przez jezdnię i zniknęła w alei, nie oglądając się za siebie.

* * *

Simon Levine wręcz pożerał swoje śniadanie, smarując obficie syropem klonowym grube na palec naleśniki. Był w świetnym humorze.

- Dzwonił Sonny Chai - powiedział. - Li Shatin dotrzymał obietnicy. Wyjeżdżamy dziś wieczór.

- Wiem o tym - odparł Malko. - Ling Sima przyznała się do porażki.

- Jest tylko jedna zmiana - ciągnął radośnie Amerykanin. - Li Shatin, zanim pozwoli się rozszyfrować, pragnie spędzić kilka dni w Las Vegas.

- W Las Vegas! Mój Boże, a to po co?

- Hazard - odrzekł zwięźle Amerykanin. - To marzenie jego życia. Jest graczem z p r a w d z i w e g o zdarzenia. Po konsultacji z Langley wyraziłem zgodę. Prosił też o zezwolenie, żeby jego chiński goryl, ten wytatuowany, mógł mu towarzyszyć. Ja ze swej strony wezwałem Jesusa, który niecierpliwi się w Los Angeles. Przez ten tydzień będzie pełnił rolę „niańki”. Potem zajmie się sprawami swojej farmy.

- Wszystko dobrze się składa! - podsumował Malko. - Musiał pan być bardzo przekonujący, skoro Chińczycy wybaczyli Li Shatinowi. Brat przybył tu po to, aby mu to przekazać. Mógłby pan sprawdzić, czy rzeczywiście wyjechał?

- Już to zrobiłem - zapewnił Amerykanin. - Polecą wszyscy trzej dziś w nocy o pierwszej trzydzieści do Hongkongu.

- A Ling Sima?

- Kto taki?
- Ach, zapomniałem, że nie zna pan jej nazwiska! Mógłby pan sprawdzić, gdzie ona się udaje?

Podał mu dane Chinki i rozstali się. Do wieczora nie mieli nic do roboty. Malko umierał z pragnienia, aby zatelefonować do Ling Simy. W kotku uległ pokusie. Jakiś głos odpowiedział marną angielszczyzną:

-- Czego pan chce?

- Miss Ling Sima.

- Nie znam. Pracuje u nas?

- Nie - odpowiedział Malko. - Spała w konsulacie, jest za-przyjaźniona z konsulem.

- Proszę poczekać.

Połączenie zostało gwałtownie przerwane. Słyszał odkładanie słuchawki. Po dwóch minutach ten sam głos rzucił:

- Nie było tu osoby o takim nazwisku.

Piękna Ling Sima miała piękne wyjście. Pozostało mu spa-kować bagaże.

* * *

Olbrzymi, siedmiometrowy czarny lincoln zatrzymał się przed budynkiem lotniska Vancouver Airport, a za nim dwa inne pojazdy. Chevrolet z dyplomatyczną rejestracją, a w nim czterech żołnierzy piechoty morskiej wypożyczonych przez konsulat amerykański, oraz ford, a w nim Simon Levine i Malko. Li Shatin i „Czarny Duch” Ming wyłonili się z limuzyny w towarzystwie Sonny Chaia. Chińczyk był ubrany w rdzawą marynarkę włożoną na podkoszulek i miał zaciętą minę. Jego adwokat podszedł do Simona Levine'a i spytał z niepokojem:

- Jest pan pewien, że Kanadyjczycy nie będą robić trudności?

- Na pewno nie - potwierdził Amerykanin. - Zresztą wyjeżdżający nie są tu poddawani żadnej kontroli.

Obie grupki spotkały się w hallu i wszyscy podeszli do stanowiska odpraw linii Alaska Airlines, jedynej oferującej bezpośredni przelot do Las Vegas. Simon Levine zarezerwował dla nich cały przedział kiasy business. W chwilę potem mieli już wszyscy karty pokładowe. Czterej żołnierze pozostali w hali lotniska. Żadnego Kanadyjczyka, pomimo że zostali uprzedzeni o odlocie. Widać upokorzenie było zbyt dotkliwe. Cała grupa pokonała w ciszy skomplikowaną drogę, prowadzącą do amerykańskiego stanowiska dla imigrantów. Simon Levine stopniowo odzyskiwał rumieńce. Widząc gwiazdzisty sztandar i grupkę cywili, oczekującą po drugiej stronie „granicy”, przyspieszył kroku.

Od grona cywili oderwało się dwóch mężczyzn i wyszło im naprzeciw. Dokonano prezentacji, po czym jeden z nich zwrócił się bezpośrednio do Li Shatina.

- Witamy w Stanach Zjednoczonych, panie Li Shatin.

Sonny Chai promieniał. Wszystko zostało zawczasu przygotowane. Nie poddani żadnej kontroli, znaleźli się w salce dla odlatujących pasażerów: praktycznie rzecz biorąc byli już na terytorium amerykańskim. Sonny Chai pozdrowił pożegnalnym gestem swego klienta i oddalił się. Zadowolony Simon Levine pochylał się w stronę Malko i powiedział po cichu:

- *We madę it.*¹

- Wspaniale! - przytaknął Malko z nutką goryczy, myśląc o Ling Simie.

Li Shatin usadowił się z dala od innych, pogrążony w swoich myślach. Jakby to wszystko go nie dotyczyło. Obok niego „Czarny Duch” Ming również nie przejawiał żadnych uczuć. Lot był opóźniony, wystartowali więc dopiero po godzinie. Kiedy Simon Levine usadowił się w fotelu, rzekł do Malko:

Dokonałiśmy tego.

- Agencja zarezerwowała w hotelu Mirage apartament na najwyższym piętrze A i trzy pokoje. Jesus już tam jest. Przyjedzie po nas na lotnisko, potem pójdziemy się położyć.

W czasie trzygodzinnego lotu Malko się zdrzemnął: napięcie nerwowe opadło. Raz jeszcze sprawiedliwość zwyciężyła. Śniło mu się ciało Briana Murraya spoczywające w *living-roomie*, a rana od oparzenia kamizelką kuloodporną na piersi nadal go piekła. Widać los nie chciał, aby zginął w Vancouverze.

Nieco później, nieprzenikniona czerni pustyni zaczęła rozbłyskiwać coraz liczniejszymi światłami: byli nad Las Vegas. Skromna miejscina, założona przed czterdziestu laty przez Bugsy Siegela stała się miastem zamieszkanym przez milion osiemset tysięcy mieszkańców, zagarniającym swymi mackami coraz to nowe połacie pustyni, sięgając aż do jeziora Mead. Miasto jedyne w swoim rodzaju, Disneyland dla dorosłych, z mnożącą się liczbą hoteli. W ciągu dwóch ostatnich lat liczba pokoi hotelowych wzrosła do stu dwudziestu tysięcy! Trzy razy tyle, ile posiada Paryż. I liczba ta ciągle rosła. Główna aleja Las Vegas - Boulevard, wzdłuż której stały najwspanialsze kasyna, wyglądała z samolotu jak świetlisty wąż. To miasto nigdy nie zasypiało, kasyna nie miały godzin otwarcia i zamknięcia, grać można było dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pionowy snop światła, emitowany przez hotel Luksor, przypominał kosmiczny pióropusz sięgający gwiazd, jak reflektor obrony przeciwlotniczej. Li Shatin obudził się i z twarzą przyklejoną do szyby patrzył na miasto swoich marzeń.

Kiedy opuszczając ruchome schody, zobaczył w hali odłotów rzędy automatów do gry, śmiejąc się, szturchnął „Czarne-
go Ducha” Minga. Można go było porównać do świeżo naładowanej baterii. Nawet lotnisko było tu wielkim kasynem gry! Aż do hali bagażowej...

Chińczycy, czekając na bagaże, z trudem mogli ustać w miejscu. Pojawił się Jesus Domingo w ciemnych okularach i jutowej marynarce, zapewniając, że wszystko zostało przygotowane. Simon Levine odciągnął go na bok.

- Pana zadaniem jest nie spuszczać go z oka, dopóki tu jest.

- A ten drugi zółtek? Co tu robi? - spytał Latynos.

- To samo, co pan. Z tym, że jest posłuszny Li Shatinowi.

Przez całą drogę do hotelu Li Shatin szeroko otwierał zachwycone oczy, jak dziecko w olbrzymim sklepie z zabawkami. Na tyłach recepcji hotelu Mirage królowało gigantyczne akwarium, a w nim tropikalne ryby, łącznie z kilkoma niewielkimi rekinami. Jesus wszystko załatwił i poprowadzono ich na piętro A. Aby dostać się do wind, strzeżonych przez groźnych cerberów, którym po dziewiątej wieczorem należało okazywać klucz do pokoju, trzeba było przejść przez tropikalny ogród i ogromną salę gier.

Li Shatinowi oczy wyskakiwały z orbit! Ogłuszający hałas automatów do gry nie dał się niczym zagłuszyć, ani muzyką, ani gwarem głosów. Panował zgiełk jak na dworcu kolejowym w dniu rozpoczęcia wakacji...

Znalazłszy się na piętrze, zaprowadzili najpierw Li Shatina do jego apartamentu, wspaniale urządzonego meblami z laki inkrustowanymi motywami z kolekcji Versace, zaprojektowanymi przez Claude Dalle'a, a potem się rozstali. Malko i Jesus mieli pokoje naprzeciwko, w South Wing. Simon Levine zaś mieszkał w East Wing i miał do pomocy sześciu agentów CIA, przybyłych z Waszyngtonu, by z bliska strzec Li Shatina. Ich rola polegała na stworzeniu wokół niego czegoś w rodzaju kordonu, gotowego odeprzeć hipotetyczny, niespodziewany atak Guangu. Ledwie Malko otworzył walizkę, gdy zapukano do drzwi. Był to „Czarny Duch” Ming. Chiński bandzior oświadczył:

- Pan Li Shatin chce grać. Gdzie jest bakarat?

Jego chropowaty angielski był wystarczająco zrozumiały. Brutalny wygląd, tatuaże, niskie czoło i ogolona głowa budziły złe skojarzenia. Malko popatrzył na breitlinga: druga trzdziesiątka nad ranem.

- *Nowi*

- *Nowi*

- *OK. I will takeyou there*

Natychmiast zażądał, aby Jesus dołączył do nich przy barakacie. Li Shatin czekał już w korytarzu z wypchaną skórzaną aktówką w dłoni. Zeszli na dół i Malko zaprowadził ich do stołów przeznaczonych do gry w bakarata. Spośród czterech, czynne były dwa. Li Shatin usiał i wyjął z aktówki wielką garść studolarowych banknotów! Flegmatyczny krupier przeliczył: sto dwadzieścia tysięcy dolarów!

- Jakże żetony? - zapytał.

- *Five thousand*^ - odpowiedział „Czarny Duch” Ming za swego pana.

Li Shatin przeobraził się, oczy mu błyszczały. Pewnym gestem włożył stosik żetonów po pięć tysięcy dolarów każdy do banku, wyciągnął dwie karty i powoli je odkrywał, zanim do końca odwrócił z radosnym pomrukiem. Czwórka i piątka.

Dziewięć. Maksimum.

Teraz pociągnął bankier, dwójkę i dziewiątkę, czyli nic. Później dwójkę i czwórkę.

Przegrana.

Li Shatin zainkasował osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Porozkładał żetony wszędzie po trochu. Jesus Domingo nie wierzył własnym oczom. Malko pomyślał, że za taką sumę mógłby odrestaurować swój zamek. Li Shatin zmienił się nie do poznania. Roziskrzony wzrok, każda komórka jego ciała wi-

Zaraz was zaprowadzę.

Po pięć tysięcy.

browała. Marzenie spełniało się. Malko ziewnął dyskretnie i szepnął Jesusowi:

- Pójdę się położyć.

Chińczyk mógł tak grać do świtu... Malko przyglądał się ze swego pokoju głównej alei. Nagle przyszło mu do głowy, że Ling Sima zbyt łatwo się poddała. Nie było jednak sensu nad tym się zastanawiać, nic nieprzewidzianego nie powinno się tu wydarzyć. Znajdowali się na terytorium Stanów Zjednoczonych, w ściśle strzeżonym otoczeniu, w jednym z najbezpieczniejszych miast świata.

Zasypiając już, postanowił, że pewnego dnia uda się do Bangkoku prosić o wybaczenie piękną Chinkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Li Shatin, grając nadal kontra bank, otrzymał dwie karty. Długo je ciągnął, potem odkrył: czwórka i trójka. Zasada gry w bakarata wymagała, aby tym razem nie ciągnął kart. Bankier odczekał chwilę. Miał dwie dwójki. Chińczyk postawił trzydzieści tysięcy dolarów na „Tie”, z dziewięciokrotnym przebicciem. Żeby wygrać, musiał mieć tę samą liczbę punktów co bankier.

Była nim chińska krupierka o zmęczonej, zbyt mocno umalowanej twarzy. Wyciągnęła kartę.

Piątka.

Li Shatin walnął pięścią w zielone sukno, rysy mu się ściagnęły. Przegrał wszystko, nie miał już ani jednego żetonu.

Gra tak, jakby chciał wszystko przegrać - szepnął Simon Levine do ucha Malko.

Obaj mężczyźni stali za krzesłem Chińczyka. „Czarny Duch” Ming siedział obok Li Shatina i także grał, lecz o znacznie skromniejsze stawki, żetonami po sto dolarów. Trochę wygrywał. Byli w Las Vegas od sześciu dni, a Li Shatin ani na chwilę nie odrywał się od bakarata! Czasami grał po szesnaście godzin z rzędu, nie jedząc, wypijając w roztargnieniu drinka przyniesionego przez *pit girl*, raz zdarzyło mu się

wręczyć jej żeton o wartości pięciu tysięcy dolarów. Na zewnątrz panował przeraźliwy upał, od pustyni wiał gorący wiatr i miało się wrażenie, jakby człowiek znajdował się w strumieniu spalin z odrzutowca,

CIA kontemplowało za pośrednictwem dokonywanych na rzecz hotelu Mirage przelewów postęp swych strat. Na dzień dzisiejszy wynosiły one dwa miliony sześćset pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów! Pomimo że były dnie, kiedy Li Shatin dużo wygrywał. Nazajutrz po przylocie, przelał na konto kasyna milion dolarów. Dostał za to czarną plastikową kartę, dzięki której mógł pobierać pieniądze bezpośrednio przy stole gry.

Pieniądze te napłynęły z trzech różnych kont bankowych. Szkołuł polegał na tym, że CIA nie znało kwoty, jaka na nich pozostała...

Po krótkim okresie pragnębnicia Li Shatin ożywił się i pokazał czarną kartę. Szef sali pojawił się natychmiast i Chińczyk szepnął mu coś do ucha.

- Pięćset tysięcy - powtórzył szef sali.

Wyjął z kieszeni smokinga coś w rodzaju książeczki czekowej, wypełnił „czek” w imieniu kasyna i podał do podpisu Li Shatinowi, który coś na nim nagryzmołił. Odszedł na bok, by porozumieć się z księgowością przed wydaniem żetonów. Li Shatin czekał z dłońmi płasko ułożonymi na stole. „Czarny Duch” Ming przerwał grę z szacunkiem. Konwersacja trwała tym razem dłużej niż zwykle. W rysach Chińczyka pojawiło się napięcie.

Odwróciwszy głowę, obserwował pracownika kasyna przy telefonie. Ten zakończył wreszcie i podszedł do Li Shatina, zdenerwowany. Powiedział mu do ucha parę słów i odsunął się.

Po dwudziestu sekundach Li Shatin wstał gwałtownie z krzesła i bez słowa się oddalił. „Czarny Duch” Ming natychmiast zebrał swoje żetony i udał się za nim. Trzymający war-

tę przy wejściu Jesus Domingo nie odstępował ich na krok. Poszli w kierunku wind. Simon Levine zbliżył się do Malko, odczuwając jednocześnie ulgę i irytację.

- No, nareszcie. Wyczerpał swój kredyt! Coś koło trzech milionów dolarów. Sprawdzę w dyrekcji kasyna. Ogołocił dwa konta na Kajmanach i jedno w Toronto... Mam nadzieję, że nie liczy na nasze utrzymanie...

- Z pewnością posiada jeszcze inne konta - uspokajał Malko.

On także podążał za Li Shatinem w jego zejściu do piekiel. Od momentu przybycia Chińczyk ani razu nie opuścił hotelu. *Room service* serwował mu posiłki do pokoju o najprzeróżniejszych godzinach. Nawet nie spojrzął na bilety, jakie oferowało kasyno na organizowane u siebie „show”. Z apartamentu na trzydziestym piętrze, albo, jak mówił Levine, „Only God is above us”¹ udawał się do sali gry w bakara-ta, i to było wszystko. Jakby atmosfera panująca w Las Vegas przyprawiła go o szaleństwo... lub też był zapamiętałym graczem, zaspokajającym swój kaprys, zanim rozpocznie nowe życie. Malko spojrzął na zegarek: trzydzieści minut po północy. Trzeba się położyć, bo jutro z pewnością udadzą się do Waszyngtonu. CIA nie zechce dłużej finansować pobytu w Mirage.

- Idę się położyć - powiedział do Simon Levine'a. - A pan?

- A ja zafunduję sobie szklaneczkę Defendera Success, żeby oblać koniec tego koszmaru - odparł Amerykanin. - Zarezerwuję jeszcze samolot na jutro, i do łóżka. Byleby tylko nie zechciał przeciągać swojej bytności w tym apartamencie. Spieszno mi do Los Angeles. To miasto jest chore.

Była to prawda, nieustający hałas automatów do gry, okrzyki graczy, zgiefk tłumu i brak poczucia czasu stawały się

Nad nami już tylko Bóg.

przytłaczające. CIA podejmie wreszcie dywidendy od swej cierpliwości i uporu. Malko pomyślał, że zdąży do Liezen na pierwsze piękne dni austriackiego lata. Udał się do pokoju. Jego poczta głosowa sygnalizowała wiadomość. Wysłuchał jej: przesłodzony głos Isis obiecywał mu wiele szczęścia, jeśli spotka się z nią w West Hollywood. Bez podawania szczegółów, sam ton głosu wystarczył.

Popatrzył jeszcze chwilę na migotliwą główną aleję i postanowił się położyć. Jeśli zadzwoni do Isis, będzie musiał spędzić co najmniej godzinę przy telefonie. Bywało to podniecające. Pewnego razu słyszał nawet jak szczytuje. Ale mogła przecież symulować.

* * *

Jesus Domingo śledził machinalnie obu Chińczyków aż do drzwi apartamentu. W ciągu tych sześciu dni stali się niemal kolegami. On także grał i „Czarny Duch” Ming rozpoznał w nim bratnią hultajską duszę. Ich rozmowy były krótkie, ale praktycznie rzecz biorąc, czas spędzali wspólnie.

Li Shatin padł na fotel. Obaj mężczyźni rozmawiali chwilę, po czym „Czarny Duch” Ming zadzwonił ze swego telefonu komórkowego. Jesus Domingo stwierdził, że dzień się skończył i wstał. „Czarny Duch” Ming zaproponował:

- *You want a drinki*
- Szkocką - odparł Latynos.

„Czarny Duch” Ming wziął z barku butelkę pięcioletniego Defendera i nalał mu solidną miarkę. Li Shatin zagłębiony w fotelu naprzeciwko Jesusa, wydawał się drzemać. Latynos zastanawiał się, jak można przegrać tyle pieniędzy i nie wyskoczyć przez okno. W Mirage’u byłoby to zresztą niemożliwe: aby uniknąć tego rodzaju incydentów, psujących markę hotelu, okna nie otwierały się. W razie ich sforsowania, natychmiast przyjeżdżała straż pożarna.

Jesus wypił łyk swojego scotcha i alkohol gładko przepłynął mu przez gardło. Miał zamiar spytać „Czarnego Ducha” Minga, czy nie miałby ochoty zejść na dół pograć, kiedy poczuł, że coś zimnego owija mu się wokół szyi. Pociągnięty w tył, wypuścił szklankę, jej zawartość rozlała się na dywan.

„Czarny Duch” Ming zarzucił mu na głowę plastikową torbę, podobną do tych, jakimi Jesus dusił swe ofiary wiele lat temu w Hondurasie. Zesztywniał i rozpaczliwie próbował wcisnąć palce pomiędzy szyję i stalowe taśmy, byle zyskać kilka sekund. Mózg miał skupiony na jednej myśli: przeżyć.

I może by mu się to udało, gdyby Li Shatin nie skoczył ze swego fotela. Z niewiarygodną siłą oderwał ręce Jesusa od szyi i przytknął sobie do brzucha. Latynos widział jego napiętą z wysiłku, lecz obojętną twarz kilka centymetrów od swojej. Daremnie próbował go odepchnąć kopniakami. Li Shatin położył się na nim. Czując pękające płuca, walczył do chwili, gdy wszystko zapadło w ciemność. Zginął, nie wiedząc nawet z jakiej przyczyny go zabito.

* * *

Wyciągnięty na łóżku naprzeciw ogromnego lustra, które stanowiło jedyny element dekoracyjny w pokoju, Malko nie mógł zasnąć. Męczył go pewien problem. Czemu Li Shatin włożył tyle trudu w to, żeby zbankrutować? Sam nie będąc specjalistą od bakarata, często w ostatnich dniach odnosił wrażenie, że Chińczyk gra byle jak...

Kiedy wszystko już przegrał, to jakby przyniosło mu to ulgę.

Zadzwonił telefon, a on nie chciał ryzykować i odebrał. Była to Isis.

- Czemu pan nie dzwoni? - robiła mu wyrzuty. - Nudzę się w Los Angeles.

- Nie trzeba było tam jechać...

- Nie mogłam już znieść Simona. Kiedy pan przyjeżdża?
- Nie wiem - przyznał Malko. - Nie jestem nawet pewien, czy będę leciał tamtędy.
- Przyjeźdź! - nalegała Isis i wyobraził ją sobie tupiącą ze złości. - Będziemy się kochać. Zakochałam się w tobie.
- To było coś nowego...
- Spróbuję - obiecał Malko.
- Ciągłe obstawiacie tego waszego Chińczyka?
- Tak.
- Zadzwoń jutro. Pójdę do Victoria's Secret. Opowiem ci, co kupiłam.

* * *

Li Shatin i „Czarny Duch” Ming wysiedli z windy, zmieszali się z tłumem licznych jeszcze graczy i przeszli przez dyskotekę, w której piosenkarka odziana w czarną skórę wywrzaskiwała bzdury. Doszli do wyjścia prowadzącego na pustawy parking, przechodząc przed opuszczoną recepcją.

Na wysokości siódmego piętra hotel był połączony przejściem z bezpłatnym parkingiem. Pojechali windą na jedenaste piętro, gdzie wynajmowano samochody. Na jednym z miejsc zarezerwowanych dla Hertza stał biały samochód bez numerów rejestracyjnych, z dwoma mężczyznami w środku. Chińczykami. Zamienili kilka słów i jeden z nich, siedzący obok kierowcy, wysiadł, ustępując uprzejmie pierwszeństwa Li Shatinowi. Ten zaś znajdował się w dziwnym stanie ducha. Od tej chwili nic nie miało już znaczenia. Nie wiedział nawet do k ł a d n i e , dokąd się udaje. Tylko ostateczny cel podróży nie był niespodzianką: Chiny.

Dodge intrepid wyjechał na Strip, skręcił w lewo i jeszcze raz w lewo, aby znaleźć się na autostradzie N° 15, biegnącej równoległe do Las Vegas Boulevard. Pojechali w kierunku południowym, do Kalifornii. Obojętnym wzrokiem Chińczyk

patrzył na mijane hotele, jeden ozdobniejszy od drugiego. Od zamku z baśni o Excaliburze, poprzez piramidę z Luksoru i wieżę Eiffla, aż do pirackiego gniazda na Wyspie Skarbów. Mirage ze znajdującym się u wejścia wulkanem eksplodującym co kwadrans, należał do ładniejszych...

Tak czy inaczej, było mu to obojętne...

Jechali w milczeniu przez dwadzieścia minut, później kierowca zjechał z autostrady zjazdem prowadzącym do drogi N° 160. Wąskiej drogi biegnącej pośród pustyni wzdłuż granicy ze stanem Kalifornia. Światła i budynki stawały się coraz rzadsze. Nie znając Nevady, Li Shatin nie miał pojęcia, dokąd jadą. I nigdy już nie miał okazji się nad tym zastanowić.

Kiedy minęli małe uśpione miasteczko Mountain Spring, poczuł nagle coś zimnego owijającego mu się wokół szyi jak stalowy wąż.

Siedzący za nim „Czarny Duch” Ming zacisnął mu wokół szyi cienką stalową taśmę, która zaczynała odbierać mu oddech. Minio że nie miał już wielkiej chęci do życia, instynkt kazał mu walczyć. Oparł stopy o tablicę rozdzielczą, aby odsunąć fotel. Tego właśnie oczekiwał zabójca. Ściskając taśmę lewą ręką, prawą zaczął dźgać szpikulcem do lodu oparcie fotela przed nim. Długie stalowe ostrze, po przebicciu oparcia, zagłębiło się w plecach Li Shatina.

Kierowca, jadąc całkowicie pustą drogą, nie zбочzył ani o włos, mimo nieskoordynowanych ruchów mordowanego Chińczyka.

Li Shatin rzeził, płuca miał poranione. Na usta wystąpiła mu różowa piana. Duszony, dźgany, nadal walczył. Instynktownie. Nagle targnął nim potężny spazm, wydał głuche rżenie i przesiał się ruszać. Szpikulcec do lodu dosięgnął serca.

„Czarny Duch” Ming uderzył jeszcze kilkakrotnie, za nim przestał. Oparcie fotela było nasiąknięte krwią. Z gło-

wą odrzuconą do tyłu, Li Shatin patrzył w gwiazdy, nie widząc ich.

Szofer zwolnił i zjechał w lewo, w boczną drogę prowadzącą do „Potosi Cañon”, jak informowała tablica.

Asfalt się skończył. Jechali wąską ścieżką wijącą się między dwoma nagimi pagórkami. Dziki osioł, burrito, wyszedł prosto pod koła dodge'a. Przejechali jeszcze trzy mile, po czym kierowca zwolnił i zatrzymał się na nasypie po lewej stronie. Trzech Chińczyków wysiadło z auta, otworzyli bagażnik, wyjęli łopaty i motyki oraz wielkie płótno, w które zawinęli ciało Li Shatina. Krótco się naradzili. Szofer powinien odjechać, aby nie zwracać uwagi ewentualnego patrolu policyjnego. Wyznaczyli sobie spotkanie za dwie godziny. To dawało im mnóstwo czasu na wykopanie i zasypianie grobu. W tym czasie kierowca pojedzie do Pah-rump i wróci.

„Czarny Duch” Ming i Chińczyk z Las Vegas wkroczyli na skalistą ścieżkę prowadzącą do małego kanionu poniżej drogi. To właśnie tutaj, w starych dobrych czasach Bugsy Siegela, zakopywano ciała graczy, którzy opuścili kasyno z kieszeniami wypchanymi wygraną.

Po raz pierwszy spocznie tu wielki przegrany...

Wyłaniając się zza zakrętu, kierowca dodge'a intrepid dał / sygnał światłami i ujrzał dwie sylwetki stojące na poboczu.
j Praca była skończona. Zatrzymał się na czas załadowania
i sprzętu, obaj mężczyźni wsiedli i pojazd ruszył w kierunku
Las Vegas. Kierowca popatrzył na zegarek.
| - Masz jeszcze czas - bracie, powiedział do „Czarnego
| Ducha” Minga. - Twój samolot odlatuje za dwie godziny.
! O piątej dziesiątą miał bezpośredni lot do Vancouveru.
r Aż do lotniska McCarran Airport nikt nie odezwał się słow-

wem. Dodge zaparkował i obaj Chińczycy wymienili długie uściski dłoni. Gung Ho, ten z Las Vegas, należał, podobnie jak „Czarny Duch” Ming, do triady Big Circle Boys. Co bardzo ułatwiło zmianę orientacji „Czarnemu Duchowi” Mingowi. W Chinach na pierwszym miejscu obowiązywała wierność swojej triadzie. Ming zdradził Li Shatina z taką łatwością, z jaką rozgniała się komara. Nie mówili nawet tym samym dialektem i pochodzili z dwóch różnych prowincji.

Wysiadł z dodge'a i wszedł do budynku lotniska, otwartego całą dobę, z małą czarną torebką w dłoni. W środku było dwieście tysięcy w studolarowych banknotach. Cóż w tym dziwnego, skoro wracał z Las Vegas? Ponieważ miał jeszcze wolny czas, usiadł przy automacie do gry. Będzie miał zajęcie aż do odlotu.

* * *

Guang Ho i jego towarzysz pojechali na wschód, w kierunku jeziora Mead. Jechali około godziny, coraz węższymi drogami w pustynnym otoczeniu - wokół Las Vegas wszędzie tak było - aż do tablicy z napisem „Gypsum Cave”. Niegdyś wydobywano stąd gips, ale kopalnia od dawna już była nieczynna. Dali sygnał światłami i natychmiast otrzymali odpowiedź. Czekał na nich samochód, a w nim dwóch Chińczyków.

Wysiedli z dodge'a i jeden z nowo przybyłych zbliżył się z kanistrem benzyny. Połał obficie wnętrze samochodu, silnik i bagażnik, znacząc na końcu wąską strużkę na skalistym podłożu. Wszyscy wsiedli do nowego auta i przed odjazdem Guang Ho wyjął Zippo i zbliżył jej płomień do ziemi, nasiąkniętej benzyną. Pojawiło się kilka niebieskawych płomyków, później płomień błyskawicznie strzelił w stronę dodge'a, a ten zapalił się z głuchym hukiem. Kiedy wjechali na szczyt

wzgórza, płonął jak fajerwerk. Znajdowali się około trzydziestu mil od miejsca, w którym pochowali ciało Li Shatina, bez żadnych dokumentów, nagiego jak glista. Na wypadek, gdyby go znaleźli. W każdym razie nie zanosilo się na to, bowiem n i g d y nie odnaleziono żadnego ciała z tych, którymi usiana była pustynia.

Kiedy przyjechali do Downtown, niedaleko Freemont Street, Guang Ho zaproponował swym towarzyszom:

- Może pójdziemy coś zjeść?

Dobrze wykonali swoją pracę i nie chciało im się spać. Wielka triada Big Circle Boys mogła być dumna z rozdziału zatytułowanego „Las Vegas”. Przywiązanie do matki ojczyzny nie było tu pustym słowem.

* * *

Malko obudził uporczywy dźwięk telefonu. Zaniepokojony głos Simona Levina wyrwał go definitywnie ze snu.

- Jesus nie odpowiada w swoim pokoju! - powiadomił Amerykanin.

Malko pomyślał, że to jeszcze nie koniec świata. Latynos mógł grać albo zabawić się z jakąś dziwką. Jego breitling crosswind wskazywał dziesięć po ósmej.

- Nic na to nie poradzę, odparował. - Nie mam obowiązku go pilnować.

- Niech pan zapuka do niego - nalegał Amerykanin, mieszkający we wschodnim skrzydle.

Zrezygnowany Malko owinął się kąpielowym prześcierałem - w Mirage nie było szlafroków - i wyszedł na korytarz. Zapukał do drzwi pokoju Jesusa Domingo, bez skutku. Na drzwiach apartamentu Li Shatina tkwiła wywieszka: „Do not disturb”. Wrócił do siebie.

- Nie odpowiada - powiadomił Simona Levina. - Może jest kompletnie pijany albo wyszedł.

- Jestem zaniepokojony - odparł Amerykanin. - Nie ma go już od samego rana. U Li Shatina też nikt się nie zgłasza. Na ogół, "Czarny Duch" Ming odbiera po pierwszym sygnale. Zawiadomię ochronę. Spotkajmy się za pięć minut.

Malko zadał sobie brutalne pytanie, czy Li Shatin nie popełnił samobójstwa. To szalona myśl, ale tłumaczyłaby jego gorączkowy sposób prowadzenia gry. Wkrótce wszystko się wyjaśni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Simon Levine, w stanie kompletnego osłupienia, przyglądał się zwłokom Jesusa Domingo spoczywającym w fotelu naprzeciw włączonego odbiornika telewizyjnego, z przezroczystą plastikową torbą zaciśniętą na szyi. Twarz była odrażająco nabrzmiała, skóra przybrała czarniawy odcień. Szef ochrony wezwał telefonicznie dyrekcję: goście hotelu Mirage nie mogli się dowiedzieć o tej brutalnej zbrodni. Malko i Simon Levine w pośpiechu przeszukali apartament. Li Shatin i „Czarny Duch” Ming oczywiście zniknęli. Jednak ich rzeczy zostały. Przeglądając zawartość szafy, Malko zauważył otwartą i z pewnością pustą skrytkę w ścianie. Na wszelki wypadek zanurzył tam dłoń. Ku swemu zdziwieniu wyczuł kształt jakiegoś przedmiotu i wyjął go: pakiet wielkości dużej cegły, zawinięty w czarną folię. Z miejsca pomyślał o narkotykach. Zabrał go do apartamentowego saloniku.

- Obstawcie wszystkie lotniska - rozkazywał Simon Levine niewidzialnemu rozmówcy. - Także drogi. Uprzedzić lokalnych szeryfów. Rozprowadźcie portrety i opisy obliczyków. Jeden z nich jest bez dokumentów. Poprosił o pomoc FBI. W Stanach Zjednoczonych CIA nie miało takich uprawnień jak policja. Poblady, nieogolony, ze ściągniętą twarzą, klnący bez przerwy, stanowił obraz kłeski.

„Siatka ochronna” agentów CIA, która miała strzec dzień i noc kasyna, okazała się nieskuteczna. Właśnie odkrywał przyczynę: kiedy Li Shatin, zrujnowawszy się w kasynie, wrócił do apartamentu, zdjęli ochronę sądząc, że już nie wyjdzie. Podobnie jak w poprzednich dniach... Amerykanin zbliżył się do Malko.

- Wyszedł pomiędzy drugą nad ranem i momentem naszego odkrycia - stwierdził. - Przesłuchujemy szefa ochrony i przeglądamy zapisy kamer. Skurwysyn!

W kasynie wszędzie zainstalowane były ukryte kamery. Jedna z nich musiała zarejestrować obu Chińczyków. Malko potrząsnął głową.

- Tak czy inaczej, niewiele to zmieni. Moim zdaniem to nie było porwanie. Li Shatin sam przygotował swoją ucieczkę. Dlatego uparł się, żeby wszystko przegrać.

Simon Levine popatrzył na niego pytającym wzrokiem.

- Gdzie więc może być?

- Daleko - westchnął Malko. - Chińczycy są t a k ż e tutaj, w Las Vegas. „Czarny Duch” Ming nie znajdował się pod stałą obserwacją. Miał mnóstwo czasu, żeby nawiązać potrzebne kontakty. Według mnie Li Shatin znalazł schronienie w innym kraju. Może jest już w Meksyku.

Krainie, którą upodobali sobie uciekinierzy. Nie trzeba było długo myśleć. Graniczne miasto, Tijuana, było oddalone o pięć godzin jazdy od Las Vegas. Jeśli wyjechali około drugiej, byli już w Meksyku. Apartament wypełnił się policjantami i pracownikami ochrony kasyna. Przybyli przedstawiciele dyrekcji. Nie mieli tu nic więcej do roboty. Simon Levine zauważył pakiet trzymany przez Malko.

- Co to jest?

- Nie mam pojęcia. Było w skrytce. Lepiej będzie, jeśli obejrzymy to razem - zasugerował.

* * *

Simon Levine w towarzystwie Malko tkwił wpatrzony w ekran telewizora, jakby oglądał bezpośrednią transmisję konkursu o nagrodę Złotego Fallusa. Oglądali już trzecią kasetę. Pakiet pozostawiony w skrytce i odnaleziony przez Malko ■- zawierał piętnaście kaset video. Każda była owinięta długim komentarzem po chińsku, zawierającym z pewnością nazwiska osób, ponieważ scenografia była wszędzie taka sama lub podobna. Wspaniale urządzone pokoje, bogato wyposażone w lustra i chińskie prostytutki, świadczące swe usługi.

Na filmie, który właśnie oglądali, dziewczyna rozciągnięta na *Z7.vms* w rodzaju rzeźbionej w drewnie kobyłki uprawiała seks analny z korpulentnym mężczyzną o znudzonej minie, świadcząc jednocześnie seks oralny innemu, stojącemu przed nią mężczyźnie, którego z kolei pieściła kłęcząca za nim inna prostytutka. Od czasu do czasu kamera przesuwała się po pokoju, zatrzymując się dłużej na dwóch generalskich mundurach ludowej armii chińskiej, wraz z czapkami, należących niewątpliwie do szczęśliwych beneficjentów tej wesołej scenki.

Simonowi Levine wydawało się, że na poprzedniej kasecie rozpoznał siostrzeńca Jiang Zemina, ważną osobistość w hierarchii chińskiego reżimu..., co wydawało się wielce prawdopodobne, biorąc pod uwagę stosunki Li Shatina. Rzekomy siostrzeniec zabawiał się z młodą, przywiązaną do stołu dziewczyną, korzystając na przemian z jej ust, seksu i odbytu. Obraz zniknął. Poszczególne filmy nie trwały dłużej niż pół godziny. Simon Levine ślinił się wprost ze szczęścia, zapomniawszy prawie zupełnie o zniknięciu Li Shatina.

- To cenniejsze od sztabek złota! - wykrzyknął. - Kiedy przetłumaczymy nazwiska, to będzie dokument wielkiej wagi. Nawet bez Li Shatina.

- Trzeba by jeszcze przetłumaczyć dialogi - zauważył Malko z ironią. - Chińska inteligencja wszystko wyśpiewa, podobnie jak armia. A o to wam przecież chodziło, nieprawdaż?

- Miałoby to większą wartość, poparte świadectwem i objaśnieniami Li Shatina, dodał mimo wszystko Amerykanin.
- Ale i tak są to bezcenne dokumenty. Nigdy nie zdołalibyśmy ich zdobyć - przyznał w chwili pokory.

Wzięli się do dalszej „pracy”. O czwartej wszystkie kasety były już przejrane. Sfilmowano na nich około trzydziestu prominentów. Wszyscy zabawiali się z prostytutkami, niektórzy brali narkotyki. Odróżnili około pół tuzina podobnych do siebie pokoi bez okien, z podstawowym zestawem mebli: łóżko, stół, kobyłka, pozwalająca na „prezentację” dziewcząt w szczególnie zachęcających pozach. Nie wszystkie były piękne, ale każda była prawdziwą profesjonalistką. „Przyjaciele” Li Shatina nie powinni żałować tego, że pozwolili się skorumpować. W kraju tak purytańskim jak komunistyczne Chiny, rozpusta tego rodzaju była niewątpliwie rzadkością.

- Wyślę to wszystko specjalnym kurierem do Langley - oświadczył Amerykanin. - Mówiłem już „Buzzy'emu”, ślinka mu leci na zapas.

Przerwał mu telefon. Słuchał przez kilka sekund, po czym skoczył na równe nogi.

- Znaleźli ślad Li Shatina! Chodźmy!

* * #

Było to pomieszczenie przypominające wieżę kontrolną wyposażone w dziesiątki migających ekranów, relacjonujących na bieżąco to, co działo się w kasynie. Większość pokazywała salony gier - tak właśnie demaskuje się oszustów - ale nie oszczędzono też korytarzy i restauracji.

Simon Levine i Malko zajęli miejsca w fotelach naprzeciwko wielkiego ekranu. Dzięki technice komputerowej można było zmontować sekwencję z kilku kamer. Rozpoczął się seans. Kamera umieszczona naprzeciwko „guests elevators” ukazała wyłaniającego się z kabiny Li Shatina, za nim pada-

żał „Czamy Duch” Ming. Każdy z nich miał tylko małą podróżną torbę, wyglądali na spokojnych. W prawym górnym rogu znajdowała się godzina nagrania: druga dziesięć. Pół godziny po opuszczeniu salonu do gry w bakarata.

Kamery śledziły obu mężczyzn w trakcie przejścia przez salę-gier i przed recepcją, kierujących się następnie do wyjścia na parking.

- To musiało już być po zamordowaniu Jesusa! - westchnął Simon Levine.

Wszystko świadczyło o zaplanowanym działaniu: trudno znaleźć plastikowy worek ze stalowymi tasiemkami o drugiej nad ranem. Nawet w Las Vegas.

Trzykrotnie obejrzeni film o ucieczce obu Chińczyków; mogli się udać w każdym kierunku... Potem opuścili salę projekcyjną, żeby przenieść się do apartamentu Chińczyka.

Malko był bezradny.

- Li Shatin musiał przygotować tę ucieczkę - zauważył. - Miał przecież torbę podróżną. Dlaczego więc zostawił pakiet z kasetami, wartymi fortunę? Nie należy do roztargnionych.

Simon Levine długo się zastanawiał, po czym stwierdził:

- Nie mam pojęcia. Ale dobrze się stało. Dzięki temu ośmiesziliśmy się nieco mniej...

Malko nalegał:

- To stanowi klucz do zrozumienia jego zniknięcia. Jeśli uda nam się to wyjaśnić, dowiemy się dlaczego i g d z i e się udał...

Amerikanin wzruszył ramionami.

- Na pewno do Meksyku... Albo też ukrył się gdzieś w okolicy, w chińskiej wspólnotce. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego. Przybył do tego kraju oficjalną drogą.

Rozmowę znowu przerwał telefon. Dochodzenie prowadzone przez FBI posuwało się naprzód. Agencja federalna odnalazła ślad „Czarnego Ducha” Minga na lotnisku, gdzie wsiadł do samolotu linii Air Alaska, lecącego do Vancouveru

o piątą dziesiątą. Zupełnie jawnie. Już od dawna znajdował się w Kanadzie.

- Zażądam od służb kanadyjskich, żeby go przesłuchali - zapowiedział natychmiast Simon Levine. - On wie, co się stało. I jest prawdopodobnie mordercą Jesusa Domingo.

Wypowiedział to jednak bez przekonania. Los Latynosa obchodził go tyle, co los jego pierwszej zapalniczki. Zawodowy zabójca, który pozwala się zamordować, to nie jest historia wyciskająca łzy z oczu,

- Dobrze - powiedział Malko - pójdę spakować swoje bagaże.

* * *

Życie w hotelu Mirage toczyło się jak gdyby nigdy nic. Goście hotelowi, nie czytający gazet i nie oglądający telewizji, nie wiedzieli nic o dramacie. Tylko miejscowi coś o tym słyszeli, ale mieli to w nosie. Żeby zabić czas, Malko przechadzał się najpierw po handlowej galerii Bellagio, gdzie znajdowały się sklepy wszystkich luksusowych firm, od Yuittona poprzez Hermesa i Dolce&Gabbana aż do Claude Dalie'a. Później poszedł zwiedzić „The Secret Gardens of Siegfried and Roy”, mały ogród zoologiczny, w którym magicy co wieczór prowokowali dematerializację lwów i białych tygrysów. Nie dawało mu spokoju pytanie, z jakiego powodu Li Shatin ofiarował CIA tak wspaniały prezent.

Zadzwoił telefon. Spodziewał się usłyszeć głos Simona Levine'a, ale była to kobieta.

- Malko!

W ułamku sekundy rozpoznał lekko metaliczny głos Ling Simy. Mózg zaczął pracować na zwiększonych obrotach. W tej chwili w Bangkoku była jedenasta rano następnego dnia. Odruchowo spytał:

-Gdzie pani jest?

Chinka zaśmiała się krótko i metalicznie.

- Tu, gdzie i pan, w Las Vegas!

Wydało mu się, że ziemia n a p r a w d ę usuwa mu się spod stóp. Ling Sima w Las Vegas, to wyjaśniało zniknięcie Li Shatina. Podeszła ich! Jak we śnie usłyszał jej propozycję:

- Zapraszam na kolację, jeśli ma pan czas. Odlatuję do Bangkoku dopiero jutro. B a r d z o chciałabym się z panem zobaczyć. Zgoda?

- Oczywiście! - odparł Malko, nadal nie posiadając się ze zdumienia.

- Proszę przyjść po mnie około ósmej. W Bellagio, pokój 2107. Do zobaczenia.

Zaledwie skończył rozmowę, znowu zadzwonił telefon. Tym razem był to Simon Levine.

- Na pustyni odnaleziono skradziony wczoraj w nocy samochód, całkowicie spalony - powiadomił podekscytowany.

- Jest to prawie na pewno powiązane ze zniknięciem Li Shatina.

- Możliwe - przyznał Malko. - Ale i ja złapałem pewien trop.

- Jaki?

- Później panu powiem. Nie chcę zapeszyć. Proszę się nie niepokoić, nie opuszczam Las Vegas.

Wrócił do kasyna, zdumienie go nie opuszczało. W jaki sposób Ling Sima przekonała Li Shatina, żeby wrócił do Chin? To stanowiło z pewnością klucz do zrozumienia całej sprawy. Z pomocą Guangbu, nie miał żadnych trudności w zorganizowaniu swej ucieczki. Ling Sima musiała napawać się swoim zwycięstwem.

* * *

Wbrew wszystkiemu Malko pukał do pokoju 2107 z bijącym sercem. Zaledwie wybrzmiał dźwięk dzwonka, kiedy

drzwi uchyliły się i ujrzał zjawisko zapierające dech w piersiach.

Ling Sima musiała poświęcić dużo czasu na makijaż! Włosy przylegały do głowy jak polakierowany kask o czystym ryśunku, linia oczu była wydłużona i podkreślona błękitem, a usta głęboką, budzącą apetyt czerwinią. Całości dopełniał nieprawdopodobny, acz dyskretny strój: jedwabny kombinezon we wzór pantery, opinający ciało od szyi aż do stóp, przylegający idealnie jak rękawiczka, lekko wzmocniony w punktach strategicznych, noszony bez niczego pod spodem. Mógł podziwiać linię drobnych piersi, a kiedy się odwróciła, wspianego tyłeczka, którego wdzięki miał już okazję poznać.

- Podobam się panu? -- spytała schrypniętym głosem. - Kupiłam to tutaj na dole, w galerii. Mają tu wspaniałe rzeczy. Oczywiście coś takiego można nosić jedynie tu, w Las Vegas.

- Wygląda pani olśniewająco - odrzekł Malko z absolutną szczerością.

Jego libido obudziło się w jednej chwili. Miał w głowie jedno: rzucić się na Ling Simę tutaj i teraz. Ich spojrzenia się spotkały i Chinka uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- N a j p i e r w chodźmy zjeść kolację, umieram z głodu.

Zbliżyła się i musnęła go całym ciałem, ukradkowo, precyzyjną łagodniejszym tonem:

- Dziś wieczór mam lepsze samopoczucie niż w Yancouwerze i mam ochotę się odprężyć... Zarezerwowałam stolik na dole, w Prim, na tarasie. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Szła przed nim i znowu musiał się powstrzymać, żeby nie rzucić się na nią. Lecz palił się t e ż do tego, żeby poznać prawdę. W restauracji przejął inicjatywę, zamawiając z miejscy butelkę Taittingera Comtes de Champagne Blanc de Blancs. *Sommelier* przedstawił mu rocznik do wyboru, wybrał 1988. W Las Vegas mieli naprawdę wszystko. Wypili i Ling Sima skonsumowała z kocim wdziękiem żupę homarową. Malko siedział jak na rozżarzonych węglach. Skończyła,

wzięła papierosa, który Malko momentalnie przypalił zapalniczką Zippo. Ich palce się zetknęły, a ona posłała mu ironiczny uśmiech.

- Chce się pan wszystkiego dowiedzieć, prawda?

Nie miał odwagi zaprzeczyć, to byłoby śmieszne.

- Tak - odparł. - Li Shatin znajdował się pod ochroną CIA. Gdyby został w Stanach Zjednoczonych, miałby wszystko. Jak pani go przekonała do ucieczki?

Ling Sima niespiesznie zaciągnęła się papierosem i odrzekła spokojnym głosem:

- Wszystko zostało ustalone już w Vancouverze, po naszym spotkaniu w hotelu Delta. Tam przyznałam mu pewien przywilej: wolno mu było udać się do Las Vegas i przepuścić tyle pieniędzy, ile zechce. Później nie będą mu już potrzebne. To było jego marzenie, a mnie to w niczym nie przeszkadzało...

Mały poryw szczerości. Malko nalegał:

- Kiedy jedliśmy wspólnie kolację, grała pani komedię?

Ling Sima prawie prychnęła, chociaż nie było to w jej stylu.

- Oczywiście! Trzeba było panu coś podsunąć, żeby uspić czujność pańską i pańskich przyjaciół. Tak, aby wszystko mogło się odbyć zgodnie z planem. To był jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu. Wewnętrznie rozpieierała mnie radość i umierałam z pragnienia, żeby kochać się z panem, a musiałam grać rolę kobiety oziębłej i obojętnej.

- Jest więc pani znakomitą aktorką - zauważył Malko ze szczyptą goryczy.

- Dziękuję. Nie ma pan do mnie żalu?

- Nie - odparł Malko. - Pod warunkiem, że dowiem się, w jaki sposób przekonała pani Li Shatina.

- Proszę bardzo.

Wyjęła z torebki rulonik papieru i rozwinęła go. Z początku widział tam tylko znaki chińskiego alfabetu, później zorientował się, że obok każdej linijki znajduje się angielskie tłumaczenie. Była to lista nazwisk: Sui Quianglai; Chang Ta-

li; Chang Biao; Lian Zhili; Yue Bingnan; Ming Zuzang; Su Lanzang; Guang Youzang; Qiu Juli; Hao Li; Xiao Huilin.

Malko podniósł na nią wzrok, zaintrygowany.

- Kim są ci ludzie?

- Członkowie najbliższej rodziny Li Shatina - wyjaśniła Ling Sima. - Na tej liście nie umieściłam dzieci, ale jest co najmniej tuzin. Tę listę otrzymałam od grupy 4-20, jak nazwano komisję prowadzącą śledztwo w sprawie Li Shatina. Są tu bracia, siostry, teściowie, szwagrowie i bratowe. W Chinach rodziny są liczne - dorzuciła niewesoło. - Po przybyciu do hotelu Delta przedłożyłam tę listę Li Shatinowi i oddałam głos jego bratu Ten zaś potwierdził, że już czternastu spośród jego współników i przyjaciół zostało skazanych w trybie doraźnym i rozstrzelanych. On sam, będąc aresztantem, był świadkiem kilku egzekucji.

- To potworne - powiedział Malko, straciwszy apetyt.

- Wcale nie - skorygowała Ling Sima. - To raczej środek konieczny, aby uwiarygodnić świadectwo brata. Kiedy skończył, przedstawiłam Li Shatinowi warunki alternatywy, przed którą stoi. Nie miałam możliwości sprowadzenia go do Chin przemocą, a rząd kanadyjski wycofał się z zaciągniętych wobec nas zobowiązań. Przedstawiłam mu więc następującą propozycję: Jeśli wyjedzie do Stanów Zjednoczonych, w s z y - s c y członkowie jego rodziny, od brata przybyłego z Chin poczynając, zostaną rozstrzelani w krótkim czasie. Treść wyroków była już zredagowana. Jeśli natomiast zaakceptuje dobrowolny powrót do Chin, aby ponieść tam należną mu karę, rodzina zostanie oszczędzona i będzie mogła nawet zachować część jego fortuny.

Przejęty zgrozą Malko pozwolił, aby jego stek New York wystygł. Odnosił wrażenie, że ma naprzeciwko siebie robota pozbawionego ludzkich uczuć. Mówiła o ludziach jak o robactwie. Zgodnie z komunistycznymi normami, według których jednostka jest niczym.

- I on uwierzył? - wykrzyknął niedowierzająco.

Ling Sima zezłościła się i odłożyła widelec.

- Oczywiście! To nie była pułapka. Chińczycy, jeśli dobiją targu, wywiązują się ze zobowiązań. Skądinąd wiedziałam, że Li Shatm, pomimo iż straszny łotr, jest jednak bardzo przywiązany do rodziny. Kiedy brat, Sui Quiang Lai, oświadczył, że zaraz po powrocie zostanie rozstrzelany, Li Shatin się załamał. Reszta poszła już gładko: wystarczyło zorganizować stronę praktyczną. Zaakceptowałam przerwę w podróży w Las Vegas, ponieważ człowiek, który dobrowolnie czyni ofiarę ze swego życia w szlachetnej sprawie, zasługuje na nagrodę.

- A więc w ogóle nie wyjechała pani do Bangkoku?

- Nie, przybyłam bezpośrednio tutaj, aby wszystko zorganizować.

Czul się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Wspaniałe stworzenie naprzeciw niego, ociekające wprost erotyzmem, było zimnym potworem. Próbował skupić się na jej wyglądzie, ale nie mógł oderwać myśli od horroru, jaki mu objawiła.

- Tak więc Li Shatin musi umrzeć.

Skinęła głową w milczeniu, potem, jakby czytała w jego myślach, powiedziała łagodnym głosem:

- Proszę nie zapominać, że aby móc kontynuować swe przemytnicze dzieło, wydał nam całą tajwańską siatkę wywiadowczą w Hongkongu. Ci ludzie byli jego przyjaciółmi. Wszyscy zostali rozstrzelani.

Obok nich przeszedł anioł o skrzydłach podziurawionych kulami. Otaczało ich morze ohydy.

- Nie wezmę deseru - rzekła Ling Sima. - Tylko kawę. Później pójdziemy do pana.

* * *

Nawet najzatwardzialsii gracze, przyśrubowani do automatów do gry, odwracali się, żeby popatrzeć na Ling Simę. Przy windach zwróciła się ze śmiechem do Malko:

- W tym stroju mężczyźni muszą mnie brać za dziwkę!

Była kimś o wiele gorszym... Malko zabrał z Bellagio dużą butlę Taittingera Comtes de Champagne Rosę 1993. Ling Sima uśmiechnęła się porozumiewawczo, widząc ogromne lustro, w którym odbijało się łóżko i część pokoju. Nie mieli tu ani minibaru, ani szlafroka, potrzebna więc była jakaś rekompensata. Poczekala aż Malko otworzy butelkę szampana i znowu wypili. Pokój był oświetlony jedynie światłami płynącymi z ulicy.

Później Ling Sima otoczyła ramionami szyję Malko i długo go całowała. Szampan pomógł mu oderwać się od rzeczywistości. A także ulga, jaką poczuł, kiedy zrozumiał wreszcie wszystkie zawilości chińskiej intrygi. Zatopiony w myślach, usłyszał jak Ling Sima szepce mu do ucha:

- Nie pragnie mnie już pan?

To proste zdanie uwolniło Malko od ponurych myśli. W jednej chwili postanowił korzystać z życia tu i teraz. Gładząc kombinezon, nie mógł wymacać żadnego zapięcia. Musiał więc zapytać, zdenerwowany:

- Jak się to zdejmuje?

- Tego się nie zdejmuje - wyjaśniła Ling Sima ochryplym głosem. - To się zdziera, albo nie robi się nic.

Było oczywiste, którą ewentualność woli... delikatny jedwab szybko się poddał. Malko rozdarł go na wysokości piersi i tam, gdzie kończyły się nieskończenie długie uda Ling Simy. Kiedy pieścił jej wilgotny już seks, stanęła dęba, jak zwierzę. Skończył ją rozbierać i rzucił na łóżko na czworakach. Wziął ją od tyłu, wbijając się gwałtownie jednym ruchem bioder w jej ciało. Lustro odbijało ich przedziwną obłąpkę. Mężczyzna, dosiadający długiej pantery.

Kiedy osiągnęła orgazm, podniosła głowę wydając okrzyk dzikiego zwierzęcia.

Miał dobry pomysł, żeby nie pozbawiać jej drugiej skóry. Malko, zachowując chłodny umysł, dogadzał jej w różnych pozycjach, aż wreszcie sam osiągnął szczyt, rozgniatając ją pod sobą i mając jej długie nogi oplecione wokół bioder.

- Nalej mi jeszcze szampana - zażądała - jest mi tak dobrze. Później będziemy się kochać jeszcze raz.

* * *

Lustro odbijało obraz leżących kochanków, flirtujących pomiędzy zbliżeniami. Malko prześladowała jeszcze jedna myśl i zadał ostatnie pytanie:

- Wszystkim wiadomo, że twój kraj jest przeżarty korupcją do szpiku kości - rzekł. - Czemu uwzięliście się właśnie na Li Shatina?

Uśmiechnęła się.

- Ponieważ zbyt wysoko zaszedł! Osiągnął sam szczyt hierarchii. Bali się go. To o n i mnie tu przysłali. Żeby chronić samych siebie. Więcej już o tym nie mówmy.

Wzięła kieliszek Taittingera i śmiejąc się wylała jego wartość na przyrodzenie Malko. Był chłodny i szczypiący, ale usta i język Chinki szybko kazały mu zapomnieć o tych odczuciach. Po raz pierwszy wzięła go do ust. Ssała tak samo, jak robiła wszystko inne: z zacięciem, prawidłowo i z nutą zmysłowości. Kiedy był już tak sztywny, jak lubiła, dosiadła go i rozpoczęła galop.

Doznali orgazmu prawie równocześnie i opadli na postanie, nasyceni. Czerwony sygnał poczty głosowej migał bezustannie: Simon Levine musiał gryźć ściany. To nie obeszło specjalnie Malko.

Nagle uświadomił sobie, że Ling Sima przestała mówić. Jej oddech stał się spokojny i regularny. Nasycona miłością

i szampanem, zasnęła z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zrozumiał wreszcie powód, dla którego Li Shatin z a p o m n i a ł o kasetach. Wiedząc, że idzie na śmierć, zostawił po sobie mały prezent. Już nie polisę na życie. Zwyczajną zemstę. Teraz z kolei zasnął Malko.

Obudziło go światło dnia. Była szósta rano. Ling Sima spała odwrócona do niego plecami. Przytulił się do niej i kontakt z jej jedwabistą i obciągniętą jedwabiem skórą wywołał przypływ pożądania. Poruszyła się lekko i to dopełniło reszty. Ujął ją za biodra i ułożył w dogodnej dla siebie pozycji. Nadal miała na sobie strój pantery. Pozostając w półśnie, stanęła na czworakach naprzeciw lustra, a on zagłębił się w niej, używając nieco siły, co uczyniło akt jeszcze rozkoszniejszym.

Miał wrażenie, jakby kochał się z istotą z innej planety.

Kiedy poczuł, że się otworzyła, wycofał się i sforsował z kolei anus. Ling Sima podskoczyła, jęknęła, ale nie uchyliła się. Wiedział, że uwielbia ten rodzaj miłości. Malko, trzymając ją rękami za biodra i wykonując miłosny taniec o świecie, myślał jednocześnie, że jej zwycięstwo nie jest pełne - dzięki wspaniałomyślnemu, pośmiertnemu darowi Li Shatina.

To sprawiło, że końcowy spazm rozkoszy był jeszcze intensywniejszy.